

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/320

1974



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. CHYLIŃSKA :

KRZYCZĄCA MNIEJSZOŚĆ I MILCZĄCA WIĘKSZOŚĆ

J. PAWLAK : **WYWIAD Z PAWŁEM LITWINOWEM**

BRUKSELCZYK :

ROZMOWA Z PROF. ZB. BRZEZIŃSKIM

J. BIEREZIN :

W I E R S Z E

SPIS RZECZY

Kamila Chylińska:	<i>Krzycząca mniejszość i milcząca większość</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	21
Józef Lewandowski:	<i>Repetitorium</i>	36
Alicja Iwańska:	<i>Indianscy intelektualiści (I)</i>	41
WIERSZE		
Jacek Bierezin:	<i>Święta Bożego Narodzenia</i>	54
" "	<i>Choroby społeczne — Robotnik — Święto wiosny</i>	55
" "	<i>W a m !</i>	56
" "	<i>Arkadia</i>	57
" "	<i>W połowie życia</i>	58
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	61
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	71
Roman Krukowiecki:	<i>Kronika Bliskiego Wschodu</i>	76
SĄSIEDZI		
Jan Pawlak:	<i>Wywiad z Pawłem Litwinowem</i>	83
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	90
E. Żagiell:	<i>L i t w a</i>	96
E. Żagiell:	<i>Białorusini</i>	99
J. L.:	<i>„Również i w Polsce rusyfikują Ukraińców”</i>	100
SPRAWY I TROSKI		
Adam Nasielski:	<i>Początek końca?</i>	102
Rudolf K. Kogler — Benedykt Heydenkorn:	<i>Ludność polskiego pochodzenia w Kanadzie</i>	109
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Wittlin:	<i>Zegnajmy przyjaciela</i>	112
—	<i>Fundusz Stypendialny im. gen. W. Stachiewicza</i>	114
SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE		
Adam Bromberg:	<i>„Wesoła teoria, smutna praktyka”</i> ...	116
Z TEK I NFORMACYJNEJ		
Jerzy P. Horzelski:	<i>Samochód mego wnuka (i dziadka)</i> ..	121
KSIĄŻKI		
Zygmunt Haupt:	<i>Tam gdzie rosną poziomki — i gdzie pieprz rośnie</i>	131
Janina Katz:	<i>Czekając na kalalie</i>	137
Józef Garliński:	<i>Cierpienie i przebaczenie</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	142
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
◆		
J. Belman, A. Czerniawski, J. Jordanowski, R. Karst, Br. Łokaj, K. Łukomski, J. Lewandowski, ks. W. Sojka, Wł. Zeleniński:	<i>Listy do Redakcji</i>	151

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1974

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Andrzej Balko, Wiedeń	F. 49,00
Lidia i Adam Ciołkoszowie, Londyn	F. 244,12
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz piąty	F. 112,50
Michał Nowak, Sztokholm, w imieniu b. uczniów i współpracowników prof. Franciszka Olipry z okazji 50-lecia Jego pracy naukowej i społeczno-wychowawczej oraz 70-ej rocznicy Jego urodzin	F. 200,00
Edward Pucze, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 200,00
Inż. Kazimierz St. Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz trzeci ..	F. 45,00
Stefan Taraszkiewicz, Eden, N.Y. (USA)	F. 94,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Ariz. (USA), po raz siódmy	F. 18,00
Bezimiennie, Paryż, po raz trzeci	F. 500,00
Bezimiennie, New York, po raz drugi	F. 42,00

DZIĘKUJEMY!

P.O.S.K. — KONKURS

NA STANOWISKO SEKRETARZA GENERALNEGO
POLSKIEGO OŚRODKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO
W LONDYNIE

Kandydat, z opanowanymi w mowie i piśmie językami polskim i angielskim, będzie musiał pracować w ramach tzw. „Company Act”. Wiek — nieprzekroczone lat 50. Wysokość wynagrodzenia do uzgodnienia w zależności od kwalifikacji kandydata.

Dane osobiste, zawodowe, *curriculum vitae* oraz minimum żądanego wynagrodzenia wraz z zgłoszeniem przesyłać do dnia 15 maja 1974 na adres:

POLISH SOCIAL AND CULTURAL ASSOCIATION LTD.,
9, PRINCES GARDENS, LONDON S.W.7.

Imprimé en France.

Krzycząca mniejszość i milcząca większość

„O, miłujący wolność myśliciele lewicowi na Zachodzie, lewicowi labourzyści, postępowcy amerykańscy, studenci niemieccy i francuscy! Wszystko to mało się dla was liczy. Cała moja książka dla was się nie liczy. Zrozumiecie to wszystko wtedy dopiero, kiedy i nad wami rozlegnie się wrzask: 'Jesteście aresztowani!', wtedy dopiero, kiedy i wy zmierzacie zaczniecie ku naszemu archipelagowi”.

(Z fragmentów niewydanego jeszcze dalszego tomu *Archipelagu Gułag* Sołżenicyna, ogłoszonych przez *New York Times*).

Półtora roku temu, podczas przelotnego pobytu w Niemczech, spotykałam się wielokrotnie ze zdaniem, że napór skrajnej lewicy na uniwersytety niemieckie właściwie już opada. Wprawdzie uczelnia berlińska, zachodnia oczywiście, pełniła wciąż jeszcze funkcję Mekki dla lewicowej młodzieży studenckiej z całej Republiki Federalnej — i zresztą także spoza jej granic — wprawdzie straszyl niezmiennie swym mono-ideologicznym modelem niedawno powstały uniwersytet w Bremie, ale rozmówcy moi, studenci, asystenci, profesorowie, twierdzili z przekonaniem, że w istocie kulminacja przeszła.

Pasowało mi to wówczas do obrazu, gdyż niemal równocześnie zdołałam zauważyć wśród znajomych mi studentów we Francji zobojętnienie wobec wydarzeń z 1968 roku: Jedni odkładali działanie polityczne na nieokreśloną przyszłość, inni, oddalwszy się po prostu o cztery lata od „francuskiego maja”, kończąc studia, pochłonięci byli głównie wyborem własnej drogi życiowej, jeszcze inni, czynni już zawodowo, oświadczyli mniej lub bardziej stanowczo, że polityki mają dosyć i w miejscach swej pracy nie

zamierzają niczego od środka rozsądzać. *De l'entrisme? C'est de la foutaise...*

Owe niemieckie oceny pasowały mi więc do obrazu ogólnego — lecz okazały się fałszywe. Statystyka porównawcza przerywanych wtedy i dzisiaj zajęć uniwersyteckich za pomocą rękoczynów czy też bez nich nie udzieliłaby oczywiście odpowiedzi na nic. Natomiast wystarczy otworzyć pierwszą lepszą gazetę niemiecką jakiegokolwiek barwy, by dowiedzieć się i dowiadywać bezustannie, że widownią konfliktów czy wręcz ekscesów są to Berlin, to Bochum lub Münster, to Kilonia, Tubinga czy Frankfurt. Niedawno najgłośniej było o Frankfurcie. Co nie oznacza, że jutro nie wykona i nie przekroczy planu jakakolwiek inna uczelnia w jakimkolwiek innym mieście.

Ze względu na nasze (tj. właściwe ludziom z Europy Wschodniej) szczególnie gwałtowne uczulenie na „lewy terror” — cierpliwy dystans przy wszelkim w dziedzinie powyższej obserwowaniu i rozumowaniu narzuca się jako warunek konieczny. Zacząć więc należy chyba od stwierdzenia, że młodzież bezpośrednio zaangażowana w zakłócaniu zajęć, nie pozwalająca prowadzić ich tym profesorom, którzy wyznają inne niż ona poglądy, oskarżająca wykładowców różnych szczebli — dlatego tylko, że nie proklamują marksizmu jako jedynej metody poznawczej — o „tłumienie dyskusji”, stanowi ograniczoną liczbowo mniejszość. Ponadto mniejszość ta jest rozdrobniona i skłócona wewnętrznie, należy do organizacji komunistycznych spod różnych zwołań, od pro-NRD-owskich i pro-sowieckich, poprzez trockistowskie, aż po maoistowskie, z całą gamą wyodrębnionych dodatkowo grup i grupiek.

Według obliczenia, dokonanego w grudniu ub. roku przez Ministerstwo Nauki, jedno z ugrupowań najotwarciej proklamujących gwałt jako metodę walki politycznej — maoistowski „Komunistischer Studentenverein” — dysponuje zaledwie tysiącem zapisanych członków i sympatyków i małą ilością miejsc w parlamentach studenckich, w rozmaitych organach doradczych lub współzarządzających uniwersytetów czy ich wydziałów. Zależnie od terenu siłą motoryczną ekscesów lub wybuchów są to jedne, to znów inne organizacje. Jednak ani komuniści „klasycy” ze „Spartakusa”, ani najbardziej ekstremistyczne elementy spośród „Juso” (*Jungsozialisten* — organizacja młodzieżowa partii socjaldemokratycznej, SPD), ani wreszcie wszyscy skrajni lewicowcy razem wzięci, jednoczący się przy doraźnych okazjach we „wspólnych frontach”, nie czynią z mniejszości większości. Frekwencja w wyborach do poszczególnych zresztą studenckich czy organów uniwersyteckich jest zresztą w ogóle niska, mówi się o 30 % jako górnej granicy. Przystąpienie do strajku studenc-

kiego we Frankfurcie, zakończonego przed przerwą semestralną, zostało uchwalone w pierwszej fazie — według rozbieżnych szacunków — przez ponad tysiąc do kilku tysięcy słuchaczy na ogólną liczbę 21 tysięcy. Później dopiero uchwała zdobyła poparcie większości głosujących. Przy tym pamiętać należy, że liczba osób, przystających na strajk w rozpalanej świadomości od dłuższego czasu atmosferze, nie jest żadnym świadectwem istotnego stosunku sił.

Nie przydając wynikom ankiet znaczenia absolutnego, przytoczmy dla orientacji pewne liczby przybliżone. Instytut „Infra-test” w Monachium przeprowadził niedawno sondaż na temat poglądów politycznych wśród studentów z całego obszaru Republiki Federalnej. Próba reprezentacyjna obejmowała 3.952 osoby. Tylko 10 % ankietowanych wypowiedziało się za „przemianami rewolucyjnymi” w stosunkach gospodarczych i politycznych. 46 % żądało „reform konsekwentnych”, a 41 % „reform umiarkowanych”. 3 % respondentów zadeklarowało zadowolenie z warunków obecnie istniejących.

Zakładając więc nawet, iż wzrosły od początku roku akademickiego zarówno proporcje przerwanych zajęć, jak i proporcje najskrajniejszych grup w łonie wielu lewicowych organizacji studenckich, to i tak nie ich liczebność decyduje o narastaniu anarchii na uniwersytetach — narastaniu o różnej zresztą intensywności w różnych *Landach*. Decyduje o nim fakt, iż owe niewielkie grupy potrafią znakomicie organizować dezorganizację, że stosują przemyślane i szczegółowo wyreżyserowane metody, że demonstrują siłę i nadają ton, nieśmiając resztę, czyli przytłaczającą większość młodzieży.

Jest to więc układ szczególny, choć znany równocześnie z innych krajów. Rozszerzanie charakterystyki owych grup radykalnych, jaką próbuję tu podjąć, na ogół studentów niemieckich skrzywiłoby rzeczywistość całkowicie. Ilekroć więc mowa o radykalnej lewicy studenckiej, chodzi wyłącznie o rolę mniejszości, mniejszości wieloma sposobami z większością powiązanej, zakreślającej sobie platformę działań właśnie w oparciu o niepokoje i niedosyty owej większości — lecz nie reprezentatywnej ani dla jej obrazu, ani dla kierunku jej oczekiwań.

Działalność ekstremistycznych mniejszości na uniwersytetach jest poniekąd dalszym ciągiem, gdyż jeszcze w szkole średniej usiłuje żłobić sobie koryto. Zdarza się nawet, iż w niektórych *Landach* znajduje pożywkę w zalecanych tekstach, zwłaszcza w zakresie nauki o społeczeństwie (*Gesellschaftslehre*). Niedawno *Frankfurter Allgemeine Zeitung* krytykowała „wulgarną marksistowską indoktrynację”, zawartą w pewnych materiałach szkolnych w Północnej Nadrenii-Westfalii. W Hesji, w wytycznych

programowych, pochodzących od władz *Landu*, wykryto nawet całe ustępy, przepisane żywcem z tendencyjnego, wydanego w NRD podręcznika historii nowożytnej.

Również wśród nauczycieli szkół średnich mniejszość jedynie daje posłuch skrajnej lewicy, lecz — jak gdzie indziej — jest to mniejszość praca i ruchliwa. Młoda nauczycielka gimnazjalna w jednym z wielkich miast opowiada mi oto, że na zebraniu pedagogicznym padła propozycja swoistego tematu dla klasy: „Dlaczego system gospodarczy NRD góruje nad systemem gospodarczym Republiki Federalnej?”. Na dwunastu obecnych nauczycieli dziewięciu pomysł ten odrzuciło — znamieną była jednak sama propozycja tematyczna. Zauważyć tu należy, że niskie stosunkowo, jak na Niemcy Zachodnie, płace nauczycieli, pogłębiając poczucie upośledzenia społecznego, ułatwiają infiltrację skrajnie lewicowych prądów w tym środowisku zawodowym.

Nauczycielka owa podkreślała dalej znamieną rolę wiodącą małych grup uczniowskich. Ich orientacja lewicowa wynika z potrzeby nowych wartości w miejsce zdezaktualizowanych. Niedostatki programowe w nauczaniu historii potęgują dodatkowo świadomość próżni. Ponieważ ponadto organizatorsko-wychowawcza funkcja Kościołów niepomiernie się osłabiła — ciekawość dziecięca zwraca się tam, gdzie głośno, a więc na lewo. Przy tym dwóch czy trzech uczniów na trzydziestu wystarczy, by w jakiejś mierze „podbić klasę” albo uzyskać przynajmniej milczące jej poparcie. Podziw dla kolegi, polemizującego z pedagogiem, gdy ten mówi np. o potrzebie tolerancji dla różnych poglądów („Co mi tu pani za banialuki opowiada!”), trafia na grunt podatny w wieku, w którym dzieci łakną sprzecznej z porządkiem hierarchicznym przynależności grupowej. Rozmówczyni moja obserwowała nawet powtarzające się etapy procesu: W klasach dziewiątych (lat 14) wiadome agresje występują najostrej, przy najsilniejszym nasyceniu uczuciowym, w klasach dziesiątych i jedenastych opadają, wzrasta wtedy zainteresowanie doświadczeniem kosztem zainteresowania dogmatami. Im bliżej jednak uniwersytetu, tym częstsze nawroty agresji, jak gdyby z jednej strony aktywne grupy zaprawiały się przewencyjnie do atmosfery wyższych uczelni, a z drugiej strony oczekiwały niecierpliwie gotowego podarunku w postaci jednolitego, zamkniętego poglądu na świat, mającego wyrwać je z pustki i odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie od lat je trapią.

Ciągłość: szkoła-uniwersytet została potwierdzona kilkakrotnie w rozmowach moich z nauczycielami gimnazjalnymi. Jak później w wyższej uczelni, tak przedtem w gimnazjum, trzon uczniowski stanowią dzieci urzędników państwowych i prywatnych z różnych dziedzin i szczebli, kupców, przemysłowców, dzieci

ze środowisk inteligencji czynnej w wolnych zawodach. Tradycje robotnicze bowiem faworyzują tu wciąż jeszcze, jak gdzie indziej, a może i w większym stopniu niż gdzie indziej, średnie kształcenie zawodowe. Jak na uniwersytetach, tak w gimnazjum, owe grupy wodzące rekrutują się znacznie częściej spośród uczniów zainteresowanych w przedmiotach humanistycznych, niż w ścisłych. Tak więc, jak widać, preselekcja i wstępne wyprofilowanie dokonują się stosunkowo wcześniej — kontynuacja nastąpi już w wyższej uczelni.

I teraz zacznie się naprawdę. I będzie — w jakimś sensie — łatwiej niż w szkole. Tam trzeba było wysuwać się na pierwsze linie samemu, bez chronionych początkowo tyłów, przynajmniej jak długo nie wyraziła się jeszcze aprobata klasy. Skrajnie lewicowy nauczyciel-sojusznik należał — mimo wszystko — do rzadkości, a więc natarcie w pojedynkę wymagało niejakiego ryzyka i wysiłku umysłowego. Tu natomiast napięcie umysłu staje się mniej konieczne, można wśliznąć się niepostrzeżenie na szlak uprzednio już przez innych przetarty. Jest to nawet przydatne praktycznie, gdyż student pierwszego roku wpadając natychmiast w pole uważnej obserwacji, znajdując się pod lupą, bywa, tak czy inaczej, przedmiotem zabiegów — ze strony grupy (chodzi o tzw. grupy uderzeniowe — *Stosstrupps*) — poszukiwanym, popieranym, pożądanym. Odpowiedni członek czy wysłannik grupy — informują mnie asystenci i profesorowie — pomaga mu w przygotowaniu referatu, po czym należąc czy nie należąc do danego zespołu (frekwencja na zajęciach jest tu dobrowolna), zjawia się na seminarium, by debiutanta czy debiutantkę — w razie kontrowersji — podtrzymywać. Na wydziałach nauk społecznych ściśle dyrektywy grupy funkcjonują już w stadium sporządzania bibliografii. Jeśli więc np. organizacyjnie góruje „Spartakus”, pozycje wydane w NRD obowiązkowo wchodzi do rejestru.

Są to jednak tylko proste „techniki szkoleniowe”. Ważniejsze, że wspiera się je tzw. teoretyczną podbudową, zwracając się po tworzywo w stronę ideologii i psychologii. My, ludzie z Europy Wschodniej, przecieramy ze zdumienia oczy — sen to zły czy najgorsza jawa? — prawie niezdolni uwierzyć, że możliwa jest dzisiaj tak pierwotna „sloganizacja” myśli. Oto w dokumencie kursującym na uniwersytecie frankfurckim widnieje czarno na białym hasło walki z wykształceniem specjalistycznym oraz z empirycznymi metodami badawczymi, gdyż „służą one ideologii kapitalizmu” i powodują koncentrację wysiłków na „dziedzinach jednostkowych, nie odzwierciedlających już ogólnospołecznego procesu reprodukcji”... „Nauka burżuazyjna — czytamy również — stanowi w sferze wiedzy ścisłej zbiór osiągnięć, po-

trzebnych w procesie produkcji, zaś w sferze ideologii służy upowszechnianiu zasad kapitalizmu”.

Trzeba przyznać bezstronnie, że dyrektywy z zakresu psychologii stosowanej, udzielane członkom *Stosstrupps* i ich zwolnikom w tymże samym apelu, są już znacznie mniej dogmatyczne, za to znacznie bardziej zgodne z nakazami wypróbowanej, wykalkulowanej na zimno manipulacji ludźmi, jakiej, w razie potrzeby, używać można z powodzeniem nie dla obrony jednostek czy grup społecznie upośledzonych, lecz wręcz odwrotnie, przeciw ich interesom. Należy bowiem, w myśl owych dyrektyw, „wzmocnić udział słuchaczy niezadowolonych z dotychczasowych studiów, słuchaczy emocjonalnie niezrównoważonych, których praca grupowa może zaktywizować”. Należy wykorzystywać „brak informacji wśród studentów pierwszych semestrów i ich niepewność”. Gdy idzie o grono nauczające — kierować atak na asystentów, docentów i młodszych profesorów, albowiem tych właśnie łatwiej będzie „odciągać systematycznie od ich celów nauczania”. Wśród narybku pedagogicznego trzeba zresztą zdobyć więcej niż dotychczas sprzymierzeńców „na zasadzie strachu przed komisjami” (w których zasiadają też studenci — K. Ch.), „strachu przed udziałem studentów w głosowaniach, w decyzjach” itd.

Gdy wszystko jest wyłącznie „bronią klasową” — traci sens to nawet, co w założeniu sens posiada. I tak, nie bezasadnie skądinąd obawy przed specjalistycznym rozdrobieniem nauki stają się tu — jak łatwo odczytać — narzędziem jej pospolitej negacji. Obecny dziś we wszystkich niemal projektach reform oświatowych postulat zmiany w systemie klasyfikacyjnym osiągnięć uczniowskich i studenckich nie ma tu zmierzać do większej skuteczności i autentyczności procesów nauczania i uczenia się, lecz do dyskredytacji uniwersytetów, które za pomocą systemu ocen dotychczasowych „cementują społeczeństwo klasowe”. Wszystkie te tezy i formuły, doprowadzone do absurdu, uswięcają prawo do ignorancji. Pod pretekstem dysputy z „reakcyjnymi treściami w nauczaniu” studenci uniwersytetu w Osnabrück głoszą, że kwalifikacje fachowe są niepotrzebne, ba, wręcz szkodliwe. W Bremie żąda się reformy organizacyjnej egzaminów dyplomowych tak, by każdy kandydat mógł sam sobie wybrać komisję egzaminacyjną, wśród niej zaś trzech studentów, nawet ewentualnie z pierwszego roku.

Z tej samej jednak Bremy rozległ się donośny głos przestrogi przed ignorancją uswięconą stalinowskim dogmatyzmem. Dodajmy, „głos” tylko drukowany, gdyż lewicowego historyka, profesora Geissa, jednego z założycieli tamtejszej młodej uczelni, wła-

dze walnego zebrania nie dopuściły do słowa. Oto kilka zdań z projektowanego przemówienia:

„Tak zwana dysputa naukowa (rozprawa z nie-marksistami, względnie z marksistami wyłamującymi się z ortodoksji, zalecanej przez grupy wodzące — K. Ch.) cierpi z tego właśnie powodu, iż wśród niektórych ultra-lewicowców poziom wiedzy, którą reprezentują i o której tak często chcą ze mną, z oszłamiającą arogancją intelektualną rozmawiać, jest tak niezmiernie niski, że nie może być jeszcze mowy o żadnej poważnej dyspucie naukowej — a wiedza bierze się w końcu z tego, co się wie. Ich nowa nauka składa się w swej istocie z kilku zrytualizowanych reguł, które do wszystkiego przykładają”.

Ignorancja, wsparta żądaniem mono-ideologii, świetnie sprzymierza się z gwałtem. Gdy brak argumentów, zakrzykuje się i zastrasza, a zastraszanie posiada, jak wiemy, napęd własny. „Tu się nie głośnie, tu się walczy” — takie już nawet hasło padło w Berlinie, godząc wprost, ślepym cięciem w upragnione i w końcu zdobyte przez studencką większość prawo współdecydowania wraz z gronem nauczającym o istotnych problemach uczelni.

Terror demonstrowanej siły i hałasu wymusza najczęściej przystosowywanie się do kierunku wiatru, pod prąd płynąć wszak trudno i nie wypada, zwłaszcza gdy zdaje się on nacierać z dołu. Toteż opieraniem się prądowi trudnią się, jak dotąd, tylko najodważniejsi. Reszta nauczających i uczących się, zmęczonych, onieśmielonych, rozchwianych, zdezorientowanych, lawiruje, „taktuje”, wije się jak może. Słowa wytrawnego pedagoga: „Doszło do tego, że mój student z 'Juso', wyjątkowo inteligentny i wykształcony, inaczej mówi ze mną w cztery oczy, a inaczej w obecności swych kolegów z ugrupowań skrajnie lewicowych”. Lewy terror, upiękuszony „oddolnością”, przekształcając się w trwałą instytucję — umacnia lewy konformizm.

Rzecz powyższa dzieje się w sercu Europy, w wielkim, bogatym kraju, którego wewnętrzne losy i układy (niezależnie od bieżących proporcji sił między super-mocarstwami) muszą wpływać także w przyszłości, gdyż wpływały zawsze, na europejską rzeczywistość, jej perspektywę, jej tendencje. Rzecznicy nowej anarchii, karmionej starymi treściami, harują wśród społeczeństwa wyjątkowo zasobnego, słynnego w świecie z walorów swej organizacji i notującego w ciągu ostatnich lat kilkunastu sumę osiągnięć gospodarczych o szczególnym rozmachu i tempie. Oczywiście o podział tej zasobności, o podział dochodu narodowego, toczą się tutaj, jak wszędzie wokoło, ostre spory, niedawno dopiero miał miejsce szeroki strajk pracowników w instytucjach użyteczności publicznej, i nikt nie może zaręczyć, że Niemcy Zachodnie nie znajdują się wkrótce w obliczu innych strajków. NRD-owscy oficjałowie wznoszą z takich okazji triumfalne

„hurra” — natomiast NRD-owscy obywatele marzą sobie skrycie o prawie do strajku.

Za murem ze śmiercionośnymi instalacjami funkcjonuje bowiem w wiadomy sposób model „socjalizmu w cudzośćwie”, łatwiej stąd widocznego, po prostu bliższego fizycznie — niż np. z Włoch czy z Francji. Dlaczego więc tylu ślepych i głuchych — prawda, wśród mniejszości, lecz takich, z których jutro mogłyby się wywodzić elity społeczne — po tej stronie właśnie, o tyle swobodniejszej niż tamta, tutaj gdzie się z człowiekiem mówi, a nie wymusza na nim milczenia pod rewolwerem, gdzie się pertraktuje, a nie obezwładnia, gdzie granice są na oścież otwarte, a nie śmiercionośne?

Nie porywając się na „wyjaśnianie do końca”, chcę tu zestawić, w koniecznym przyspieszeniu, rejestr faktów, spraw i zjawisk, które składają się na podłoże problemu, przypomnieć o co się świadomie zaczepiają skrajnie lewicowe działania w tym kraju — i pokazać następnie, że oderwały się one od realnego gruntu, że wyrosła przepaść między tym, czym manipulują, a tym, co powodują.

Powtarzanie, że po wojnie, w bilansie uznawanych społecznie wartości po stronie „ma” widniało tu zero, byłoby właściwie zbędne, gdyby nie okoliczność, iż dla tych spośród ludzi tutejszych, którzy posługują się refleksją historyczną i polityczną, poczucie to pozostało do dzisiaj ostre i dręczące. „Nawet w nowopowstałych państwach komunistycznych — mówi inżynier o szerokich, poza-fachowych zainteresowaniach (z emigracji politycznej powrócił tu zaraz po upadku Hitlera) — można się wtedy było o coś zahaczyć, na przykład o uczucia narodowe — gdy my tymczasem nie mieliśmy nic. Narodowy socjalizm uczucia te skompromitował, w chaosie, pod szokiem, otrzymały one znak równania z mordującym szowinizmem”. Pewien student uzupełnił mi tę samą myśl: „W Niemczech konflikt pokoleń musi przebiegać gwałtowniej, niż gdzie indziej. Nie tylko rodzice nasi nie mieli nam w swoim czasie nic do zaoferowania, lecz cokolwiek by od nich pochodziło, to i tak musielibyśmy odtrącić”. Asystent przy katedrze historii: „Wszędzie w Europie Zachodniej młodzież odwróciła się od starych wzorców wychowawczych, wszędzie nastąpiło zniszczenie ciągłości. Ale nasi rówieśnicy we Francji czy Anglii od zaplecza tylko uciekli — myśmy się go także wstydzieli. Wstyd boli bardziej niż wyrzucanie rupieci na śmietnik. W innych krajach między naszymi rówieśnikami a ich rodzicami jest, powiedzmy, pustka, jest życie obok. Między nami a naszymi rodzicami — był hitleryzm”.

Reedukacja społeczeństwa po wojnie dokonywała się tu

w obliczu jednego z największych w dziejach nowoczesnych krachów moralnych. Nie sposób wchodzić w jej arkany, najkrótszy zarys prowadziłby za daleko w przeszłość i w szczególności, a śpieszy mi się do czasów bliższych, ludzie, którymi się zajmuję, mają dzisiaj od lat osiemnastu do dwudziestu kilku. Więc zatrzymajmy tylko w pamięci punkt początkowy: krach, chaos, próżnia, oraz — wśród najbardziej myślących — do dziś trwająca tego świadomość.

Gdy rodzili się dzisiejsi osiemnasto- i dwudziestoletni, do kraju, drażnzonego uprzednio poczuciem klęski i bankructwa, napływały już wielkim strumieniem środki na rzecz gospodarczej odbudowy i rozbudowy. Przy wprężeniu wysiłków i zdolności tutejszych zaczęło to funkcjonować, jak na procesy tego typu, szybko i bez zarzutu. Gdy dzisiejsi osiemnasto- i dwudziestocztery dwudziestokilkuletni wchodziłi w wiek szkolny, społeczeństwo czerpało już pełnymi garściami — choć oczywiście w różnym stopniu, zależnie od warstw i środowisk — korzyści konsumpcyjnego dostatku. Zarazem opustoszały po upadku Trzeciej Rzeszy obszar instytucji państwowych i społecznych napęłał się już od lat wielu demokratycznymi strukturami i treściami. Dzięki ich rozwojowi, ich stopniowemu wchodzeniu w nawyk, Niemiecką Republikę Federalną, wbrew wszelkim wewnętrznym zakłóceniom, a może ściślej, wraz z wewnętrznymi zakłóczeniami i sprzecznościami, właściwymi demokracji parlamentarnej, można dziś uznać za jeden z najbardziej demokratycznych organizmów państwowych w Europie.

Dostatek konsumpcyjny, nie likwidując oczywiście społecznych nierówności, rozszerzył niepomiernie bazę zróżnicowanego lecz niezaprzecznego dobrobytu. W obręb klasycznych warstw średnich zaczęły wchodzić od dołu grupy wysoko płatnych robotników, mnożących się z rozpędem różnorodnych kategorii techników, czy wreszcie pracowników wykonujących rozliczne funkcje pośrednie między organizacją produkcji, nadzorem czy administracją. Cezura na górnych krańcach warstw średnich, oddzielająca je od elit społecznych czy to ekonomicznie, czy intelektualnie, wydaje się więc o wiele ostrzejsza, niż granice chłonności na dole. Chłonność oznacza tu coraz szerszą i łatwiejszą dostępność środków materialnych.

Owo burzliwe zatem, w ciągu niewielu lat, rozszerzenie się bazy zamożności również od dołu utrwaliło dawny styl form i upodobań kulturowych. Jak wiadomo skądinąd, mogą leżeć w gruzach drabiny wartości moralnych, a obyczaje i upodobania kulturowe, w ich średnim przekroju, twardo trwają, nawet nie drgnąwszy pod naporem dziejowych huraganów. Toteż prze-

ciętny czyli statystycznie najszerszy materiał konsumpcji kulturalnej jest tu, określając łagodnie, nieatrakcyjny. Powiedzmy, że bywa tak wszędzie, ale tu syci się on dodatkowo nieznośnie konserwatywnymi tradycjami — *süßlich-liebllich*, z jakich nie wyzwała się nawet jazz czy *beat* młodzieżowy. Dziesiątki, setki piosenek, śpiewanych na estradach, w telewizji czy w radiu przez bardzo zresztą sympatycznych młodych ludzi, bezlitośnie nudzą uszy sentymentalnym zawodzeniem w banalnym rytmie, na starą, mdłą nutę. Mają nawet te okazy kiczu specjalną nazwę: *die Schnulze*. W kinach najczęściej złe westerny lub niezliczone *sex-show*. Chodzimy czasem do małych kin studyjnych, gdzie wyświetla się filmy nie nowe, lecz pod względem wartości czy przynajmniej zamierzeń twórczych wyselekcjonowane. Na sali sama, dosłownie sama młodzież, osobnik pod trzydziestkę lub niewiele starszy to już odbijający od otoczenia wapieniak. Jedno czy drugie ambitniejsze przedstawienie teatralne w tym czy innym mieście, a nawet kilka ambitniejszych sezonów, nie przeobraża niestety kierunku popytu, dobitnie demonstrowanego przez publiczność. Owszem — by oddać komu trzeba sprawiedliwość — robi się coś niecoś w tej sprawie, nawet w telewizji, ale jak na razie wysiłki to syzyfowe. Kraj z elitami intelektualnymi nie byle jakiego formatu, z ogromnym ruchem wydawniczym, z publicystyką o szerokim tchnieniu, z wielką tradycją teatralną, z tłumną frekwencją na doskonałych koncertach — pławi się, gdy idzie o przeciętną konsumpcję kulturalną, w nieruchawym prowincjonalizmie.

Jeśli pewna część młodzieży ugrzęzła w owej mazi starych gustów, powleczonej tylko cienką warstwą nowego makijażu, to inna jej część, rzecz jasna (choć trudno to wykryć statystycznie), od nich się odwraca. Gorączkowe zatem i gorzkie niekiedy — w obliczu otaczającego, upartego filisterstwa — szukanie nowych treści kulturowych zbiega się z niepokojami o miejsce w życiu, ostatnio właśnie nasilonymi, wobec prognoz ewentualnej stagnacji wzrostu gospodarczego w bieżącym roku, wobec kryzysu naftowego z wszystkimi jego rzeczywistymi lub sztucznie rozdymanymi reperkusjami. Dotychczasowy rozwój społeczeństwa konsumpcyjnego zwielokrotnił możliwości zawodowe, a więc zdynamizował oczekiwania i ambicje. O miejsce i awans w zawodzie było łatwo. Ale nie od dziś, nie od wybuchu kryzysu naftowego, wiedziano czy raczej przeczuwano, iż zarówno dobór pracy, jak i szybkość pięcia się w górę natkną się w końcu na jakiegoś hamulca, co w cyklach rozwoju gospodarczego jest zjawiskiem naturalnym. Jednakże to się wie — ale z tym się pokornie nie godzi. Doradca personelu w wielkim przedsiębiorstwie, publikując w jednej z gazet swoje obserwacje, zauważył oto, że trzy-

dziesiątkaletek uznaje swą szansę życiową za straconą, jeśli nie widzi dla siebie perspektywy wejścia do zarządu firmy najpóźniej do lat czterdziestu. Oczekiwania awansu czy jego perspektyw są zapewne mniej napięte w innych, skromniejszych środowiskach pracowniczych, lecz i tu urealnianie ich nie dokonuje się bezszmerowo. Toteż w obliczu warunków nieco mniej korzystnych, przy chwilowym nawet obniżaniu się pułapu możliwości w różnych dziedzinach zawodowych, jedni obojętnieją („Po co mi te kłopoty, im niżej, tym wygodniej, byle nieźle zarobić”), u innych natomiast pojawia się niecierpliwość z nowym, do niedawna jeszcze nieobecnym dodatkiem rozdrażnienia.

Niecierpliwości sprzyja powolność reform. Duża część młodzieży niemieckiej postawiła oczywiście w polityce wewnętrznej na gruntowne reformy gospodarcze i społeczne — ona to przecież przyczyniła się walcnie do zwycięstw wyborczych SPD. Koalicja rządowa SPD z reprezentującą warstwę mieszczaństwa FDP — ze względu na fakt, iż każda z tych partii wysuwa na plan pierwszy interesy innych grup społecznych i w wielu istotnych sprawach wyznaje odmienne poglądy — spełnienia owych zamierzeń nie przyspiesza. W sumie, powiedzieć można że tendencja reformatorska rozwija się w Niemczech Zachodnich powoli i normalnie... to znaczy nierównomiernie. Tak np. jeśli idzie o nacjonalizację kluczowych gałęzi przemysłu, Republika Federalna pozostała w tyle za Francją i Anglią. Nawet w zakresie pewnej ograniczonej ingerencji państwa w mechanizmy rynku tamte kraje ją wyprzedziły — tutaj stara liberalna zasada wolnej gry sił rynkowych działa dotąd w postaci czystej. Przodują natomiast Niemcy w dziedzinie różnorodnych projektów, zmierzających do udziału pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami (*Mitbestimmungsrecht*), jak również do pewnych form ich udziału we własności (*Vermögensbildung*). Uczestniczenie przedstawicieli pracowniczych w zarządach przedsiębiorstw w proporcji jednej trzeciej bywa już rzeczywistością, lecz teraz dopiero powstał projekt globalny, oparty z grubsza na przedstawicielstwie parytetowym właścicieli i pracowników. I ten projekt jednak nie uchodzi w wielu swych szczegółach za wystarczający, kwestionują i wręcz ostro krytykują jego skuteczność w obecnej formie związku zawodowe i wiele innych organizmów. A poza tym jest to dotąd tylko projekt. Zanim doformuluje się ostatecznie, zanim przetoczy się przez kolejne komisje i czytania w parlamencie, zanim zacznie funkcjonować — wiele wody upłynie w Renie.

Wreszcie bezpośrednio już sprawy studentów. Przeprowadzane na wrywki, fragmentarycznie, niejednolicie od *Landu* do *Landu*, zmiany organizacyjne na uniwersytetach nie oznaczają jeszcze głębokiej reformy systemu studiów, mającej zerwać z konserwa-

tywnym modelem nauczania wyłącznie w kierunku z góry w dół. Projekty tej także reformy kołaczą się od wielu lat po różnych gremiach oraz gabinetach, i dokołać się nie mogą — zawdzięczając to nie na ostatnim miejscu właśnie działalności ultra-lewicowców. (O tym jednak za chwilę). Ponadto miejsc na uniwersytetach, zwłaszcza na wydziałach, wymagających zajęć praktycznych w laboratoriach i pracowniach, jest o wiele mniej niż kandydatów, na medycynie dysproporcja stała się drastyczna, również wobec zgłaszanego tu zapotrzebowania państwowego. Stypendia na ogół zbyt niskie (w demonstracji w Bonn 30 tysięcy studentów domagało się ich podwyższenia przynajmniej o 100 marek miesięcznie) — przy czym rozdział ich jak mnie informowano, bywa często przypadkowy. Domy akademickie przepelnione, prywatne pokoje bardzo drogie. Na koniec, różne placówki usługowe — chociażby stołówki studenckie — pozostawiają nie raz jeden wiele do życzenia. Na uniwersytet w Hamburgu, „pękający w szwach” — według słów jednej ze studentek (dwadzieścia kilka tysięcy słuchaczy) — przybyła niedawno na spotkanie ze studentami grupa robotników. Nie mogli się nadziwić oglądając kantinę, że studenci muszą jadać „w takich warunkach”.

Na całym zakreślonym tu w najogólniejszych konturach zespole niepokojów i oczekiwań młodzieży, czasem na zwykłych wręcz niedogodnościach, spekulują lewicowi ekstremiści. Sprytnie łapią na wędkę ważne i mniej ważne troski i kłopoty, manipulują szeroko wśród młodzieży rozpowszechnionym pragnieniem zmiany, po czym odbijają się od ziemi, szybując ku pustym formułom, które, jak nam wiadomo, nie leczą ale niszczą. Ogluszając zamiast analizować, wiedząc zawsze i o wszystkim lepiej i *a priori*, pomiatając wartością doświadczeń owi pretendenci do rządu dusz — szkoda zdolności myślenia. Stosując terror hałasu zamiast dyskusji, nie są w stanie przeobrazić modeli kulturowych, natomiast często wręcz utrudniają przygotowanie młodzieży do zawodu. Rozprzestrzeniając anarchię w uczelniach — wiążą siły, paraliżują dążenia reformatorskie i w rezultacie reformę modelu nauczania opóźniają. Tłukąc taranem mono-ideologii w prawo do pluralizmu zagrażają potencjalnie nie tylko już randze wyższych uczelni, ale wolności nauki. Operując z programowej próżni — odzierają niecierpliwość młodych ludzi z jej funkcji naprawczej, z konstruktywnej siły napędowej, jaką w sobie nosi. Proklamując bowiem upolitycznianie za wszelką cenę wszystkich i wszystkiego — dokonują faktycznej depolityzacji znacznej części młodzieży studenckiej, czynią z niej w wieku zbyt wczesnym „milczącą większość”, która przed polityką tak pojętą szuka schronienia bądź w konformizmie, bądź w rezygnacji. Oderwaw-

szy się dogmatycznym impetem od realiów politycznych i społecznych — kaleczą jedną z piękniejszych wizji współczesnej socjaldemokracji: wizję samo-reformującego się i samo-naprawiającego się w ramach swych demokratycznych instytucji państwa, ograniczającego stopniowo, choć powoli, obszar przywilejów i udostępniającego stopniowo, choć powoli, zasoby i korzyści społeczne coraz szerszym warstwom. W to miejsce usiłują narzucić społeczeństwu dywagacje: „za systemem czy przeciw niemu” — dywagacje jałowe, gdyż zmian systemu na modłę wschodnią czy wschodnio-podobną nikt — poza minimalną mniejszością — tutaj nie chce, nie chce jej także klasa robotnicza. Nie formułują w istocie żadnych realnych propozycji, poza pretensją do władzy nad młodzieżą. Ma to być przy tym władza dobrze nam znanego „szczególnego typu”. Przewodniczący zarządu ogólnostudenckiej organizacji oświadcza podczas strajku we Frankfurcie, iż masa studencka czuje się reprezentowana przez radykalną lewicę, a zatem sama nie musi się politycznie angażować. Sam Stalin zganiłby zbyt szczerości...

Określiłam ich przedtem jako „ślepych i głuchych”, trzeba mi jednak — gdy docieram do moralnej strony problemu — określenie to skorygować. Przyjawszy ostrożnie, że i wśród nich znajdują się tacy, którzy nie wiedzą co czynią, mówię o tych co wiedzą na pewno. Nie zmysłu lecz *woli* widzenia i słyszenia są pozbawieni — muszą zatem kłamać. Z „socjalizmu w cudzysłowie” wybierają to, co im dla doraźnej argumentacji pasuje (gdy idzie np. o NRD akcentują rozwój szkolnictwa i opieki zdrowotnej) — lecz strzały z muru i wszystko, co one ujawniają czy symbolizują puszczają mimo uszu. (Podobnie, w swoim czasie, nie zakłócała im spokoju „walka ideologiczna”, prowadzona za pomocą bomb przez grupę terrorystyczną Baader-Meinhof). Skazani na afirmację czegoś *co jest* — nie stać ich bowiem na poszukiwania struktur odmiennych i lepszych — upatrują sobie, zależnie od upodobań, na obszarze od NRD po niesprawdzalne Chiny, kraje lub tylko elementy ustrojów — w stopniu mniej lub bardziej absolutnym — „modelowe” i praktykują ich afirmację doktrynalną czyli kulawą, okrojoną o prawdę i rzeczywistość. Używając znanych metod, umieją dziś szermować hasłem, które jutro położą pod stół. Gdy np. wydarte z kontekstu przykłady NRD-owskie okazują się chwilowo nieprzekonywujące — potrafią, przymrużywszy oko, do czasu zamilknąć. Co nie przeszkadza im głośno lub cicho pomawiać o zdradę wychodźców czy uchodźców z krajów wschodnich, a na pytania kolegów — naiwne lub złośliwe — dlaczego nie spróbują sami pożyć trochę za murem, mają w zanadru gotową odpowiedź: „Nie wszędzie rozwój jest jednakowy, my, po tej stronie, jesteśmy już uro-

bieni przez wyższy poziom życia — lecz tamtą stronę system dźwiga wwyż”. Wdzięczni adepci komunistów włoskich czy francuskich, klepiących po ramieniu dzielnych pod-ludzi ze Wschodu. Ozdobieni pochlebny „statusem buntowniczym”, nie wzdrygają się przed wpędzaniem w dręczące konflikty sumienia swoich wrażliwszych rówieśników, rozdartych często między naturalnymi odruchami solidarności a nakazami wzroku i słuchu. Niedouczeni historycznie, depcząc więc tym skwapliwiej historyczną pamięć — nie chcą słyszeć ani przyznać, dokąd prowadzić mogą metody totalitarne wszelkiej barwy.

Jakkolwiek organizacja „Juso” do tematu mego formalnie nie należy — zacieśniłam go wszak wyłącznie do lewicy ekstremistycznej — nie sposób, ze względu na charakterystyczną jej niejednorodność choć najpobieżniej o niej nie wspomnieć. Podkreślę więc tylko, że w tej największej na terenie Europy organizacji młodzieży socjaldemokratycznej ścierają się w istocie tendencje różne, od reformatorskich z ducha i metody, aż po radykalne, nie bardzo od ekstremistycznych oddalone, wymierzone przeciw instytucjom i strukturom istniejącego organizmu państwowego. Czy różne te tendencje będą na dłuższą metę współistnieć w tych samych ramach, czy jedne zetrą z powierzchni drugie, czy też „Juso” noszą już w sobie zalążki rozłamu? Trudno obecnie o odpowiedź — nie udzielił jej zresztą ostatni kongres tej organizacji. Przyjęty oficjalnie program głosi absolutną nierozłączność socjalizmu i demokracji, szukając przy tym sposobów „konstruktywnego nacisku” na SPD w celu przyśpieszenia reform i sprzeciwiając się zarazem współpracy z komunistami. Jednak i ten kierunek szamocze się zarówno wśród nacisków, podnoszących się w szeregach własnej organizacji, jak także wśród taktycznych zasadzek koegzystencji. Toteż spytać wypada, w jakiej mierze pozostanie on rzeczywiście zwycięski, zwłaszcza wobec okoliczności, iż drzwiami i oknami pchają się dziś do „Juso” ekstremiści, w pogoni za wygodną platformą działania. Partia macierzysta, SPD, nie ukrywa troski o organizację młodzieżową i przestrzega ją przed radykalizmem pozorów (*Scheinradikalität*). Jeżeli jednak niektórzy spośród socjaldemokratów żądają wykluczenia tych członków „Juso”, którzy występują przeciw podstawowym liniom programowym SPD, to inni odmawiają rozprawiania się z nimi poprzez decyzje administracyjne i nie tracą jeszcze nadziei na możliwości perswazji. Tak czy owak, „Juso” w ich postaci obecnej wydają się dalecy od jednoznaczności programowej i od stabilizacji. Toteż nadzieje na odpór, jakiego oni właśnie mieliby udzielać ekstremistom, są co najmniej płonne.

Ponieważ w ogóle nie bardzo wiadomo, skąd ma nadejść od-

pór, ponieważ ponadto skrajnie radykalna mniejszość wciska się różnymi kanałami do różnych placówek i instytucji, do radia i telewizji, do wydawnictw i teatrów — przeto podnoszą się coraz częściej głosy niepokoju, jak gdyby „przestrogi dla Niemiec”, oparte o reminiscencje z niedawnej historii. Uzasadniając w grudniu ubiegłego roku decyzję zawieszenia wykładów i seminariów, rektor uniwersytetu we Frankfurcie, Kantzenbach, tak oto pisał o zajściach sprowokowanych przez skrajnie lewicowych studentów:

„Stosowane metody przypominają w sposób zastraszający początki panowania nazistów sprzed lat czterdziestu, kiedy to profesorowie żydowscy i marksistowsy byli atakowani przez studentów ze skrajnej prawicy”.

W artykule ogłoszonym w styczniu na łamach szwajcarskiej *Weltwoche* Golo Mann przypomina również, że słynny socjolog, Jürgen Habermas, sformułował pojęcie „lewego faszyzmu” w odniesieniu do sytuacji na uniwersytetach niemieckich. Dodam dla dokładności, że na moje pytania, zwrócone do kilku osób, skąd tyle bierności w społeczeństwie wobec gwałtów dokonywanych przez lewicowych ekstremistów, odpowiadano mi, że w pokoleniach starszych i średnich nie wygasło jeszcze wspomnienie fizycznego niemal strachu przed fanatyzmem młodych hitlerowców.

Analogie często prowadzą w las — jakżeż więc jest naprawdę z tym znakiem równania? Prawda: grupy uderzeniowe, zastraszanie, gwałt, wodząca rola małych grup, terroryzowanie większości przez mniejszość — wszystko to przywodzi na myśl wspomnienia złowrogie i wykluczać nie należy, iż owe złowrogie formy działań politycznych służą ekstremistycznej lewicy za wskazówki metodyczne, tym bardziej, że ze względu na wiek swych zwolenników nie poczuwa się ona do odpowiedzialności za przeszłość. Wskazówki te dotyczą jednak form, a nie treści i osobiście jestem za tym, by form z treściami nie mieszać. Nie widzę powodu, by sowietyzm lub jakiegokolwiek jego odmiany nazywać faszyzmem, po pierwsze dlatego, że wbrew wspólnym metodom totalitarnym są to formacje różne, reprezentujące odmienne grupy interesów i odmienne ośrodki czy też sieci dyspozycji politycznej, po drugie zaś dlatego, że przydawanie miana faszyzmu sowietyzmowi czy też wybranym jego elementom wywodzi się, zdaniem moim — świadomie czy nieświadomie — z fałszywego wartościowania: Oto faszyzm ma być w tej wersji czymś jeszcze gorszym, dnem jeszcze głębszym, katastrofą społeczną jeszcze tragiczniejszą. Ten zabieg pojęciowy jest psychologicznie wytłumaczalny w Niemczech, gdzie najświatlejsze jednostki, nie chcąc, by wygasła rozprawa z przeszłością, sięgają do własnego układu

odniesienia, do *własnego* dna narodowej hańby, uważając, iż nie należy przesłaniać jej czy umniejszać grzechami cudzymi. Nasza jednak wiedza porównawcza winna pozostać niezmacona: oba systemy wykazują jednakową zdolność w deptaniu praw ludzkich. Nie ma zatem sensu sugerować — poprzez stosowanie fałszywej nazwy — iżby jeden miał być mimo wszystko trochę lepszy od drugiego.

Co rzekłszy — twierdzą to z całym przekonaniem — nie ma dziś w Niemczech Zachodnich żadnych absolutnie przesłanek na recydywę faszyzmu. Zgoda, nie wszyscy hitlerowcy wyginęli, wciąż toczą się procesy przeciw sprawcom zbrodni wojennych, lecz rotacja pokoleń, przemiany ustrojowe, niezmiernie konsekwentne funkcjonowanie instytucji demokratycznych i trwający do tej pory, choć przez krytycznych demokratów niemieckich ciągle jeszcze uznawany za niewystarczający rozrachunek z hitleryzmem i z jego źródłami — dokonują swego. W rozmowach prywatnych, nie od dziś zresztą prowadzonych, rzecznicy „niezmienności niemieckiej” zarzucali mi i zarzucają dotąd nadmiar optymizmu. Widzę się raczej bliżej pesymizmu, w przeświadczeniu, iż z każdym narodem da się zrobić wszystko przy zastosowaniu „odpowiednich” metod.

Nie należy również mieszać źródeł odpowiedzialności. Siły, które aktywność ekstremistycznej lewicy wśród młodzieży niemieckiej pobudzają i rozniecają, nie biorą się z żadnej czkawki po hitleryzmie, lecz pochodzą wyłącznie z rozmaitych wariantów ideologii i dyktatury komunistycznej, splecionych z bieżącą, otwartą propagandą wschodnio-niemiecką, sowiecką czy chińską.

Lewy terror w środku Europy — wbrew przywłaszczanej sobie legitymacji internacjonalizmu — niweczy wszelkie możliwości porozumienia się z młodzieżą i w ogóle ze społeczeństwami z krajów wschodnich. Starą i łzawą śpiewkę o młodzieży zbuntowanej zawsze i wszędzie, gdyż takie jest prawo jej wieku — trzeba więc z czystym sumieniem między bajki włożyć. Gdzież zbieżność między ekstremistami niemieckimi a młodzieżą polską? — która, prawda to, daje znać o sobie tylko w chwilach osobliwych, lecz gdy się już odzywa, wie dobrze po co i dlaczego. Przychodzi jej poza wszystkim mówić, milczeć lub działać w obliczu państwa uzbrojonego po zęby w narzędzia represji, nie zaś, jak tutaj, w ramach wyjątkowo liberalnego organizmu państwowego, tym baczniej strzegącego swobód obywatelskich, że do dziś jeszcze przerażonego bezwładem instytucji i mechanizmów państwowych podczas narastania hitleryzmu. Najlepsi spośród młodzieży polskiej wołają o trochę więcej wolności — względnie ściślej i tragiczniej — o trochę mniej niewoli. Pragną trochę

więcej dobrobytu — lub dokładniej — trochę mniej niedostatku. Na uniwersytetach kołaczą daremnie o trochę więcej samodzielności — lub prawdziwiej — o trochę mniej ujarzemia. By raz jeszcze użyć słów Golo Manna „tęsknią do tego wszystkiego, co młodzież tutejsza posiada w nadmiarze i czym dlatego właśnie gardzi”.

Krzycząca mniejszość ma również w pogardzie zasadę tak wyblakłą, jak niepodzielność prawa do wolności. Internacjonalizm musi siedzieć w koniunkturze, toteż dobiera sobie ostrożnie obiekty braterstwa. W Kolonii wpadła mi w rękę ulotka w obronie dwóch Turków, niesłusznie — według jej autorów — wydalonych z domu akademickiego. Gromowładne oburzenie, solidarność na wysokie „c”, chronią więc to Turków, to Greków czy Irańczyków, co byłoby rzeczą wielce chwalebną, gdyby chciano dostrzec równocześnie obszar bezprawia i niewoli tam, po wschodniej stronie. Cóż, skoro solidarność międzynarodowa podlega ściślej regulacji ruchu. Komuniści „klasycy”, trockiści, maoiści i jeszcze inni ustalają np. dokładne — i oczywiście sprzeczne między sobą — dyrektywy, jak należy się zachować wobec banicji Sołżenicyna. Wyreżyserowany, arbitralny pseudo-internacjonalizm, hojny lub skąpy, grandilokwentny lub niemy zależnie od okazji, skazuje w rezultacie na całkowite osamotnienie wszelkie odruchy wolnościowe na terenach panowania sowieckiego.

W tym sensie wspiera on mocno sowiecką koncepcję współistnienia. Przypomnieć tu trzeba, iż przeciwnicy owej koncepcji nie marzą — jak twierdzi chętnie propaganda komunistyczna — ani o jutrzejszej wojnie atomowej, ani o zagłodzeniu krajów wschodnich. Ostrzegają natomiast, jak mogą, przed kształtem świata, definitywnie już *porąbanego na części* w imię utrwalania sfer wpływów i wielkiego handlowania między wielkimi partnerami. Chcą uzmysłwić opinii światowej — choć niestety maleje ustawicznie pole ich wysiłków — groźbę hermetycznego zamknięcia, z milczącym przyzwoleniem amerykańskiego partnera, sowieckich obszarów władania, bezsilnych w swej strzeżonej samotni. Ukazują i nazywają po imieniu zarzewie katastrofy, jakie z sobą niesie wyschnięcie resztek łączności ludzkiej między tą a tamtą stroną, wtrącając ludzi stamtąd w podległość ostateczną.

Ekstremistyczna lewica w Niemczech (i gdzie indziej), z jej doktrynalnym zamknięciem, z koniunkturalnym niewidzeniem i niesłyszaniem, z jej fikcją internacjonalizmu, działa — niezależnie od swych rozdrobnionych, grupowych identyfikacji — na rzecz sowieckiego modelu koegzystencji i staje w poprzek wszelkim przeciwnym mu dążeniom. W tym widzę, prawdę mówiąc, niebezpieczeństwo na dalszą metę znacznie poważniejsze,

niż bezpośrednie skutki opisanych poczynań tu na miejscu i w tej chwili. Widma komunizmu, zdolnego krążyć po Europie, krzycząca mniejszość studentów niemieckich — wbrew wszelkim gwałtom i zabiegom — na ulicę wyprowadzić nie zdołała. Za to w rąbaniu świata na części spisuje się doskonale.

Kamila CHYLIŃSKA

20 kwietnia 1974

Zapowiedzi wydawnicze

MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
A LITERATURA SOWIECKA

w przekładzie Michała Kaniowskiego.



DEKLARACJA P R A W CZŁOWIEKA

w językach:

białoruskim, czeskim, litewskim, polskim,
rosyjskim, słowackim i ukraińskim.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 lutego 1974

Wspomnienie w tonacji *Sunset Boulevard*, albo jak zatytułowano recenzję z tego filmu: *Sic transit Gloria Swanson*. W tonacji minorowej oczywiście, bo rzecz dzieje się nie w Hollywood lecz na ludowym rzymskim Zatybrzu.

Piękna Rosina L. była najsłynniejszą chyba gwiazdą włoskiego filmu niemego, ubóstwianą (żeby użyć słówka z języka kinematografii) przez widzów, kochaną przez mężczyzn i imitowaną przez kobiety, obsypywaną kwiatami przez obłączycieli i klejnotami przez co szczęśliwszych zdobywców, witana oklaskami gdy wchodziła do teatru lub restauracji, ściganą na ulicach przez łowców autografów, uwiecznianą przez żurnalistów i fotografów. Jeszcze dzisiaj włoskie woluminy filmologiczne wysuwają ją na honorowe miejsce z towarzyszeniem całostronicowych podobizn, a włoscy bezzębni starcy wzdychają i drżącymi rękami dotykają serca na sam dźwięk jej nazwiska.

Zawarłem z nią znajomość pod koniec lat pięćdziesiątych. Mieszkała na Zatybrzu w ciasnym sublokatorskim pokoiku, tak ciasnym i zagraconym że z trudem się w nim poruszała. Była już starą i zniszczoną kobietą, chociaż w twarzy zachowała ślady dawnej urody. Pędziła życie na pograniczu nędzy, straszliwie przy tym smutne, samotne i monotonne. Któryś z jej amantów — kandydat na kolejnego męża z bardzo bogatej rodziny piemontkiej — w przeddzień ślubu popełnił samobójstwo, zapisawszy niedosłej żonie w testamencie wypłacane miesięcznie dożywocie. Rodzina denata respektowała wciąż jego ostatnią wolę, ignorując całkowicie zmiany wartości liry: co niegdyś, w momencie zapisu, było dużą czy w każdym razie pokaźną sumą, stało się po latach

mizerną pensyją grubo poniżej lichej zapomogi emerytalnej. Cały nagromadzony majątek Rosiny przepadł (mniejsza o to jak) podczas wojny, musiała więc tę pensyję uważać za jedyne oparcie aż do śmierci. Żywiła się torebkowymi zupkami, popijała je najtańszym sikaczem, ubolewała że przestano lirę dzielić na centy, odmawiała sobie wszystkiego z wyjątkiem dwóch narkotyków: kina i magazynów ilustrowanych. Po wczesnym obiedzie wyciągała się „dla zdrowia” na łożku otoczona swoimi *rotocalchi*, wertowała je pracowicie stronica za stronica, ciekawsze artykuły i ilustracje wydzieriała i wrzucała do tekturowego pudła obok wezłowia. O zmierzchu zaczynała się przygotowywać do Wyjścia przed niewielkim lustrem w kącie pokoju. Przygotowania trwały tyle co normalny seans w kinie: nie wykluczone że dlatego właśnie, aby „wyjściowy” mozół okazał się nieco bardziej uzasadniony, zdarzało jej się często przesiedzieć w kinie dwa seanse. Było jej zresztą wszystko jedno jakie filmy ogląda, nie studiowała repertuaru, po prostu ruchem zegarowym odwiedzała raz wybrane sale projekcyjne w nie zanadto od domu długim promieniu. Wracała na zatybrzańską *Via del Tramonto* rozanimowana, po drodze wstąpiwszy do podławego baru, gdzie (dzięki niej samej) wiedziano kim jest i nie żałowano jej udanych bądź szczerych (w zależności od wieku gości) oznak rewerencji dla osłody tradycyjnego *amaro*. W rok mniej więcej po naszym spotkaniu przeprowadziła się do innej dzielnicy Rzymu, ofiarowano jej bezpłatny pokój w zamian za godzinę codziennej konwersacji angielskiej z dziećmi gospodarzy. Straciłem ją wtedy z oczu, później dowiedziałem się przypadkiem że umarła. Wątpię, czy ma własny nagrobek z nazwiskiem na cmentarzu Verano.

Mimo że zamknięta i raczej nieufna, dosyć mnie polubiła, parokrotnie pozwoliła się nawet zaprosić na kolację. Pewnego wieczoru z tajemniczą i uroczystą miną wręczyła mi mały pakiet. Napisała pamiętnik, dla załatwienia dziur w budżecie postanowiła go przedłożyć redaktorom najpoczytniejszego wówczas magazynu ilustrowanego, najpierw jednak chciała o nim usłyszeć „fachową opinię człowieka pióra”. Pamiętnik, napisany prawie bez interpunkcji (jakby była uczenicą Molly Bloom) zajmował sto stroniczek cienkiego zeszytu szkolnego i składał się z dziesięciu rozdziałów. W dziesięciu odmalowała energicznymi krechami i plamami amory z „mężczyznami swego życia”, kładąc nacisk na *obscoena*. Dziesiąty powinien się być nazywać *Schifo*, dominowało w nim bowiem uczucie obrzydzenia: stanowił podsumowanie burzliwego i urozmaiconego *curriculum* seksualnego, uwięzione w epilogu snem na jawie autorki; oczami wyobraźni, nie ukrywając mściwej delectacji, widziała nagich „mężczyzn swego życia” wbitych rzędem w porządku chronologicznym na haki

rzeźniczkie (z przyrodzonej skromności nie dodaje jak wbitych czyli za co powieszonych, niech wystarczy informacja że dłońmi zamiatali ziemię).

Pamiętniczek nie był arcydziełem w stylu uroczej *Fanny Hill* Johna Clelanda, szkodziła mu nadmierna, śmiertelna wręcz powaga. Nie miał też, w ząbkujących dopiero latach pięćdziesiątych, żadnych szans przedarcia się przez zaporę cenzury obyczajowej do złotodajnego królestwa *rotocalco*. Miałby je przypuszczalnie teraz, jeśli sądzić po zalewie sprośnych filmów i publikacji w kinach i kioskach gazetowych. Kiedy mijam kolorowe plakaty filmowe i odczytuję na nich tytuły w rodzaju *Zgwałcona siedem razy w obecności męża* lub *Gryź, szarp, ćwiartuj moje ciało*, kiedy na ladach kiosków kartkują świeże co tydzień tomiki ociekające Chucią, staje mi żywo w pamięci obraz jatki z pamiętniczka Rosiny. Arcydzieła — powiedzmy sobie szczerze — nie urodziła, nie wysiliła się również zbyt w odsłonięciu publiczności pasma swych doświadczeń alkowianych, ale intuicyjnie bodaj zrozumiała jałowość pornografii jako samoniszczącej się maszyny do produkowania dreszczyków erotycznych. Chwała jej za to pośmiertna, gdyż od współczesnego pornograficznego obłędu auto-destrukcyjnego myśl chyżej pomyka wstecz, ku dalszym i bliższym dziejom nieprzystojności.

8 lutego

Wczoraj o powodzi filmów i broszurek pornograficznych pisał Montale (co było zapłonem dla mojego rdzą pokrytego wspomnienia). Przerażony, zdegutowany, sięgnął na półkę po *Dekameron*, żeby uzyskać głębszą perspektywę. Zatrzymał się na opowiadaniu *Wilk w owczarni*. Młody wiejski chłopak Masetto z Lamporecchio, tryskający męskim wigorem, udaje głuchoniemego przyglupka, w pełni świadomy że przy jego wieku i wyglądzie jedyny to sposób wkręcenia się do żeńskiego klasztoru w roli poszukiwanego przez mniszki ogrodnika i drwala. Mniszki rzeczywiście, osmielone jego kalectwem czyli gwarancją grobowego milczenia, dogrzebują się w nim szybko i z uciechą przyrzędu, którego podświadomie bardziej pragnęły niż łopaty i siekiery. Chytrus żyje jak w haremie, nie ogród zwyczajny uprawia i nie drzewo zwyczajne rąbie... Obsługiwaniem całego klasztoru tak jest w końcu zmęczony, że swój fortel głuchoniemoty wyjawia przeoryszy, wybrawszy odpowiednią do tego chwilę wśród miłośnych z nią obłąpek (bo i ona go na kilka aż dni i nocy ucapiła „ku wielkiej żalości mniszek, skarżących się gorzko, że ich ogród za długo odłogiem leży”). W owczarni popłoch, ale wilka po

szkodzie wypuścić nie można. Uradzają tedy mniszki wieść w okolicy szerzyć, że „za sprawą ich nieustannych modlitw, tudzież wstawiennictwa patrona klasztoru, niemy i głuchy pachoł mowę i słuch odzyskał”. Niebawem powierzają mu zarząd klasztoru i tak zmyslnie jego pracę organizują, by jej wydołać potrafił. Na starość wraca do wsi rodzinnej, objuczony wszelkim dobrem. Morał: „Użył Masetto sprytnie własnej młodości i zwykł był powtarzać, że Bóg nagradza zawsze pracowitych ogrodników w winnicy swojej”. Lekturę noweli Boccaccia skwitował Montale krótką refleksją: „Jego ustny charakter sprawia, że wszystko słyszemy lecz niczego nie widzimy. Rezultatem jest wesoła groteska. Upłyną stulecia, zanim do głosu dojdzie naturalizm”. Innymi słowy, kogo o zgrozę czy choćby tylko mdłości przyprawia pornograficzne rozwyrżenie naszej epoki, niech w tropieniu winnych o grzech pierworodny oskarża naturalistyczne „opisywactwo”.

Jest to przejęcie zagadnienia w stronę techniki opisu, z uszczerbkiem dla poglądów na człowieka i świat, które się za nią kryją. Metoda Boccaccia była symptomem pewnej filozofii ogólnej, a nie wyłącznie indywidualnym wynalazkiem artystycznym. Przed laty zabawiłem się w rozprawkę krytyczną *Intryga i Miłość*, właśnie *Dekameron* posłużył mi w niej za punkt odbicia. Pod szkieleto wziętem inne niż Montale nowele Boccaccia, ale także *Wilk w owczarni* pasowałby niezgorzej — na planie plebejskim — do mojego wywodu. Chodziło mi w nim o przykład renesansowego spojrzenia na miłość, które nie mogło się obyć bez fortelu, podstępny, zręczny i przebiegły manewru, jako swoistego atestatu namiętności. „Wesoła groteska” była literackim wyrazem konceptu „w miłości jak na wojnie” (tak w *Dekameronie* nazywa się jedna z najtypowszych nowel, spokrewniona w pomysłach z historią Masetta). Z rezerwą traktuje się dziś szkolarską formułkę De Sanctisa, że „ludzka komedia” Boccaccia stanowiła renesansowe przewyciężenie średniowiecznej *Boskiej Komedii* Dantego: ograniczony, trzeźwy i sceptyczny ideał humanistyczny zastąpił absolutyzującą wizję teologiczną. Niesłusznie. De Sanctis, zgoda, przesadził trochę z pokusy zaokrąglenia; w zasadzie miał rację. Boccaccio nie lubił zadzierać głowy do nieba i akceptował spokojnie życie w jego „niezmiennej rzeczywistości”, rozumiejąc przez to ciągłą dwoistość Cnoty i Fortuny. Ludzkie sprawy, wśród nich miłość, podlegały według niego przeważnie Fortunie, której wobec tego należało w miarę umiejętności i inteligencji „pomagać”. *Dekameron* był podręcznikiem wojennej gry miłosnej, jak *Książę Machiavellego* był poradnikiem wojennej gry orężnej i politycznej (z dodatkiem *Mandragoli* na froncie Erosa). W „niezmiennej rzeczywistości” Boccaccia nie premiowano sentymentów

talnych durniów i fuserów, nigdy jednak nieprzystojność nie nabierała w nim cech monomanii i pępka świata. Ciało łaknęło uciech, duch (po włosku *spirito* znaczy „duch” i „dowcip” lub „spryt”) dbał usilnie by mu ich nie zabrakło, i kropka. Ta kropka nie uciniała całej rozmowy o człowieku.

Ogromny przeskok nad stuleciami do naturalizmu uzmysławia, ile w „realności” zaszło zmian. Najpierw pogodna strategia miłości, potem jej mroczna psychologia, wreszcie jej mroczniejsza jeszcze fizjologia. Model człowieka otwartego na świat został stopniowo wypchnięty przez oko mikroskopijnie skierowane na siebie. Naturalistyczne „opisywactwo” jak gdyby powiększyło wagę ciała, nadało płci posmak instancji ostatecznej.

W obecnym stuleciu o czterech pisarzach wypada mówić, jeśli się chce prześledzić co dalej z nieprzystojnością, jak próbowano wybrnąć ze ślepego zaułka naturalizmu. Są to: D. H. Lawrence, Joyce, Céline i Henry Miller. Lawrence był misjonarzem seksu, ocierał się niemal o swego rodzaju metaseksualizm. Joyce był genialnym artystą, płeć fascynowała go o tyle, o ile obejmował ją zamiar mitologizacji banalnej codzienności. U Céline'a seks był jedną z nut w ryku protestu przeciw bezsensowi współczesnego życia. Miller, choć zabrzmiał to dziwacznie, miał w sobie okrusz renesansowej (raczej wścieklej i tragicznej niż spokojnej, co prawda) akceptacji „realności”.

Po nich czterech, którzy nad nieprzystojnością panowali, nieprzystojność zapanowała nad ich następcami. Jesteśmy świadkami specyficznej seksualnej „rewolucji nihilizmu”, głoszącej że nic poza seksem nie istnieje. Ostatnia powieść Morawii nazywa się *Io e lui*: „ja” to ja, „on” to mój *phallus*. Mój? On mógłby o mnie powiedzieć *mój*. U kresu tej drogi czekają haki rzeźnicze, wyśnione po prekursorsku przez biedną przekwitłą Rosinę.

Rzym, 14 lutego

Wieczór sołżenicynowski w *Palazzo Barberini*, sala nabita po brzegi, ściany gęsto podparte spóźnionymi słuchaczami, masa ludzi na korytarzach; zrozumiałe, skoro ta prezentacja *Archipelagu*, zaplanowana przed miesiącem, zbiegła się dokładnie z dekretem banicji i przyjazdem Sołżenicyna do Frankfurtu. Moim partnerem w prelekcji, ilustrowanej fragmentami na gorąco tłumaczonymi z oryginału rosyjskiego książki, był młody sławista z uniwersytetu sienneńskiego Gianlorenzo Pacini, członek włoskiej partii komunistycznej. Może nie zdecydowałbym się na odnotowanie imprezy w dzienniku, gdyby nie pewien dość znamieny incydent o którym rozpisze się prawdopodobnie prasa.

Otworzyłem wieczór ja, po mnie do dzieła wziął się Pacini. Bardzo ładnie określił *Archipelag* jako „oratorium bólu”, uplasował autora obok największych pisarzy rosyjskich, podkreślił że konkluzją tych sześciuset strasznych stronicy miałyby w intencjach Sołżenicyna być nie krwawa rozprawa z oprawcami, lecz ich dobrowolna *mea culpa* wiodąca do *katarsis* porewolucyjnej Rosji. Ponieważ prócz spraw rosyjskich tkwi po uszy w czeskich, dorzucił że podobne intencje przyświecały inspiratorom „praskiej wiosny”. Ktoś z audytorium krzyknął: „Odpowiedź przyszła na działkach czołgów sowieckich!”. Pacini podniósł głowę znad karteluszków, zastanowił się chwilę i wyskandował stanowczym głosem: „Otóż to. Błąd Czechów polegał na zaufaniu do pokojowego rachunku sumienia, bez odwoływania się do gwałtu. Nie da się uniknąć rewolucyjnego przewrotu, także w Rosji. Jestem przekonany, że po lekcji czeskiej zgodziłby się ze mną Sołżenicyn”. Wtedy przerwałem: „Nie, nigdy”. Pacini spojrzał na mnie zdumiony, w jego wzroku pojawił się i znikł szybko cień wymówki.

Po wieczorze taki się koło trybuny zrobił harmider *all'italiana*, że nie udało mi się zamienić z Pacinim paru słów na osobności. Chciałem mu wyjaśnić sens mojego „nie, nigdy”. Z tego co wiem o Sołżenicynie i czego się w nim domyślam, należy on do Rosjan, których bilans Października zaszczerpił radykalnie przeciw ciągotom do wszelkich przyszłych rewolucji, zwłaszcza rosyjskich; stąd twierdzenie Amalrika (cytuje z pamięci), że „okropności lat 1917-1920 okazałyby się idyllicznymi obrazkami wobec gwałtownego kryzysu reżymu w ZSSR”. Natomiast nie trzeba mnie przekonywać o dziecinnym błędzie Czechów, do znudzenia uspokajających Starszego Brata i Opiekuna, że cokolwiek się stanie nie wystrzelą ani jednej kuli w obronie swojego pokojowego „nowego kursu”.

Tyle o samym incydencie. Reszta, usunięcie albo wystąpienie sienneńskiego sławisty z partii, jest kwestią czasu i doboru mniej hałaśliwych okoliczności.

Neapol, 20 lutego

Jakaż elegancka, cięta ostrym nożykiem w przezroczyście materiale, jest nowela Rogera Caillois o Poncjuszu Piłacie! I jaka pusta, pustką tak zwanego „ducha Oświecenia”! Opiera się, zgodnie z regułą większości dydaktycznych przypowieści historycznych, na „gdyby”. Co by było gdyby prokurator Judei zdobył się na akt sprawiedliwości i odwagi, zapomniał o dyplomacji i rzymskiej racji stanu, zlekceważył nalegania Synhedrionu i odmówił

parafy dla ukrzyżowania Jezusa z Nazaretu? Mesjasz dożyłby sędziwego wieku otoczony nimbem świętości, po śmierci pielgrzymowano by do jego grobu, ale nie powstałoby chrześcijaństwo. Bo bez ukrzyżowania, bez męki, chrześcijaństwo jest nie do pomyslenia. Judasz, w opowiadaniu Caillois, zaklina Piłata: „Nie sabotuj wielkodusznym gestem odkupienia człowieka. Nie uwalniaj niewinnego, którego oddałem w twoje ręce. Ugnij się przed wolą Pisma Świętego, zapewni Zbawicielowi chwałę dzięki hańbie tortur jakie zostaną mu zadane. Śmierć na krzyżu będzie poręką Słowa Bożego”. Mędrzec chaldejski Marduk również namawia prokuratora Judei, by „kosztem niewinnej krwi przyspieszył nadejście nowych czasów”. Piłat: „Sokrates i Lukrecjusz nie szanowaliby religii, która by dla zapuszczenia korzeni wymagała niesprawiedliwości i tchórzostwa człowieka”. Marduk: „Dowodzi to tylko że ani Sokrates, ani Lukrecjusz, ani ty, prokuratorze, nie posiadacie duszy religijnej. W gruncie rzeczy Sokrates i Lukrecjusz nie szanowali żadnej religii”. Piłat obstaje przy swoim i odprawia w kwitkiem Kajfasza. Prorok nie umiera na krzyżu, nowa religia obumiera w zarodku.

Illuministyczne marzenie o historii wysterylizowanej, czystej, odpornej na działanie ciemnych, nieuchwytnych sił, zagnieżdżonych w „duszy religijnej”. Nie było, nie ma i nie będzie takiej historii. Czy nauka Chrystusa rozprzestrzeniłaby się bez znaku zastygłego na wieki w krucyfiksie, jest tutaj obojętne. Istniałby zawsze dramat władzy i jednostki ludzkiej, racji stanu i prawdy, przemocy i wolności. Coś w tym musi być, że motyw Piłata tak pociąga wyobraźnię współczesnych pisarzy. Opowieść o prokuratorze Judei, wbudowana w *Mistrza i Małgorzatę*, pokazuje go w rozmowie z Jeszua. Na pytanie co sądzi o władzy państwowej, Nazareńczyk odpowiada: „Każda władza jest gwałtem dokonanym na człowieku, nadejdzie czas w którym nie będzie ani władzy, ani cesarów, ani żadnej w ogóle zwierzchności; zwycięży królestwo prawdy i sprawiedliwości, gdzie władza stanie się zbyt czarna”. Przedstawiciel Tyberiusza w Jerozolimie wpada w dziki gniew. Ochłonawszy z gniewu: „Powiadasz, że nastanie królestwo prawdy?”. Jeszua: „Tak, hegemonie”. „Nigdy, nigdy!” — wrzeszczy Piłat głosem strasznym i wściekłym, głosem od którego chwieje się Nazareńczyk. Który z tych dwóch Piłatów, francuski czy rosyjski, wydaje nam się bardziej realny?

Można zapytać inaczej: co jest „normalne”, a co „anormalne”? Lubię notatkę Simone Weil z jej brulionów do *Wenecji ocalonej*: „Trzeba wpoić na chwilę uczucie, że dobro jest anormalne. I w samej rzeczy tak właśnie jest na tym świecie. Nie posiada się świadomości tego: daje ją sztuka. Anormalne lecz możliwe, i to jest dobro”. Między *Mistrzem i Małgorzatą* a opo-

wiadaniem Caillois rozwiera się przepaść, dzieląca słowo artysty od *bon mot* encyklopedysty.

27 lutego

Błońskiego „przyczynek do ikonografii Polaka”, czyli *Jakim siebie marzy*. Niestety urywek tylko większej całości, która ma się ukazać w sympozjoni IBL i UJ. Ale i w tym urywku sporo postrzępionych nici pobudza do refleksji.

„Roztrząsanie polskości nigdy nie było popularniejsze niż dzisiaj”. Ucieczka w przeszłość? W znacznej jeśli nie przemożnej mierze, twierdzi Błoński. „Odczepione od bieżącej codzienności, baśnie, legendy i mity polskie rozkwitają w najlepsze... Nasz świat wewnętrzny zaludniają znaki i symbole, ciągle żywe w literackiej tradycji... Fascynacja przeszłością jest zresztą powszechna. Wszyscy piszą prawdziwe czy rzekome pamiętniki, odwołują się do wspomnień dzieciństwa, do mitycznego już prawie przedwojnia... niczym do ziemi nie tyle obiecanej, ile *par excellence* literackiej”.

Sytuacja jest dosyć paradoksalna. W międzywojennym dwudziestolecu znaki i symbole polskości, wykształcone przed rokiem 1914, składano do lamusa. Hasłem był okrzyk Lechonia *Wiosną niech wiosnę, nie Polskę, zobaczę*, odsyłający kwestię narodowej swoistości na urlop bezterminowy. „Inni, od Żeromskiego do Kruczkowskiego, przymierzali ją do politycznej aktualności”. Problematykę narodową przesłaniał, z ostentacyjną obojętnością, bzik „doganiania Europy”. Poeci awangardowi reagovali na „polską osobliwość” gęsią skórka, a bywało że i piana na ustach. Więc czym sobie tłumaczyć tę rezurekcję tematu polskości w Republice Ludowej? „Czołówkę literatury pogodził z nim Gombrowicz”, orzeka Błoński. Orzeka nie bez podstaw, ale trochę to tak jakby o zalanej górze lodowej sądzić po jej sterzącym nad wodą wierzchołku. Gorączkę polskości, polskiej „swoistości i osobliwości”, spowodowały procesy o których nieporęcznie było mówić Błońskiemu: rojenia o powrocie do „narodowego łona”, tęsknota do maści na narodowe rany niezagojone i co dzień to boleśniej to odrobinę oględniej jątzone.

Niechaj jednak będzie, poprzestańmy chwilowo na „czołówce literackiej pogodzonej z tematem polskości przez Gombrowicza”, tym więcej że Błoński wyraźnie zakreślił swoje pole obserwacji: polskość, jego zdaniem, dzięki Gombrowiczowi zmienia się z kategorii politycznej, społecznej, zewnętrznej wobec literatury, w wewnętrzną literacką czy kulturalną; zobowiązuje do wytworzenia oryginalnego „typu” Polaka, szczególnej postawy wobec

świata; sprawie samookreślenia narodowego nadaje znaczenie uniwersalne. Nawet nie będąc tak przysięgłym jak Błoński admira-torem Gombrowicza, nie mam trudności podpisać się pod jego oceną. Gombrowicz odwinął polskość ze świętych zwojów papieru, właściwie zrobił z „polskiej niedojrzałości” autentyczny element sztuki, z Polaka w sobie wycisnął artystę uniwersalnego, suwerennego i dumnego. W literaturze drażonej już wtórnością, skłonnej do powierzchownego podglądania, wywaciwania, mechanicznego naśladownictwa, nadwrażliwej na cudze mody i smaczki (choćby u nas zawieszane w próżni), było to osiągnięcie ogromne. Własną a przecież pokrewną drogą, uczulony na inne aspekty tej samej rozprawy Polaka z sobą, idzie Mrozek.

Lecz, jak się rzekło, wszystko to odbywa się w wymiarze „wewnętrznie literackim czy kulturalnym”. Zadowolenie przechodzi w zakłopotanie, gdy próbujemy zobaczyć co się dzieje „na zewnątrz”. Tutaj „rozkwit w najlepsze” polskości, „odczepionej od bieżącej codzienności”, jest formą lęku przestrzeni. Samodzielne polskie wyjście na świat staje się polską norką, którą wygrzebało odwrócenie się tyłem do świata z mężnie w przeszłość wypiętymi piersiami. Szkic Błońskiego *Polak jakim siebie marzy* powinien być czytany łącznie z wcześniejszym o cztery lata artykułem tegoż autora *Polak jaki jest, każdy widzi*. Mowa w nim była o „zaściankowości” Polaków, o tym że „wbrew pozorom, Polacy nie są teraz zupełnie ciekawi świata”. Kończył się westchnieniem: „Daj Boże, żeby im nigdy świat nie skoczył do gardła”. W kraju cieszy się powodzeniem słówko „rozziw”, używa go się przy byle okazji. Ta jest wyjątkowo stosowna.

21 marca

Włoski tygodnik komunistyczny *Giorni-Vie Nuove* zdobył tekst listu Dubczeka do wdowy po Smrkovskym. Zainteresowanie komentatorów skoncentrowało się natychmiast na jednym jego passusie. Dubczek zachodzi wciąż w głowę czemu brano w Moskwie za dobrą monetę nieobiektywne i zniekształcone informacje o celach, jakie wytknął sobie „nowy kurs”. W podtekście tych autoindagacji kryje się przeświadczenie, że gdyby Moskwa była obiektywnie i ściśle informowana o socjalistycznym i w pełni przez partię kontrolowanym kierunku rozwojowym „praskiej wiosny”, pół miliona wojaków nie wyruszyłoby do boju przeciw dwóm tysiącom słów. Łatwo zachodzenie w głowę Dubczeka zbyć wzruszeniem ramion: Moskwa otrzymywała ściśle informacje, tylko miały one inny sens dla politbiura sowieckiego, a inny dla Dubczeka i towarzyszy; źródłem alarmu na Kremlu

była nie słabość Dubczeka lecz jego siła, nie śmiertelna groźba wisząca nad socjalizmem lecz zaraźliwa próba nadania mu bardziej „ludzkiej twarzy”. Tę prostą prawdę w imię zdrowego rozsądku ustaliliśmy, nie warto zastanawiać się na serio ile ma racji Jiri Pelikan, który w liście Dubczeka do Smrkovskiej widzi akt autokandydatury ex-sekretarza do sukcesji po Husaku podyktowany dwojaką kalkulacją: Rosjanie muszą jakoś wybrnąć z impasu pointerwencyjnego w Czechosłowacji; zniknęli ze sceny politycznej trzej główni promotorzy interwencji, Szelest, Ulbricht i Gomułka. Sowiecka *Partijnaja Žizn*, w świeżej i gwałtownej polemice z komunistami hiszpańskimi, „releguje” pośrednio te rachuby do środkiej krainy ufudy.

W liście Dubczeka zrobił na mnie większe wrażenie akcent pozornie osobisty. Pisząc do Smrkovskiej w dniu pogrzebu jej męża, przewidując że będzie to pogrzeb cichy i w miarę możliwości zakonspirowany przez władze, Dubczek opowiada jak było z pogrzebem jego matki półtora roku temu: nikomu, poza najbliższymi, nie pozwolono odprowadzić zwłok do krematorium w Bratysławie i później na miejsce wiecznego spoczynku do wsi rodzinnej. Komentatorzy listu, w przystępie oburzenia, bąknęli coś o „znęcaniu się nad pokonanymi”. Owszem, znęcanie się też, przede wszystkim jednak straszny upiór DEMONSTRACJI. Milczącej, skamieniałej, mało istotne, dość że demonstracji. Gdzie język ulega degradacji i deprawacji, zbiorowe milczenie huczy jak grzmoty nadciągającej burzy. Przejdzie bokiem? A nuż nie przejdzie? Lepiej nie ryzykować. Mój znajomy prozaik z Warszawy nosił się kiedyś z zamiarem napisania powojennej „historii Polski w pogrzebach” (półzakazanych). Osia kompozycyjną — wyborań! — *Pięknych kalalii* Madeja jest pomysł brodacza wyjąca na ulice miasta z tablicą pomalowaną na czarno i pieczęcią na ustach. Komisja Kontroli Partyjnej odpłaciła autorowi surową naganą za „książkę niezgodną z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”. Co z partyjnego punktu widzenia zobaczono na czarnej tablicy, której brodacz nie skaził ani jednym słowem? Ot wam i zagadka (z bezpartyjnego punktu widzenia).

24 marca

Wymień utwór, który najtypowiej zainaugurował włoską literaturę powojenną: zabawiano się w to dziś wieczorem u przyjaciół. Przyszła kolej na mnie. „Dostojewski powiedział: wyszliśmy wszyscy spod *Płaszcz* Gogola; większość włoskich pisarzy powojennych mogłaby o sobie powiedzieć: wyszliśmy z butów z chole-

wami Brancatiego”. Opowiadanie Brancatiego (pisarza sycylijskiego słabo znanego poza granicami Włoch) *Stary w butach z cholewami* ukazało się w roku 1944, w letnim numerze miesięcznika neapolitańskiego *Aretusa*.

W mojej odzywce była doza efekciarskiej szarży, ale nie za duża. Od tamtych lat, gdy jako żołnierz Drugiego Korpusu na tyle nauczyłem się włoskiego by przeczytać opowiadanie Brancatiego prawie bez słownika, czuję jego znaczenie nie błędne wcale z upływem czasu. Wyjść z butów z cholewami oznaczało wyjść z faszyzmu, a kupa pisarzy włoskich siedziała w nim po uszy. Małeńki urzędniczyna magistracki Piscitello (po polsku Siusialski), z wyglądu i zawodu sycylijski potomek Baszmaczki, decyduje się wziąć faszystowską legitymację partyjną, bo mu nędzne i tak życie zatruwają zwierzchnicy w biurze i żona w domu. Odtąd jego żalosną, chaplinowską figurkę wciągają tryby partyjnej maszyny. Biega z musu w czarnej koszuli na spędy partyjne, rączkę podrywa odruchowo do góry w salucie faszystowskim, podczas uroczystych manifestacji drepcze spocony niby mysz kościelna w przepisowych butach z cholewami (symbol marsowej krzepy). Im więcej błazeńskich obowiązków nakłada na niego zaszczytny — i konieczny dla ocalenia posadki gryzipiórka — tytuł *camerata* (Mussolini, były socjalistyczny „towarzysz”, wolał w terminologii nowej partii zawadiackiego „kamrata”), tym gwałtowniejszą nienawiścią pała nieborak do faszyzmu. Nie sypia po nocach, bredzi, zadręcza żonę obelgami i przekleństwami, pluje na czarną koszulę, z wybuchem wojny słucha wniebowzięty BBC, ukradkiem odwiedza nielicznych w miasteczku „anty”. Którejś nocy żona, u kresu wytrzymałości, przypiera go do muru: „Łachudro! I cóż ci złego zrobił faszyzm?”. Siusialski wybałusza ślepek, jakby go zatkało. Medytuje, medytuje, w końcu wydobywa z siebie jęk: „Każą nam nosić buty z cholewami”. Brancati ładnie wzdycha na stronie: „Ach, dlaczego strofy Milтона i Leopardiego o wolności nie przyfrunęły na odsiecz temu biedakowi, nękanemu wszystkimi cierpieniami jakie poczciwej duszy gotuje ucisk, a przecież niezdolnemu do wydukania dlaczego cierpi?”. Nowelę zamyka lądowanie aliantów na Sycylii. Siusialski jest jedną z pierwszych ofiar „epuracji”, która oszczędza możniejszych i obrotniejszych od niego. Wykopują go z magistratu, przyjmuje dymisję nieobecnym potakiwaniem głowy.

Melancholijny i cierpkawy komizm, rzeczywistość oglądana z dołu, wybebeszanie mitu, dreptanie boso na szczątkach pogruhotanej opery pseudoheroicznej, łezka *self-pity* uroniona nad trudnościami powrotu do zwyczajnego życia, wola podźwignięcia się z katastrofy: z grubsza składniki włoskiego „neorealizmu”, które w rozmaitych proporcjach przesądziły o specyficznym „sma-

ku" literatury i filmu po upadku faszyzmu. U Brancatiego wykrywa je się dopiero w zawiązku, przy czym z dodatkiem nieporozumienia (albo podświadomego samousprawiedliwienia) naturalnego zapewne w roku 1944, we Włoszech przeciętych jeszcze linią frontu na dwie części.

Borges wyłowić ostatnio, nie wiem skąd, burknięcie Crocego za panowania Mussoliniego: „We Włoszech nie ma ani jednego faszysty, wszyscy udają faszystów”. Filozof neapolitański uprościł sobie sprawę, być może to uproszczenie zaważyło na *Starym w butach z cholewami*. Do pobożnych życzeń wczesnych czy późniejszych przeciwników reżymu wprowadziłbym korekturę: niemal wszyscy Włosi udawali faszystów, i udawali z takim zapałem, że nałożona maska zmieniła im w końcu rysy twarzy. Krach „odrodzonego imperium rzymskiego” był dla tysięcy Siusialskich przebudzeniem z ręką w nocniku (śliczna formułka wymyślona w Polsce): z ręką wdrożoną do salutu faszystowskiego w nocniku pełnym drobnomieszczkańskich, straconych iluzji; piszę „drobnomieszczkańskich”, bo wielka burżuazja włoska wiedziała co robi stawiając na faszyzm, podobnie jak latyfundiści — w obu wypadkach ceną poparcia była faszystowska gwarancja „porządku społecznego”.

Skutki przebudzenia z ręką w nocniku dają o sobie znać i dzisiaj: podejrzewam, że to wtedy wrodzony włoski sceptycyzm przerodził się w cynizm, najcięższą chorobę Republiki. W obecnej włoskiej fali korupcyjnej groźniejsza nawet od niej samej jest reakcja na nią przeciwnego Włocha: „Któż się spodziewa po rządzących czegoś innego? Rządzą zawsze łobuzy i złodzieje”. Zdąrza się też często po takim *dictum* słyszeć zdanko na przyprzążkę: „Jacy by nie byli ci faszyci, kradli nie tak już bezwstydnie”. Palec ręki oczyszczonej z nocnikowych brudów wskazuje aluzyjnie lekarstwo gorsze od choroby.

27 marca

Dokładnie dziesięć lat trwała ważność wizy pobytowej Kafki w Pradze. Zaczęło się od wyzwania Ernsta Fischera pod adresem towarzyszy czeskich: „Dacie, u diabła, Kafce wizę wjazdową?”. Problem debatowano na zamku w Liblicach pod Pragą 27 i 28 maja 1963 roku, w dobranym gronie luminarzy marksizmu europejskiego z obu stron żelaznej kurtyny. Był to zaiste Proces na Zamku. Jedni perorowali za, inni przeciw, w zasadzie warunkową decyzję pozytywną załatwił już wcześniej Goldstücker na Głównym Zamku Hradeckim, praktycznie rzecz biorąc spór toczył się o jej motywację. Ostrożnym marksistom z Podzamcza

Kremlowskiego nie było do Liblic śpieszno, na odległość tylko zasugerowali kolegom oparcie motywacji na „przecuciu faszyzmu” w twórczości Kafki: numer bez pudła, dawno wypróbowany, tak niegdyś wizę do ZSSR dostał twórca *Biesów*. Sugestię przyjęto kwaśno, co może i lisie tam, zanadto słoniowate tutaj. Należało rozstrzygnąć śmiało niebylejaki dylemat: kafkowska „alienacja” jest wyłączną cechą kapitalizmu, czy zdołała również wtargnąć jak zaraza do twierdzy socjalizmu? Złoty, chciałoby się powiedzieć: koegzystencjalny, środek podsunął Garaudy: kafkowską „alienację” zapiszmy raczej na konto współczesnego społeczeństwa przemysłowego, niż jakiegokolwiek określonego systemu politycznego. Na tej podstawie wydano banicie wizę wjazdową i pobytową. Anulowano ją w maju zeszłego roku, artykułem w tygodniku partyjnym *Tribuna* pod bezapelacyjnym tytułem *Z Kafką przeciw socjalizmowi*. Właściwie (wynika z artykułu) zbrodnia Kafki jest cięższa: za absurdałne uważał wszelkie systemy społeczne, ale ostatecznie nie ma powodu kłopotać się w Pradze jak sobie z nim poradzą rządy poza zasięgiem władania socjalizmu. Niechby jego duch potępiony i wyklęty przez ludzi szybował w przestworzach, gdzie w najgorszym razie natknie się na kosmonautów sowieckich i amerykańskich, budujących zgodnie „wspólną platformę-laboratorium przyszłości”.

E. była trzy lata temu w Pradze, w hotelu poprosiła dyżurującego przewodnika, sympatycznego staruszka poligłotę, o turę nadprogramową: postanowiła odwiedzić grób Kafki na cmentarzu żydowskim. Zawiózł ją niechętnie, oglądał się lękliwie i wciąż przynaglał, gdy stała przed kamienną płytą. „Boi się pan?”. „Ech, pół biedy jeszcze z doktorem Kafką, są tacy co im się zachciewa na grób Palacha”. Palacha już nie ma, w przeddzień Zaduszek ubiegłego roku ekshumowano nocą urnę z jego prochami i zakopano gdzie indziej jako śmiertelne resztki Marii Jedlickovej. Kiedy dowiemy się, że ze starości zapadła się pod ziemię i zarosła chwastami płyta grobowa Kafki?

31 marca

Paolo Flores, młody włoski doktorant filozofii zbliżony politycznie do grupy *Manifesto*, wybrał się w grudniu do Warszawy na zaproszenie polskich przyjaciół. Na Okęciu UB wyluskało go z gromadki pasażerów. Został odesłany samolotem do Włoch po kilku dniach aresztu. Słyszałem o tej historyjce, mówiono mi że Flores opisał ją w *Manifesto*, ale pismo widuję rzadko i nieregularnie, przegapiłem jego relację. Wczoraj przyszła zamówiona fotokopia. Mojemu dzienniczkowi nie zaszkodzi akcent humoru

krajowego, tym więcej że zaharowana Z. zaniedbuje od pewnego czasu swoją rubryczkę.

Szukano u Floresa „tajnych dokumentów politycznych”, że zaś ich nie znaleziono, do rangi *corpus delicti* zaawansowała jego torba z książkami. Ten bezsporny *corpus* wystarczył, by niefortunnemu podróżnikowi zaproponować współpracę z Organami. „Proponujecie mi robotę szpiegowską?”. Jaką „szpiegowską” (obruszył się towarzysz Ubu), czemu zaraz „szpiegowską”, w wypadku szanownego pana szpiegostwem byłoby pisanie donosików na obywateli włoskich, a nas interesują obywatele PRL, nasi ludzie, u kiego licha „szpiegostwem” nazywać obronę praworządności socjalistycznej, w gorącej pan wodzie kapany... Argument nie trafił podróżnikowi do przekonania, zabrano się więc do torby z książkami. Inkryminowany bagaż składał się z książek zagranicznych i paru tomów Biblioteki Kultury. Zwrócono prawowitemu posiadaczowi *Pisma polityczne* Rousseau po francusku, chociaż w pierwszej chwili ubuś aż zachichotał z radości, zmylony przypuszczalnie podobieństwem nazwiska autora do Ruska. *Pierwszy krąg* Solżenicyna po polsku wywołał krótkie i dosadne warknięcie: „Zwyrodnialec na służbie CIA”. Na widok książki Władysława Bińkowskiego ubuś wyszczerzył zęby, po czym zawył „kontrprogram, kontrprogram!” takim rozdzierającym basem, jakby przyfapał autora *Dróg wyjścia* na włamaniu do cudzego mieszkania i zgwałceniu nieletniej dziewczynki. Książka Bukowskiego *Nowa choroba umysłowa w ZSSR: opozycja*, po francusku, skierowała uwagę innego, bielejszego w cudzoziemszczyźnie, ubusia na wydawcę. Czy przesłuchiwany wie, że *Editions du Seuil* to reakcyjne wydawnictwo? Nie, nie wie, a nawet jest w tej sprawie odmiennego zdania. Ubusia oblatanego w zagranicy zbiło to lekko z tropu, pomaszzerował do sąsiedniego pokoju na konsultację telefoniczną z ekspertami Organów. Wrócił triumfujący: „A nie mówiłem? Siedzi tam masa francuskich Żydów”.

Pociechę w relacji Floresa jest okoliczność, że gdy go wielokrotnie wożono na trasie Okęcie-Pałac Mostowskich, eskorta w samochodzie wyrwała sobie z rąk polskie książki przynależne do *corpus delicti* i zachłannie je kartkowała. Nic w naturze nie ginie.

2 kwietnia

Kawałek listu z Warszawy, ze sfer nie literackich: „My przeżyliśmy ostatnio (pewnie słyszałeś) kataklizm osiemdziesięcioletnia urodzin Współczesnego Wieszcza. W kinie, w radio, w tele-

wizji, nawet w muzeum. Wzruszał się człowiek oglądając Iwaszkiewiczą w kujących spodenkach w wieku lat czterech (w kronice filmowej), brakowało tylko zdjęć gołego bobasa na skórze niedźwiedziej i na nocniczku (te prezentowano w muzeum na Starym Mieście). No ale wszystko jakoś mija, więc minęło i to też”.

5 kwietnia

Nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć z kim i o co założył się Gombrowicz, że potrafi napisać powieść odcinkową do „czerwoniaka”, i że będzie się ona podobała „plebejskim” czytelnikom. Pamiętam za to że młodym kibicom Mistrza, którzy byli łaskawie tolerowani i po aptekarsku zaszczytani rozmową na jego dworze w *Zodiaku*, powierzono misję sprawdzenia drugiej części zakładu, gdy powieść zaczęła się ukazywać w warszawskim *Dobrym Wieczorze-Kurierze Czerwonym*. Teraz, po włączeniu *Opełanych* do tomu *Varia*, łatwiej mi w przybliżeniu ustalić daty. Jeżeli powieść zaczęto drukować w odcinku 4 czerwca 1939 roku, to moje sprawozdanie z sondażu wstępnego musiało być w *Zodiaku* złożone u stóp Mistrza gdzieś w połowie czerwca. Mieszkałem wówczas na Żelaznej, właśnie w dzielnicy „plebejskiej”; z notki wydawcy widzę że *Opełanych* drukował także kielecko-radomski *Ekspres Poranny*, nie wykluczone więc że sprawozdanie było wzbogacone na deser o informacje z moich stron rodzinnych. W każdym razie przeważało definitywnie szaleństwo zakładu na stronę Gombrowicza. Tak, tak, zgadza się: Mistrz był prawdopodobnie w pełni usatysfakcjonowany, po wieczorze w *Zodiaku* zaprosił mnie na spacer w Aleje, a tego spaceru — tuż przed moim wyjazdem na wakacje — nigdy nie zapomnę. Na ławce w Alejach opadł nagle z Gombrowicza strój Wielkiego Inscenizatora i Prześmiewcy; twarz miał zaostrzoną skurczem paniki, roztaczał ponury obraz nadchodzącego w Europie trzęsienia ziemi, uciekał myślami do Południowej Ameryki „gdzie można będzie przynajmniej paść spokojnie byki”.

Opełani wytrzymują znacznie lepiej próbę czasu, niż wolno się było spodziewać. Powieść napisana żywo, z fantazją podszyta świetnym miejscami komizmem, czytelna dzięki naturalnej swobodzie narracji, bez fastryg sztucznego silenia się na „przystępność” i „popularność”. Wyczuwa się w niej też drugie denko dla smakoszy, którzy Gombrowicza sprowokowali do zakładu: delikatny *pastiche* „dreszczowca” i zamkowych misteriów w stylu Ann Radcliffe, rozsiane tu i ówdzie perełki filozofii „ferdydurkizmu” w tanim wydaniu zeszytowym.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Repetytorium

Październik 1973

H., emigrant posierpniowy z Czechosłowacji zaskoczył mnie referatem, nazwanym „Sowiecka polityka 'odprężenia' z punktu widzenia wschodnio-europejskiej wewnętrznej opozycji”. Potępia opozycjonistów integralnych typu Sacharowa i Sołżenicyna. Cechuje ich — H. wspiera się autorytetem Skillinga — „wojowniczy antykomunizm, konserwatyzm lub skrajny nacjonalizm, nielojalność wobec systemu społecznego”. Są to opozycjoniści zaślepieni, oderwani nie tylko od kół politycznych ale nawet od „nowego społeczeństwa”.

H. dowodzi, że opozycja ta od dawna straciła nadzieję by pożądane zmiany dokonały się poprzez rozwój wewnętrzny. Więc pragnie niemal bez wyjątku, by z zewnątrz dokonano rozbicia władzy i ustroju społecznego, tj. pragnie klęski Związku Sowieckiego w wojnie 'zimnej' lub nawet 'gorącej’”.

Integralna opozycja jest sprzymierzona z reakcyjnymi kołami zewnętrznymi w rodzaju „... czeskiej emigracji z 1948 roku, relikwów tzw. polskiego rządu emigracyjnego w Londynie oraz grupy albańskich monarchistów”.

Autor ma za złe „światu zachodniemu”, że mimo pewnych postępów nadal zwraca uwagę, jednostronnie i przesadnie, na tę właśnie opozycję. Jednocześnie autor chwali to, co nazywa „lojalną opozycją”, choć stwierdza, że trudno określić, czym właściwie ta lojalna opozycja jest. Zdaniem tej „lojalnej”, nowa sowiecka... „polityka w stosunku do USA i Zachodniej Europy jest trwała i pomyślana na serio”. Wszelkie zamieszki na terenie obozu — zdaniem opozycji lojalnej — byłyby na rękę siłom „na prawo od Breżniewa”, dowodzącym, że „zamieszki są skutkiem odprężenia”.

Albowiem podstawą nowej sowieckiej polityki jest nie tylko konflikt z Chinami, zmuszający ZSSR „do stworzenia i zachowania spokoju na zachodniej — a najprawdopodobniej i na południowej granicy swego imperium. Podstawą jest przede wszyst-

kim 'odkrycie', że nie sposób w izolacji osiągnąć kolejnego etapu ekonomicznego i społecznego rozwoju...”. Wszelkie sowieckie próby ekspansji muszą spowodować zbliżenie amerykańsko-chińskie, więc są nie do pomyślenia.

Elaborat na dziewięciu bitych stronach. Daje dużo do myślenia. Autor — jeden z filarów emigracyjnych *Listów*. Ciekawe, czy opublikuje rozważania w języku czeskim? (uw. luty 1974: — nie opublikował).

Na spotkaniu instytutów spraw międzynarodowych krajów skandynawskich referat przyjęty bardzo życzliwie, mniej życzliwie w czasie dyskusji w Uppsali, co autora niemile zaskoczyło, zwłaszcza przypomnienie, że *Listy* przez władze sowieckie i czechosłowackie są traktowane jako „integralna” opozycja.

Listopad 1973

Opublikowane przez kanadyjski czeski *Telegram* fragmenty wspomnień pisarza, od 1938 roku na emigracji, Egona Hostovskiego. W Pradze w latach trzydziestych w pewnej winiarni tradycyjnie zbierała się elita literacka. S. K. Neumann, Josef Hora, Ivan Olbracht, wydawcy, krytycy. Przesiadywał również emigrant rosyjski, Kalinnikow. Pewnego razu Neumann przyprowadził sowieckiego pisarza Tarasa Rodionowa. „Byliśmy — pisze Hostovsky — zaniepokojeni, jak spotkanie obu Rosjan wypadnie. Ale oni tylko przez dłuższy czas na siebie patrzeli, potem objęli się i poplakali. Byłem wówczas jak w krainie snów i nic, dosłownie nic z tego nie rozumiałem. Dopiero o wiele później Kalinnikow mi wytłumaczył, że płakał ponieważ nie mógł wrócić, Rodionow — ponieważ wrócić musiał”.

Piękna, niemal biblijna przypowieść, wiedza tajemna, którą zdobywa się na emigracji. W naszej wygnańczej codzienności raczej dużo słów i mało chęci wzajemnego zrozumienia.

Refleksja: Jak mało jedna emigracja wie o drugiej, a zwłaszcza o jej pisarzach! Nie rzucam kamyka w cudzy ogródek. Z literatury czeskiej i słowackiej znam tylko Mnaczkę, ale tego śledzę od 1963 roku.

Przypuszczam, że równie mało wie czeski emigrant o Gombrowiczu, Miłoszu, Nowakowskim. Literatury emigracyjne pozbawione są możliwości rozprzestrzeniania się, którą literatura „krajowa” ma dzięki państwowemu aparatowi propagandowemu.

List do Teresy od Polaka, b. więźnia kacetu, od ćwierćwiecza mieszkającego w szwedzkim Norrlandzie. Odezwał się na jej tekę, która aż tam dotarła. List — bez adresu odbiorcy — dotarł dzięki pośrednictwu członków Amnesty.

Autor, starszy człowiek, rzadko używa języka polskiego. Z dużym trudem daje upust wzruszeniu. Kolejna wersja „Latarnika”. Literatura wdzierająca się w życie.

Styczeń 1974

Fenomenalny jubileuszowy numer *Wiadomości*. To znaczy: do-
skonała robota historyka i wydawcy, mniej dobra — dziennika-
rza. Chlubienie się przeszłością jest niebezpieczne. Jako zasada
dowodzi ono, że niewiele ma się do powiedzenia o teraźniejszości.
Co się będzie miało do powiedzenia w przyszłości? Doskonale
rozumiem G., który odrzucił moje — z PRL rodem — sugestie
jubileuszowania. Bo w PRL niemożliwość ideologiczną kompensuje się
sławieniem przeszłości. Teraz nawet Hubala zaprzęgnięto do
służby. Służby.

Ale emigracja na wspominki jest czuła. Raj dla historyka,
szkoda tylko, że zapotrzebowanie jest zwężone do apoteozy (włas-
nej) i porachunków (z innymi). Obym był złym prorokiem, ale
zapowiedzianym przez G. pamiętnikom Drymmera nie wróżę
życzliwego przyjęcia, nie dlatego, by były złe, przeciwnie są
doskonałe. Ale burzą ład emigracyjnych i nie-emigracyjnych
wspominkowych serc.

Na marginesie: Podniebne wystawianie Adolfa Nowaczyń-
skiego wydaje mi się atrybutem semickości. Lat piętnaście temu
w peerelu proponowała wydanie jego wyboru... Helena Zatorska.
To była manifestacja w stylu: Patrzenie jakam obiektywna! Ja
Fajerberzanka kocham go, bo wielkim był! Zgasili ją nie-Zydz.
Z zamiaru nic nie wyszło. A może warto było go wznović?
Może pękłby jeden z gorszych mitów dwudziestolecia? Płaski
dowcip, kiepska stylistyka, wszechznawstwo, tupet. Coś jak
gdyby wredny gimnazjalista przekraczał dwudziestkę, trzydzie-
stkę, czterdziestkę i ciągle pozostawał sobą.

A *propos* Nowaczyńskiego: Może warto przy okazji ujawnić
szczegół z archiwów praskich? W 1919 roku Nowaczyński zwró-
cił się do czechosłowackiego *chargé d'affaires*, Radimskiego,
o pomoc materialną dla swej gazety. Czechosłowacja i Polska
znajdowały się w stanie ostrego konfliktu, którego zewnętrznym
przejawem był Śląsk Cieszyński. Radimsky, rusofil, Polski nie
cierpiał i bynajmniej nie dążył do załagodzenia konfliktu. Propo-
zycji Nowaczyńskiego uchwycił się, uznał bowiem, że podsycanie
antysemityzmu w Polsce — a jeszcze bardziej krzewienie opinii
o Polsce jako kraju antysemityzmu — leży w interesie czecho-
słowackim. Nowaczyński dostał wagon papieru...

Zmarł Józef Smrkovsky. Dużej miary intelekt, równej miary
charakter. Ten czeladnik piekarski, samouk, wyraźnie wznosił
się ponad swe otoczenie.

Przywódca powstania praskiego. U nas zwykło się kpić z ka-
piących złotem tablic wzniesionych przez reżym ku czci poleg-
łych w tym powstaniu. Ale ta kpina dotyka i poległych! Nie
zasłużyli na nią. To było powstanie garstki romantycznej mło-

dzieży, wymierzone nie tylko przeciwko nazizmowi ale również
przeciwko tchórzliwej bierności własnego narodu, przeciwko ko-
laborującemu „małemu czeskiemu człowieczkowi”. Studenci, pod-
porucznicy ostatnich przedwojennych promocji, młodzi inteligenci
w robotniczych bluzach. Cóż, czeski wariant Pierwszej Kadrowej.
Ona też nie liczyła tysięcy. Jej żołnierze też byli osamotnieni.
Zestawienie nie tylko pogładowe ale i merytoryczne — w tej
warstwie polski romantyzm był bardzo popularny, podobnie jak
wśród pokolenia rewizjonistów lat 1964-1968.

W 1968 roku warszawska młodzież skandowała, że czeka na
swego Dubczeka... A może chodziło jej o Smrkovskiego, tylko
że nie wiedziała kto to taki?

W 1966 roku Smrkovsky już nie wierzył w komunizm. Szukał
jednak drogi wyjścia z „tego bajzlu”. Widział ją w odwróceniu do
socjalizmu integralnego. Mówił mi, że go piekielnie bawi, że
nikt z cenzorów nie dostrzegł, iż jest to stanowisko austromark-
sistów. (A może cenzorzy wówczas nie chcieli tego wiedzieć?
Obecni przecież doskonale wszystko wiedzą!).

Dwa lata później mówił o Praskiej Wiośnie jako o „ostatniej
nadziei komunizmu”, desperacko kładąc nacisk na przymiotnik.
Właściwie jak u Brunona Jasińskiego: „Na ostatni, fałszywy
czerwony atut / Dziś ze śmiercią w durnia gram”.

Matka Dubczeka twierdziła w 1967 roku, że „*Sasza pięknie
znajet czto takoye kult licznosti!*”. To prawda. Ale Sasza mimo
to nie wiedział co to komunizm. Jego nadzieja nie była ostatnia.
Smrkovsky zaś nie chował głowy w piasek i wiedział że komu-
nizm przejął „ponurą spuściznę Goebbelsa”.

Powiedział to do 100.000 ludzi na wiecu solidarności ze stu-
dentami Warszawy. Takich określeń nie używa się z powodu
spraw incydentalnych, tylko dlatego, że gdzieś za miedzą poja-
wił się Moczarski. Takie określenia cisną się na usta wtedy, gdy
nadzieja rzeczywistości jest na wyczerpaniu.

Smrkovsky był uczciwy w stosunku do siebie i nie okłamywał
innych. Jego prawda zwycięży. Nie pozwólmy tylko zakłamać
go lub skazać na niepamięć!

Luty 1974

Dyskusje na temat stanu i perspektyw nauki w Polsce wybu-
chają w PRL permanentnie. Z nauką w Polsce jest niedobrze,
choć jedyny Aleksander Bocheński ośmielił się głośno stwier-
dzić, że w naszych czasach następuje nowy podział na ludzi
i małpy. Niewydolność nauki w kraju jest jednak faktem, mimo
że w dyskusjach o tym pisać nie wolno. Pytaniem pozostaje,
z czego bierze się niedowład.

Spółczesność interesuje się dyskusjami. Społeczeństwo ma
świadomość roli nauki i chciałoby mieć jakiegoś Einsteina. Pani
Kowalska nie wie nic o atomie, ale zdaje sobie sprawę, że od
autorytetu międzynarodowego polskiej, powiedzmy, biochemii w

jakimś stopniu uzależnione jest Pani Kowalskiej dobre lub złe samopoczucie.

Prasa stara się by p. Kowalska miała dobre samopoczucie, więc *Expres* serwuje jej artykułiki, że ktoś wynalazł taki przyrząd, że nawet Francuzi chcą go kupić. P. Kowalska wie jednak, że w Belgii, Holandii, Szwajcarii takich przyrządów powstaje setki, tysiące i nikt się tym faktem nie rozczula.

Panią Kowalską uspakajają, że przecież my Polacy od innych gorsi nie jesteśmy, bo właśnie wczoraj Polak został profesorem w Ohio a inny w Manchesterze wynalazł zatyczkę, na której zarobi milion, a w Krakowie zjechało się pięciuset profesorów, uznanych w amerykańskim świecie. Myślę niekiedy, że wymyślanie Brzezińskiemu też ma ukryty perwersyjny cel przypomnienia, że jak Polak się napnie to ho! ho!

Więc co?

Podczas dyskusji na temat stanu nauki wyciąga się zawsze pewną ilość niekiedy nawet zabawnych szczegółów, a to że doktorat można otrzymać za pracę o palancie, a to że profesorzy są feudałami a asystenci wasalami, że piesek pani profesorowej nadal odgrywa rolę w uzyskaniu etatu i stopnia... To wywlekanie śmieszności ma swój wdzięk, inaczej niż rady co należy zrobić. Wprowadzić aspiranturę, zlikwidować ją, wprowadzić studia doktoranckie, zlikwidować je, zlikwidować przewody habilitacyjne, ułatwić je, utrudnić je. Jeszcze tysiąc etatów dla nauki? O to najłatwiej. Polska Ludowa bogata, o swoją naukę dba, nikt nie może powiedzieć, etaty daje, wymaga niewiele, tylko posłuszeństwa, o prestiż naukowca dba, przewodnictwo Radą Państwa dla naukowca zarezerwowane itd.

Dyskusje na temat roli nauki i jej perspektyw są jednocześnie ciekawe i beznadziejne. Odważne i tchórzliwe. Naruszające tabu niższego rządu, co dowodzi odwagi i milczące o tym co istotne.

To wszystko ożyło w pamięci przy kolejnej dyskusji, tym razem na temat medycyny. Pewien profesor używszy sobie na urzędniczkach, doszedł do wniosku, że to co główne to kompleksy psychiczne, „... pewna nieśmiałość myślowa i obawa przed pracą nad naprawdę nowymi pomysłami”.

Oczywiście, można i tak. Ale czy nie warto zaproponować by na łamach *Kultury* uczeni i studenci, uchodźcy zasilający amerykańskie, kanadyjskie, francuskie, szwedzkie uczelnie wypowiedzieli się na temat motorów i hamulców nauki w PRL? Przecież, by te hamulce przezwyciężyć, trzeba je nazwać! A tego nie sposób zrobić w kraju.

Proszę się nie gorszyć ironiczną tonacją tych notatek. Jest ona tylko trwałym wieloletnim nawykiem polskiego świata naukowego. W utrzymującej się latami niewesołej sytuacji, ludzie mający świadomość stanu rzeczy ratują się drwiną, z siebie, z innych. Drwina jest bowiem zabiegiem antystressowym.

Józef LEWANDOWSKI

Indiańscy intelektualiści (I)

W rozmowach z intelektualistami indiańskimi (bo taki jest temat moich tegorocznych badań socjologicznych) przychodzą mi czasem na myśl powojenne już rozmowy z przyjaciółmi z polskiego Bundu. Bundowcy — o ile ich dobrze rozumiem — widzieli swą żydowskość w czasach przedwojennych głównie jako obowiązek społeczny wobec żydowskiego proletariatu i lumpenproletariatu. Gdyby tych niezasymlowanych w dużej mierze mas żydowskich w Polsce nie było i gdyby w Polsce nie było antysemityzmu, nie uważaliby się wówczas przypuszczalnie za Żydów lecz po prostu za obywateli Rzeczypospolitej, tak jak niemieccy czy francuscy Szwajcarzy uważają się przede wszystkim za Szwajcarów...

„Gdyby masy indiańskie nie były w tak strasznej sytuacji w jakiej się znajdują uważałbym się przede wszystkim za Meksykanina” — oznajmił mi na samym wstępie jeden z intelektualistów indiańskich, psycholog z wykształcenia, pracujący na wysokim stanowisku w Ministerstwie Oświaty. — „Tak się zdarzyło, że jestem czystej krwi Indianinem-Zapoteką z gór Oaxaca, ale to nie ma nic do rzeczy... jak pani wie wszyscy tu prawie w Meksyku jesteśmy rasowo przemieszani i w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi i Europą, mało jest wśród nas rasistów. Teoretycznie każdy z nas ma wybór: mogą się uważać równie dobrze za Indianina jak i za Meksykanina i *teoretycznie*, proszę pani, wszyscy jesteśmy równi... *Teoretycznie*... bo niech pani pomyśli... czy rzeczywiście równe szanse miałem ja, który nauczy-

1. Dane osobiste opisywanych informatorów ze względu na dyskrecję są pozmienniane.

łem się hiszpańskiego dopiero w wieku lat 14-tu, co po hiszpańsku wychowany *mestizo*² choćby z tej samej odległej wsi. I to zresztą nie tylko kwestia języka: cały nasz aparat pojęciowy, wszystkie normy moralne są bardzo inne... Dla mnie osobiście — ale takich jak ja jest więcej — sprawa Indian jest dzisiaj przede wszystkim sprawą wyrównania startu, sprawą sprawiedliwości społecznej. Obecnie zresztą przeżywamy drugi dopiero w naszej historii moment nadziei społecznej, dopiero po raz drugi mamy jakąś życiową szansę. Pierwsza była za rządów Lazara Cardenas w latach trzydziestych, druga obecnie za prezydenta Echaverria... on dobrze rozumie, że jedynie my, wykształceni Indianie, możemy naprawdę pomóc indiańskim masom, że nikt inny nie jest ich w stanie zrozumieć, nikt inny, tak jak my nie potrafi im pomóc we włączaniu do społeczeństwa meksykańskiego, w integracji na zasadach maksimum sprawiedliwości i minimum cierpienia... bo to jest, proszę, pani bardzo trudny i bolesny proces...”.

Gdy zaczynałam badania nad intelektualistami indiańskimi zastanawiałam się wiele razy czy termin „intelektualista” jest terminem odpowiednim, czy nie powinnam nazwać tych badań badaniami nad Indianami z wyższym wykształceniem. Intelektualista — myślałam — to człowiek, który nie tylko myśli samodzielnie ale również tymi myślami dzieli się ze społeczeństwem lub choćby częścią tego społeczeństwa, to człowiek, który interpretuje, ocenia, przekazuje, bierze udział w decyzjach swej epoki i to nie na rozkaz, jako technik czy ekspert, ale z własnej inicjatywy... Intelektualista to człowiek, który uważa, że ma obowiązek i prawo do stwarzania historii swojej grupy czy kraju i jeśli okoliczności czy władze nie pozwalają, walczy z okolicznościami, walczy z władzą o podstawy swego istnienia. Nie jest to oczywiście ścisła, operacyjna definicja intelektualisty ale tak się właśnie myśli zaczynając jakiegokolwiek badania, dopiero później definicje takie porównuje się z definicjami innych socjologów, no i naturalnie uściśla. Ilu intelektualistów znaleźć można dzisiaj w przespecjalizowanym i pretensjonalnym świecie zachodnim wśród ludzi z wyższym wykształceniem? — zastanawiałam się. — I czy wykształcony Indianin należy już, czy jeszcze niezupełnie należy, do tego „świata zachodniego”? Czy hiszpańska kultura Podboju była tym co nazywamy dzisiaj „kulturą zachodnią”? Czy aspiracje rozwoju ekonomicznego, czy wpływy amerykańskie uzachodniły ten kraj hiszpańsko-indiański? Czy Meksyk

2. Użyłam tu słowa *mestizo* zamiast „metys” słowo to w Meksyku odnosi się bowiem nie tylko do „rasowej mieszaniny”; *mestizo* to, niezależnie od koloru skóry, człowiek który uważa się za „nie-Indianina” i stara się żyć życiem „nie-indiańskim”.

jest krajem kultury zachodniej czy tylko nieliczni mieszkańcy tego kraju tę kulturę zaabsorbowali?

Teraz, po dwóch już prawie miesiącach pracy terenowej wśród wykształconych Indian meksykańskich, mogę już sformułować pierwszą, zasadniczą chyba hipotezę. Wśród tych obywateli meksykańskich z wyższym wykształceniem, którzy urodzili się we wsiach indiańskich, z rodziców Indian (mówiących nadal po indiańsku i często nie rozumiejących hiszpańskiego) istnieją dwie kategorie: pierwsza, chyba znacznie liczniejsza, to Meksykanie indiańskiego pochodzenia i wielu z nich nie przyznaje się już w ogóle do indiańkości; druga kategoria to „prawdziwi Indianie”, ci którzy z takich czy innych względów podkreślają swoją indiańskość, często będąc z niej bardzo dumni, kultywują język, utrzymują kontakt z innymi — wykształconymi i niewykształconymi Indianami. Ta druga kategoria to właśnie intelektualisci według mojej definicji — pierwsza to wykształceni technicy, eksperci, nastawieni tak jak większość Meksykanów klasy średniej na robienie pieniędzy, zdobywanie standartu życiowego, bardzo indywidualne i samotne utrzymywanie się na powierzchni.

Aby naprawdę dobrze zrozumieć intelektualistów indiańskich powinnam również dotrzeć do tych, którzy swą indiańskość ukrywają lub wręcz odrzucają, do tych, którzy, wedle słów jednego z indiańskich intelektualistów, „wstydzą się swoich rodziców i gdy spotkają ich na ulicy w Mexico, nie witają się nawet z nimi gdy są w towarzystwie kolegów, tłumacząc, że to jacyś 'pocziwi Indianie', których gdzieś tam, kiedyś spotkali podczas wycieczki na wieś... A jeśli czasem wracają do swoich wsi, udają że zapomnieli swego języka, do rodziców mówią po hiszpańsku, nawet gdy rodzice nic nie rozumieją...”.

„Wiem” — powiedziałam — „znam ten problem od dawna i znam go w tragiczniejszej jeszcze wersji. Widziałam w Chiapas młodych, nawet czasem bardzo młodych bo 16-toletnich Indian Tzeltal, którzy dowiedzieli się właśnie, że kraj nazwany 'Mexico' (niektórzy z ich rodziców nie wiedzieli nawet że taki kraj istnieje) zaprasza ich przez otwarte szeroko wrota, że uważa ich za sól ziemi, że oczekuje ich wkładu w przyszłość, ofiarowuje im cywilizację i postęp a przyrzeka równość... Widziałam tych chłopców uczących się cywilizacji we wsi tak zwanych *revestidos* (przebrańców), wynędzniałych, samotnych, ośmieszanych na każdym kroku i przez Indian i przez *mestizów* i nadal cierpliwie uczących się tej trudnej cywilizacji: siedzenia przy stole, spania na łóżku, hiszpańskiego... uczących się przez dwa, trzy, cztery lata... I widziałam ich potem już „ucywilizowanych” w innym odległym miasteczku gdzie nikt już — mieli nadzieję — o ich indiańskim pochodzeniu nie wiedział. Gdy ich pytano skąd pochodzą mówili,

że z owego nieznanego w tej nowej okolicy miasteczka przebrańców lub wymieniali jakakolwiek odległą nie-indiańską wieś. Ale i tam, o ile ta nowa miejscowość miała również mieszkańców Indian, nie zasnali ani chwili spokoju. Indianie bowiem rozpoznają węchem ludzi swojej rasy, poznają ich po jednym słowie czy geście i mówią o nich najpierw między sobą szeptem a potem coraz szerzej i głośniej... — Czy takie szeptane donosy istnieją również wśród wykształconych Indian — zastanawiałam się, podczas gdy mój rozmówca słuchał uważnie bardzo skupiony i zasmucony. Ale tego pytania nie zadałam, powiedziałam natomiast, że ja osobiście nie uważam tych Indian, którzy się zdecydowali być Meksykanami za renegatów, uważam ich raczej za oszukanych...

— „Tak, oszukiwani jesteśmy od dawna” — odpowiedział. — „Oszukała nas Wojna o Niepodległość³ i potem oszukała nas nawet Rewolucja⁴... no tak, jesteśmy oszukani, ale widzi pani, przecież nie wszyscy z nas powinni się byli dać oszukać...” — A potem zmienił temat i nie rozmawialiśmy już o różnicach między prostym człowiekiem oszukanym przez ideologię i oszukanym człowiekiem wykształconym, nie rozmawialiśmy o tym, o czym bardzo chciałam rozmawiać: o odpowiedzialności moralnej za polityczną naiwność...

W ogóle o tym co najważniejsze, o tym czy i od kiedy pogodzili się z klęską nie bardzo można z nimi rozmawiać, temat ten jest bowiem bardzo drażliwy, mimo że od Podboju upłynęło już kilkaset lat⁵. Podobno wśród Indian Nahuatl, których przodkowie stworzyli wielką kulturę i wielkie imperium, istnieją tacy którzy się nie pogodzili, podobno istnieją grupy które starają się kultywować język i literaturę i o czymś w związku z przyszłością marzą, a może nawet coś planują. O nich od czasu do czasu słyszę od Indian z którymi przeprowadzam rozmowy, nie potrafili mi jednak dać bardziej konkretnych informacji. O tych może legendarnych marzycielach mówią czasami z pobłażliwym uśmiechem, czasami jednak z uśmiechem w którym się miesza zazdrość i lęk.

Ci wszyscy z którymi dotąd rozmawiałam, potomkowie wielkich kultur po których pozostały piękne piramidy i hieroglify i ci inni, z których przeszłości niewiele lub nic nie zostało — oni wszyscy, ale każdy z nich w inny sposób, są dziś „realistami” i wielu tak właśnie o sobie mówi. Z perspektywy historycznej są to jednak ludzie, szczepy, ex-narody w taki lub inny sposób

3. 1810.

4. 1910.

5. Upadek stolicy imperium Tenochtitlanu — 1521.

pogodzone z Podbojem i klęską. Zresztą... mają oni wiele powodów do inteligentnych racjonalizacji. Dyskryminacji rasowej tu prawie nie ma (istnieje natomiast dyskryminacja społeczna i kulturalna). Ideologia narodowa na każdym kroku głośno podkreśla wielki udział Indian w formowaniu narodowości meksykańskiej. Terytorium, które zajmuje Meksyk, nie było nigdy terytorium etnicznie jednolitym i mniejsze szczepy i narody stałe podbijane były przez większe, bardziej wojownicze lub lepiej zorganizowane. „Skoro taka właśnie a nie inna była nasza przeszłość” — rozumują niektórzy spośród indiańskich intelektualistów — „czy nie należy się obecnie skupić przede wszystkim na zdobyciu równych praw obywatelskich w Meksyku, który będąc rezultatem Podboju jest przecież krajem, który odrzucił kolonializm, odrzucił dyktaturę, przemieszał się rasowo... krajem, którego konstytucja obiecuje (co prawda jak dotąd jedynie obiecuje) Indianom współudział w rządach...”.

— „O tej kulturze indiańskiej, o rozwoju indiańskich języków, o stworzeniu literatury w tych językach” — powiedział jeden z moich rozmówców — „o tym, proszę pani, lepiej zapomnieć, jest to bowiem wręcz niemożliwe. Przecież mówimy tytu odrębnymi językami przemieszany z hiszpańskim i od dawna przemieszany częściowo ze sobą, a najbardziej z językiem nahuatl... Nie ma jednolitości kultury indiańskiej i nigdy jej zresztą nie było...”.

— „A czy zdaniem pana, niezależnie od języków istnieją dzisiaj jakieś wspólne cechy kultury indiańskiej” — zapytałam innego spośród indiańskich intelektualistów — „które pozwalałyby mówić o meksykańskich Indianach jako o całości?”

— „Wiele razy o tym myślałem” — powiedział — „i jestem przekonany, że tak. I widać to tym jaśniej przez kontrast z zachodnią kulturą dzisiejszego Meksyku. My, proszę pani, jesteśmy nadal bardzo bardzo inni. Mówię naturalnie o masach indiańskich, nie o garstce wykształconych Indian, chociaż my również pozostaliśmy na ogół kulturalnie Indianami, nawet o ile się do tego nie przyznajemy...”

Więc przede wszystkim pojęcie honoru... u nich, *mestizów*, honor to, proszę pani kontrakt... trzeba dotrzymać słowa wówczas jedynie, gdy się zawarło kontrakt, podczas gdy dla Indianina słowo honoru jest nadal rzeczą świętą i niezależną od żadnych kontraktów. Potem... nastawienie na społeczność raczej niż na jednostkę i to przede wszystkim chcielibyśmy wnieść do kultury meksykańskiej ale jak dotąd nie bardzo się udaje i nie wszyscy spośród nas rozumieją jakie to ważne. Na przykład jedyny jak dotąd meksykański prezydent, Benito Juarez, który zresztą nigdy nie przestał być dumny z tego że był Zapoteką, nawet on, wal-

cząc o sprawiedliwość dla Indian zaprzepaścił właściwie na długi czas tę sprawiedliwość poprzez zniesienie tradycyjnej kolektywnej własności ziemskiej i wprowadzenie własności indywidualnej. On był bardzo pod wpływem haseł Rewolucji Francuskiej i amerykańskiego liberalizmu ale my powinniśmy raczej szukać modeli w naszej przeszłości lub w krajach podobniejszych do nas niż Francja i Stany Zjednoczone... może w Chinach?"

— „Przeżywamy w tej chwili” — mówił inny z moich rozmówców dopiero drugi moment nadziei w naszej historii pokolonialnej. Pierwszy taki moment dziejowy przeżywalismy za czasów prezydenta Lazara Cardenas w latach trzydziestych. On sam, nie będąc zresztą Indianinem zrozumiał nas lepiej niż Benito Juarez. Dopiero dzięki niemu rozdano naprawdę ziemię i utworzyły się *ejidos*⁶; on pozakładał w całym kraju darmowe internaty dla Indian i te internaty po raz pierwszy w epoce pokolonialnej dały nam szansę wydostania się z naszych wsi i zdobycia wykształcenia. My wszyscy, proszę pani, jesteśmy wychowankami tych internatów. Wydostalismy się z naszych wsi zwykle dopiero w wieku lat 13-tu, 14-tu... ja na przykład musiałem uciec bo rodzice bali się, że w internacie 'utuczają mnie na oliwę do samolotów'... nie to nie żart... takie plotki rozpuszczali ci, którym wykształcenie Indian było bardzo nie na rękę... okoliczni kupcy, kler... No ale miałem dokąd uciec!"

Zamyślił się na długą chwilę i potem znowu mówił — „Obecny prezydent Echaverria dopuścił nas, wykształconych Indian — ale tylko tych spośród nas, którzy znali dobrze indiańskie języki — do administracji państwowej: pracujemy we wszystkich działach zajmujących się sprawami indiańskimi, podczas, gdy dawniej te stanowiska obsadzane były przez ludzi dla których kultura indiańska tak jakby nie istniała... Oni widzieli w nas tylko wynędzniałych, głupich, zdemoralizowanych i upartych chłopów — nie rozumieli, że my wszyscy, i ci z długą, i ci z najkrótszą pamięcią historyczną, zdajemy sobie sprawę, że kiedyś było inaczej i że stała się nam straszna krzywda. Tę straszną krzywde pamiętają wszyscy!"

Większość intelektualistów indiańskich z którymi rozmawiałam dotychczas albo należy do PRI (*Partido Revolucionario Institucional*), partii rządowej (podobnej trochę do naszego przedwojennego BBWR) albo z tą partią sympatyzuje. Kilku tylko z moich rozmówców należy do partii socjalistycznej, PPS (*Partido Popular Socialista*), „opozycji subsydiowanej przez rząd”.

6. Stowarzyszenia uprzednio bezrolnych chłopów, Indian i nie-Indian, którzy otrzymali ziemię (na użytek — bez prawa odsprzedania) na skutek Reformy Rolnej.

Tym niemniej jednak niezależnie od przynależności do tych partii — i mimo zwykle bardzo intensywnej pracy, intelektualiści indiańscy zorganizowani są w stowarzyszenia pomagające indiańskim wsiom. Czasem są to stowarzyszenia regionalne — opieka na przykład nad 11-oma zapoteckimi wsiami z gór Oaxaca — czasem stowarzyszenia o zasięgu znacznie szerszym. Bez żadnych subsydiów, za własne pieniądze lub pieniądze zebrane ze składek członków stowarzyszenia, indiańscy intelektualiści jeżdżą do najróżniejszych zapadłych wsi, jeżdżą po dwóch, trzech, lub w większych grupach, aby zbadać jak wygląda sytuacja na miejscu; pośredniczą między instytucjami państwowymi a mikro-skopijnymi rządami tradycyjnych indiańskich wsi; pomagają przy budowie szkół i szpitali; walczą z lokalnymi kacykami czasem z narażeniem życia.

Na prawie wszystkie te rozmowy zapraszana jestem bardzo wcześniej rano albo bardzo późno wieczorem: przed pracą lub po pracy i zwykle muszę po kilka razy wracać aby móc obszernie i spokojnie porozmawiać. Czy na stanowiskach państwowych czy też w wolnych zawodach indiańscy intelektualiści pracują rzeczywiście bardzo intensywnie i bardzo idealistycznie. Oto architekt Tarasco czyli Purupecha⁷, który zorganizował stowarzyszenie wykształconych Purupechów w stolicy. — „Jest nas aż 38-miu z jednej tylko naszej wsi” — mówi — „bo z naszej wsi ucieka kto może... U nas na wsi nie ma przyszłości... Ludzie zdemoralizowani i zastraszeni. Żerują na nich najróżniejsze partie polityczne, kler katolicki, protestanci... kto może to ucieka do miasta. Pomagamy im tutaj szukając pracy, mieszkań, broniemy ich jak się da przed wyzyskiem”.

— „Czy żona pana jest także Purupecha?” — zapytałam. — „Czy rozumie pana działalność, czy współpracuje z panem?”

— „Nie, ona jest stąd... *mestiza*...” — odpowiedział — „ale bardzo by się chciała nauczyć Purupecha, bo to, proszę pani, bardzo piękny język... nie mówi się nim lecz śpiewa... niech pani posłucha...” — i powiedział kilka zdań dźwięcznym językiem... — „Moja żona bardzo czasem rozpacza że nie nauczyła się jeszcze Purupecha ale to wszystko przez brak czasu — za mało jeździmy do mojej wsi, za mało mamy czasu na życie towarzyskie a moi przyjaciele to prawie wyłącznie Purupechowie...”

Synowie i córki architekta w gimnazjum i na uniwersytecie. Podczas drugiej rozmowy przyszedł najstarszy syn, student pierwszego roku medycyny. Dowiedziawszy się że jestem Polką bardzo

7. „My sami nazywamy się Purupecha, ale zaklasyfikowano nas antropologicznie jako Tarasków” — mówi — „termin wymyślony zresztą przez Vasco de Quiroga”.

zainteresował się „polskim socjalizmem”. Rozmawiał ze mną z godzinę wypytując się o wszystko bardzo dokładnie, pełen szacunku ale jednocześnie bardzo rozczarowany tym że ten „socjalizm” wyidealizowany nie stworzył, moim zdaniem, rajy na ziemi ani w Rosji ani w Polsce... Ten syn nauczył się trochę języka Purupecha pomaga bowiem ojcu w wykresach w soboty, niedziele i podczas wakacji, a ponieważ do pracowni ojca przychodzi wielu Purupechów, ma więc okazję z nimi rozmawiać a ojciec nigdy, nigdy, nie mówi z nimi po hiszpańsku... Gdy zostanie lekarzem chciałby wrócić w rodzinne strony ojca i może założyć tam szpital, w każdym razie chciałby pracować wśród Purupechów...

Ojciec jego zapytany o przyszłość grup indiańskich w Meksyku (ale nie rozmawiałam z nim o tym, naturalnie, w obecności syna) zachmurzył się najpierw bardzo. — „Co za przyszłość?” — mruknął. — „Starają się wykończyć — *wyeksterminować* naszą kulturę... taka jest przyszłość”. — Po chwili jednak dodał: — „Teraz jednak jest znowu moment nadziei. Prezydent Echeverria powiedział nam: *Nie rezygnujcie!*... Wielu z nas, ale jedynie znających dobrze indiańskie języki, dostało dobre stanowiska związane ze sprawami indiańskimi. Przyszłość to chyba jedynie orientowanie mas indiańskich w ich własnych sprawach. Na tym powinna polegać dzisiejsza przyszłość Indian. Trzeba ich nauczyć samoobrony, rozbudzić wiarę w siebie. Indianin, który wierzy w siebie jest naprawdę, proszę pani, bardzo odważny, jest naprawdę zdolny do oporu!”

A oto znacznie starszy od architekta adwokat Zapoteka, który, „tak jak prezydent Benito Juarez”, uciekł ze swojej wsi jako kilkunastoletni pastuch i z wielkim trudem zdobył wykształcenie. „Od Zapoteków nigdy nie brałem za porady ani grosza” — mówi — „a od jakiegoś czasu rozszerzyłem te darmowe porady na wszystkich mieszkańców mego rodzinnego stanu Oaxaca... wychodząc niech pani zauważy na mojej kancelarii taki napis: *Darmowe Porady Dla Wszystkich Mieszkańców Oaxaki*”. — „Czy dla bogatych też?” — zapytałam. — „Ależ, dlaczego nie, dzisiaj już mogę sobie na to pozwolić” — powiedział z widoczną dumą. — „A czy dla Mixteków także?” — zapytałam śmiejąc się bo Mixtocy byli w czasach prekolonialnych wrogami Zapoteków, których w końcu podbili, częściowo asymilując, częściowo wypychając z podbitych terenów. Adwokat zaśmiał się teraz — „Ależ oczywiście” — powiedział. — „Mixtocy ze stanu Oaxaca mają równe prawa do darmowych porad, ale jedynie ci z Oaxaki... inni Mixtocy nie! Czy pani wie, że w górach Oaxaki oni są nadal uważani za naszych wrogów... we wsiach pamięta się bardzo dobrze do kogo powinien należeć każdy kawałek ziemi i niektóre z naszych ziem należą do Mixteków...”

Adwokat, tak jak architekt, ożeniony jest z *mestizą*, którą poznał w mieście Oaxaca. — „Podobnie jak Benito Juarez?” — mówię. — „Ach, rzeczywiście...” — śmieje się znowu (a typowy Indianin nieczęsto się śmieje) — „... że też mi to nigdy na myśl nie przyszło, że i pod tym względem go naśladowałem! Gdy wrócę do domu zaraz jej o tym powiem...” — Ani żona ani dzieci adwokata nie mówią już językiem Zapoteków. — „Oni należą do innego świata” — mówi. — „Moja córka jest ekonomistką. Dzieci moje to już zupełnie inni ludzie”.

Zaczynając badania nad intelektualistami indiańskimi przypuszczałam, że potomkowie Indian o wielkich cywilizacjach, potomkowie Mixteków, Mayów, Zapoteków, Nahuów będą mniej od innych pogodzeni z klęską. Myślałam w ten sposób zwłaszcza o Nahuach, których kultura, jak kultura hellenistyczna objęła bardzo szerokie terytorium, których język stał się *lingua franca* całego imperium⁸. Po nich pozostały nie tylko piękne piramidy ale również historia, medycyna, astronomia, poezja. Czy tak rzeczywiście jest... czy oni są mniej pogodzeni z klęską? Tego jeszcze nie wiem. Czy dowiem się kiedykolwiek? Te nieliczne utopijne grupy i marzycielskie jednostki, o których od czasu do czasu słyszę, rekrutują się właśnie z potomków tej wielkiej i ostatniej indiańskiej cywilizacji... Tak, że najbardziej ciekawa byłam rozmów z intelektualistami Nahuia, dotarłam do nich jednak dopiero po kilku tygodniach pracy terenowej...

Pierwszy z tych Nahuów okazał się wicedyrektorem jednego z państwowych urzędów od spraw indiańskich, drugi — pracownikiem tegoż urzędu i jednocześnie studentem antropologii społecznej. Wicedyrektor jest jednocześnie prezesem ogromnego Stowarzyszenia Indiańskiego, mającego 72 tysiące członków. W biurze tego Stowarzyszenia przeprowadziliśmy pierwszą długą rozmowę. Rozmowa zaczęła się od prawdziwej konfrontacji, co z punktu mnie ujęło, konfrontacja ta jednak wcale nie była łatwa! Zaczęło się od tego, że windziarz był już poinformowany, że przyjdzie „pewna Amerykanka” której ma pokazać gdzie jest lokal Stowarzyszenia. — „Ach więc tak” — pomyślałam ze złością... — „mimo to, że przy pierwszym spotkaniu powiedziałam mu wyraźnie że jestem Polką, ze względu pewno na moje jasne włosy i niebieskie oczy nazywa mnie Amerykanką... więc to tak wygląda...” I zaraz po przywitaniu się powiedziałam — „Ponieważ, dowiedziałam się że uważa mnie pan za Amerykankę, a nie za Polkę, wobec tego będę uważać pana za Zapotekę, nie

8. Według cenzusu z 1970 roku grupy Indian Nahuia istnieją w następujących stanach Meksyku: Estado de Mexico, Morelos, Hidalgo, Tlaxcala, Puebla, Veracruz, Tabasco, Guerrero, Oaxaca, Chiapas, Michoacan, Colima, Jalisco, San Luis Potosi, Durango. — Miguel León-Portilla, *Religión de los Nímaras*, UNAM, Mexico 1972.

za Nahuā... a może woli pan abym go uważała za Purupecha?" Nie uśmiechnął się nawet. Powiedział niespieszono: — „Z wizytówki pani sądząc, mieszka pani w Stanach Zjednoczonych”... — „Tak, rzeczywiście... i to od dawna, a zeszłego roku mieszkałam w Anglii... miejsce pobytu nie zmienia przynależności narodowej...” — „Ale obywatelstwo ma pani amerykańskie — czy nie?” — zapytał znowu, patrząc mi prosto w oczy bardzo poważnie. — „Tak, od dwunastu lat mam obywatelstwo amerykańskie” — odpowiedziałam. „Mój ojciec urodził się jako obywatel rosyjski a moja matka jako obywatelka niemiecka, no a pan jest oczywiście obywatelem meksykańskim, podczas gdy pana przodkowie byli również przez jakiś czas poddani hiszpańskimi, prawda?” — „No, tak...” — powiedział patrząc na mnie surowo — „to prawda, ale dlaczego pani wyjechała z Polski? Jaki ustrój polityczny miała Polska przed wojną? Jaki ma teraz? Czy ma pani zamiar wrócić?” — Tego rodzaju pytania trwały przynajmniej półtorej godziny i tylko godzina nam potem została na rozmowę o życiu i pracy tego pierwszego ze spotkanych Nahuów, rozmawiało się jednak bardzo dobrze, z obopólnym zaciekawieniem i zaufaniem. Stanowisko jego okazało się jednak bardzo podobne do stanowiska innych intelektualistów indiańskich. — „Nasza organizacja zajmuje się akcją cywilizowania Indian” — powiedział. — „Nigdy nie prosiliśmy i nigdy nie będziemy prosić o żadne subsydia państwowe, bo gdy się przyjmuje pieniądze, traci się wolność, a my chcemy móc naprawdę i cywilizować i bronić Indian... INI (Państwowy Instytut Indianistyczny) szkodzi nam raczej niż pomaga, bo podkreśla fakt, że jesteśmy Indianami...” — mówił ten Nahuā tak wyraźnie dumny ze swego pochodzenia, tak podkreślający wielkość zniszczonego imperium o wspólniejszej kulturze... — „Oni nas stereotypują jako Indian, i to nam jedynie szkodzi...” — „Ale o tym jeszcze porozmawiamy obszerniej następnym razem...”. Gdy wychodziłam rzucił mi jeszcze jedno prowokujące pytanie: — „To bardzo dobrze, że chce pani pisać o nas, naprawdę bardzo dobrze, ale dlaczego, mieszkając w Stanach, nie przeprowadza pani raczej badań nad czerwonoskórymi intelektualistami amerykańskimi... przecież oni są pod ręką, znacznie bliżej od nas!” — „To prawda... mieszkam nawet w kraju Federacji Iroquois...” — powiedziałam trochę speszona — „tak, rzeczywiście... mogłabym ich badać, ale aby odpowiedzieć uczciwie na to pytanie musiałabym jeszcze mówić bardzo długo...”.

Po tej rozmowie czytałam długo w nocy wiersze Nezahualcoyotla⁹, króla Texcoco. Nezahualcoyótl — szczęśliwy — umarł

9. José Luis Martínez, *Nezahualcótl*, Sepsetentas 42, Mexico 1972.

w momencie rozkwitu imperium (1472), pół wieku przed klęską... Czy mój pierwszy znajomy Nahuā, tak dumny z istnienia imperium ma czas i ochotę — myślałam — na czytanie jego wierszy? Czy je w ogóle rozumie, on nastawiony na pośpieszną akcję obrony Indian przed wyzyskiem i przystosowania ich do innej obcej cywilizacji dawnych wrogów... On walczący o zupełnie już inną przyszłość dla potomków Nezahualcoyotla?...

*W wierszach jak w kwiatach
o, przyjaciele
zjawiliśmy się na tym świecie,
w wierszach jak w kwiatach...*

pisze Nezahualcótl.

*Urodziliśmy się wiosną, przyjaciele.
Krótka, bardzo krótka trwa nasza wiosna.
Ten krótki, bardzo krótki moment, przyjaciele
trzeba przeżyć, trzeba przeżyć, przyjaciele...*¹⁰

Czytając jeszcze inne wiersze króla-poety pełne euforii i smutku przemijania myślałam i o przedwojennym Wierzyńskim i o Miłoszu i o tym, że wówczas, za czasów Nezahuaycoyotla nie wiedzieli oni przecież o istnieniu Hiszpanii, podczas gdy my, w okresie naszej „wiosny” wiedzieliśmy o istnieniu Niemiec i Rosji. Smutek przemijania Nezahuaycoyotla — religijno-egzystencjalistyczny; katastrofizm Miłosza z lat trzydziestych — polityczno-społeczny...

Drugi Nahuā, z którym miałam okazję rozmawiać, okazał się zupełnie inny od wicedyrektora: myśliciel raczej niż działacz-ideolog, 26-letni, bardzo młodo wyglądający człowiek, z wieloletnim już doświadczeniem pracy społecznej, bo przez wszystkie lata studiów w seminarium nauczycielskim i jeszcze kilka lat potem, zanim go przeniesiono do Mexico, pracował jako inspektor szkolny w swoich rodzinnych stronach. Teraz, pracując w Urzędzie Indianistycznym Ministerstwa Oświaty studiuje jednocześnie antropologię społeczną — długie i bardzo trudne wieczorne studia po ośmio-godzinnej pracy — chce jednak poznać i naprawdę dobrze zrozumieć swoją indiańską przeszłość i — „tę całą naszą krzywdę i klęskę”. Pytam go co sądzi o imperium swoich przodków — czy było to naprawdę imperium nieznoszące

10. W moim tłumaczeniu z hiszpańskiego tłumaczenia A. M. Garibay K. *ibid.*

sprzeciwu podbitych grup, czy tak, jak twierdzą niektórzy, konfederacją dopuszczającą te podbite szczepy do głosu... — „O tym można by wiele powiedzieć” — odpowiada — „moim zdaniem jednak nie warto w ogóle mówić o ile się nie ma solidnych danych. Na to pytanie będę mógł odpowiedzieć gdy te dane zdobę. Naturalnie, że myślę o tym wiele i to myślę od dawna... Ten proces uświadamiania sobie własnej historii jest zresztą procesem bardzo długim. Najpierw człowiek musi zdobyć sobie przede wszystkim odwagę cywilną, to jest zasadnicze. Mając mniej więcej 13 lat, jeszcze u nas we wsi, zaczynałem powoli rozumieć kim jestem i cenić samego siebie... Tak powstaje odwaga cywilna... Nie, nie umiem pani powiedzieć pod jakimi wpływami zacząłem o tym myśleć. Może kiedyś to zrozumieć. Bardzo chciałbym zrozumieć. Kto wie, może to był wpływ ojca, który jest człowiekiem bardzo wyjątkowym: niewykształcony i bardzo skromny człowiek, niewiedzący nic o naszej historii, nic prócz tego o czym pamiętamy wszyscy, o strasznych czasach sprzed Reformy Rolnej, o tym jak się męczyli ludzie pracujący na *haciendach*¹¹. O tym jednak, że mieliśmy kiedyś wielką cywilizację nikt we wsi nie wiedział nic... W szkole, najpierw we wsi, a potem już w internacie indiańskim, też nam niewiele o przeszłości mówiono. Nigdy nie miałem dwujęzycznych nauczycieli i Azteków przedstawiano nam jedynie jako dzikich ludzi — jako prymitywny szczepek nomadów... to zresztą prawda, nie wspomniano jednak ani słowem jaką wielką kulturę stworzyli później — o tym nie wiedzieliśmy nic. Mówiono nam natomiast dużo o Niepodległości i o Rewolucji, o tym, że mamy równe prawa, no ale u nas na wsi wszystko było przeciwko nam — Indianom. Oszukiwano nas, wykorzystywano na każdym kroku. O tym wiedzieli wszyscy, ale ponieważ nie wiedzieliśmy nic o naszej przeszłości, jedyna świadomość społeczna, która u nas zaistniała to świadomość naszej marginesowości i niemocy, tego, że byliśmy inni i bezsilni”.

— „A teraz” — zapytałem — „czy teraz jest tak samo?”

— „Nie, teraz jest na pewno lepiej” — powiedział z namysłem — „zmniejszył się ten ogromny dawniej — dystans między słowem i czynem, — niektóre z obietnic są obecnie spełniane, no ale mimo to, dla Indian *jako Indian* nie istnieje żadna przyszłość”.

— „Słyszałam jednak o tym, że niektórzy z was, Nahuów...” — zaczęłam.

— „Ach, tak” — przerwał mi. — „Wiem co ma pani na myśli — to prawda, że istnieją w Meksyku pewne ugrupowania, które przyjęły jako platformę ideę rekonstrukcji i dalszego roz-

woju kultur indiańskich ale to są, proszę pani, koncepcje czysto intelektualne, taki rodzaj propagandy jak każda inna, nie ma to żadnego związku z naszą rzeczywistością”.

Milczeliśmy przez chwilę. — „Chciałabym wiedzieć” — zapytałam w końcu — „czy wówczas, po klęsce Tenochtitlanu, był między wami bunt i opór, bo sądząc z waszej literatury, nie znam jej jednak dostatecznie, była jedynie rozpacz i próba zrekonstruowania historycznego dziejów imperium?”

— „Przypuszczam, że był i bunt i próby oporu” — powiedział bardzo spokojnie. — „Nie sędzę, aby ta literatura i historia, które są dziś dostępne, były całkowicie miarodajne, ale nie lubię niepopartych faktami spekulacji... może kiedyś w przyszłości będę mógł na te pytania odpowiedzieć...”

O tym, że bohatersko bronili swej stolicy Tenochtitlanu, wiemy dobrze. Wiemy również, że w obronie Tenochtitlanu zginęła prawie cała arystokracja Nahuia a z niej jedynie rekrutowali się ówczesni intelektualiści: poeci, historycy, ideologowie.

Czy pozostali w podbitym imperium tacy, którzy po wielkiej klęsce mogli nadal mówić i pisać prawdę? I czy jeśli tacy pozostali mieli odwagę głosić tę prawdę pełnym głosem? Czy po wielkiej klęsce zaistniał bunt i opór? Czy może ci nieliczni, którzy umieli i powinni byli pisać i mówić prawdę, tak się zastraszyli i zafałszowali, że naród ich, przez ten lęk i zafałszowanie, stracił na długo, a może raz na zawsze prawo do niepodległości? Kiedy i z czego rodzi się nadzieja współistnienia z okupantem? Kiedy i dlaczego okupant i wróg przekształca się we współobywatela?

(d.c.n.)

Alicja IWANŃKA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

11. Wielkie własności ziemskie.

Wiersze

Jacek BIEREZIN

ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Na całym świecie rozpoczęło się świąteczne
zawieszenie broni i praw dialektyki
Czekało nas kilka spokojnych ahistorycznych dni
Szedłem ulicą Obrońców Stalingradu
Była noc Z domów odpadała secesja
Dwóch mężczyzn biło się przed Simem
nadjeżdżał świątecznie odprasowany patrol
Na Placu Wolności spawano szyny
W neonie PZPR PRZODUJĄCA SIŁA NARODU
nie paliło się kilka liter
jak w większości neonów reklamowych w naszym mieście
KAŻDY POŻAR NISZCZY MIENIE SPOŁECZNE

I OSOBISTE

wieszczyła brama remizy strażackiej
Myślałem o pożarze serca i mieniu osobistym
Włodzimierza Majakowskiego
a także o wszystkich innych argonautach
bardziej odważnych bardziej zrozpaczonych
o ich ewolucjach i rewolwerach

Na całym świecie rozpoczęło się świąteczne
zawieszenie broni i praw dialektyki
Czekało nas kilka spokojnych ahistorycznych dni
Faszyści zmienili koszule z czarnych na non-ironowe
w wierszu Ryszarda Krynickiego i w rzeczywistości
nadal nie było wiadomo

kto zajmie miejsce U Thanta
Nadal jesienią Święta bez opadów śnieżnych
Tramwaj mijał patrole Patrole mijały tramwaj

Zaczynało się jutro

1971

CHOROBY SPOŁECZNE

Od życia społecznego
dostałem bezsenności

W odpowiedniej poradni
zaaplikowano mi serię zastrzyków

ale jak się okazało
leczyły one tylko syfilis

ROBOTNIK

Należy przywrócić rzeczom właściwe proporcje. Dlatego piszę
te słowa o robotniku. Przeciętym. Odznaczającym się głębią
i subtelnością uczuć.

W każdą sobotę upija się bardziej niż zwykle i chodzi na
kurwy. Wraca wraz z nadejściem porannych mgieł i bije żonę.
Niech chociaż ona wie, że jest dyktatura proletariatu.

1967

ŚWIĘTO WIOSNY

Na ukwieconych ulicach karmiono transparentami
nadwątloną przez bratnie pomoce ideę braterstwa ludów
W Alejach Niepodległości panowała wolność
z racji wstrzymania ruchu kołowego
Równość była jednakowa dla wszystkich
Dziś decydowało o Jutrze
Jutro było zachmurzone
i ze strachem patrzyło na Dziś
Panował nastrój radosnych igrzysk
Obiecywano coraz więcej chleba
Ludzie zamieszkali w pochodzie
i oddychali sztandarami

Byłem wolny tzn. miałem świadomość
że przebywam na świeżym powietrzu

W A M !

Wam, zwykłym czytelnikom prasy codziennej
(sprawozdanie z wojny, sprawozdanie z obrad, doniesienia z raję, kronika wypadków, wyniki gier liczbowych, powieść kryminalna plus ogłoszenia drobne)

Wam, zwykłym oglądaczom programów telewizyjnych
(dziennik telewizyjny, kapitan Kloss wykonał zadanie, mistrzostwa w jeździe figurowej, spotkanie z cieniem Jana Kiepury, Dziewczęta z Nowolipek)

Wam, zwykłym i sympatycznym radiosłuchaczom
(rozrywka — gra polska kapela pod dyrekcją Feliksa Dzierżanowskiego, Moskwa z melodią i piosenką słuchaczom polskim, Program z dywanikiem)

kultura — Nasze zwykłe sprawy, Dobranocka, Z partyzanckiej płytoteki, dziesięć minut z Violetta Villas po powrocie z Las Vegas, pięciotysięczny odcinek powieści radiowej Matysiakowie)

Wam, zwykłym pasażerom dziennych i nocnych tramwajów
(z pracy do pracy, z pracy do pracy, z pracy do pracy, z pracy do pracy, nie pchaj się pan, to pan się nie pchaj)

Wam, znającym Marksa z fotografii w „expresie wieczornym”
i z reprodukcji pierwszomajowych (zbiórka, trzy godziny czekania, trzy setki w restauracji na rogu i okrzyki „niech żyje!” przed trybuną)

Wam, zwykłym entuzjastom ustawy o pasożytach,
krótko ostrzyżonym i podgolonym (strzyżenie podstawą ładu) pijącym piwo i w pogoni za kulturą szturmującym drzwi nocnych lokali

Wam, wtopionym bez reszty w idealne społeczeństwo,
śpiewającym „sto lat” i „czerwony pas” na rodzinnych przyjęciach obfitujących w kielbasę, na którą w pocie czoła zapracowaliście

Wam, ludziom zwykłym choć naprawdę myślącym

o niedzielnym obiedzie, o szóstce w Toto-lotka,
pragnącym spokoju i wspólnoty z tłumem, masą, społeczeństwem

Wam, którzy jesteście pod wpływem przemożnej logiki
codzienności, konieczności, strachu i podłości
dalszego socjalistycznego rozwoju osobowości

życzy święty Mikołaj

Grudzień 1971

ARKADIA

Istnienie Arkadii jest jaskrawym przykładem fałszywości i spekulatywnego charakteru pewnych koncepcji filozoficznych uznających konfliktowość za atrybut ludzkiego świata (spekulatywny, od łac. *speculativus*, badawczy — abstrakcyjny, oparty na myśleniu oderwanym, nie liczącym się z doświadczeniem i praktyką). Arkadię dzielimy na proste i złożone.

Arkadia prosta jest to struktura przedustawna o niskim stopniu organizacji społecznej. Pomijając pewną tandetę estetyczną (pasterstwo na łagodnych stokach gór, pastelowa polichromia twarzy) można w niej zamieszkać wygodnie i od zaraz, tj. od zawsze. Co wrażliwsze i artystycznie utalentowane jednostki odczuwające potrzebę (obowiązek nie istnieje) pracy mogą zajmować się projektowaniem ubiorów dla arkadyjskich obywateli (moda jest w Arkadii jedyną formą ruchu).

Arkadia złożona jest to struktura poustawna o wysokim stopniu rozwoju cywilizacyjnego i społecznego. Na tle innych Arkadii, będących odmianą prostej, wyróżnia się korzystnie wyprasowanymi policjantami, lekkimi obyczajami oraz surowymi więznicami i obozami pracy (w odpowiednio niezdrowych klimatycznych regionach) dla osobników z arkadyjskiego marginesu. Ważnym elementem rzeczywistości jest twórca praca spokojnych i bezpiecznych obywateli, a także ustanowiony raz na zawsze „Kodeks postępowania moralnego” zapewniający obywatelom należne im poczucie własnej bezgrzeszności (jedna z metafizycznych potrzeb wyższego rzędu). Intelktualiści nie zajmują się futurologią bowiem przyszłość jest gotowa. Także terażniejszość i przeszłość.

Od czasu do czasu Arkadię nawiedzane są klęskami żywiołowymi, takimi jak szarańcza barbarzyńców czy erupcja (gwałtowne wydobywanie się na zewnątrz, np. lawy, pyłów, gazów; wybuch) wulkanu szczęścia. Barbarzyńców unieszkodliwia się salwami z publikatorów. Gorzej rzecz ma się z drugą plagą. Produkty wulkanu trzeba bowiem zjadać co powoduje zbyt doskonałą strawność.

Z racji słabego przyrostu naturalnego arkadyjczycy chętnie przyjmują przybyszów z zewnątrz.

I TY MOZESZ ZOSTAĆ CZŁONKIEM ARKADII ZAKŁADAJĄC LUB WYDAJĄC SPECJALNIE PREMIOWANĄ KSIĄŻECZKĘ ARKADYJSKĄ.

1971

W POŁOWIE ŻYCIA

W obcym mieście W pokoju hotelowym o dwóch wyjściach
przez drzwi na schody i przez balkon na jezdnię
W pokoju hotelowym ze śladami pobytu
referentów aktorów ministrów i rolników
W pokoju pamiętającym defloracje i spiski
miłosne szeptu ważne sprawy i kaszel gruźlików
W obcym mieście Zbudzony w środku nocy
w pokoju hotelowym o dwóch wyjściach Śmiertelnie zmęczony
bo nie wypadało zawracać w połowie snu
i jak zalecał poeta trzeba było dośnić do końca
bo rzeczywistość była złym snem w środku nocy
wszystkie niepokoje którymi żyłem i dzięki którym żyłem
które trzymały mnie w szponach uszczęśliwiały rzadkim
rozblyskiem
wracały w ciągu tej nocy w ciągu wszystkich godzin
ostrzych jak brzytwa o których nie zdążyć opowiedzieć
Widziałem zakrwawione ręce ludzi o czystych rękach
i innych ludzi dźwigających ołów w sercu
Bohaterowie byli naprawdę zmęczeni lub nie było bohaterów
Prometeuszowi przeszczepiano wątrobę
Radio nadawało komunikat specjalny
Kobieta z którą widywałem się najczęściej na dworcach
całowała mnie w kilku listach na zapomnienie
Ci którzy mieli kłopoty z zaaklimatyzowaniem się w codzienności
wrażliwi i nieprzystosowani
(wojsko by się przydało wojsko by wychowało)
nadal próbowali ruszyć z posad bryłę kamiennego świata
Na ulicach polewaczki zmywały krew z bruków i domów
a prorocy biblijni śpiewali piosenkę o następnym pożarze
Większość ludzi trwała w oczekiwaniu na poranne gazety
by dowiedzieć się nareszcie o ruchach wojsk w Wietnamie
zamieszkach w Belfaście podróżach mężów stanu
Bezrobotna sztuka jak w znanym aforyzmie
została zaangażowana przez kilka instytucji
Można było się buntować Oczywiście w rozsądnych granicach

Ze ściśniętym gardłem ze świadomością szaleństwa
spokojnie pozwalałem pochłonąć się historii ;

W połowie życia W tym mieście bez imienia
(bo imię jest nieważne dla wygnańca)
gdy wszystko trzeba było przeżyć raz jeszcze
ale bez możliwości wprowadzenia korekty
gdy świadomość była rodzajem wymyślnej tortury
wkraczałem — jak chciał poeta — w erę wyzwolonego ognia
W tej jednej chwili gdy popsuły się zegary
uniemożliwiając tym samym posuwanie się naprzód
gdy widziano gromady ptaków ukrzyżowane na niebie
gdy zmęczenie ogarnęło wszystkie nasze drogi
w tej chwili wkraczałem w erę wyzwolonego ognia

W obcym mieście W pokoju hotelowym o dwóch wyjściach
przez drzwi na schody i przez balkon na jezdnię
wszystkie niepokoje którymi żyłem i dzięki którym żyłem
wracały w ciągu tej nocy w ciągu wszystkich godzin
ostrzych jak brzytwa o których nie zdążyć opowiedzieć
Widziałem siebie maszerującego w nieustających pochodach
czołgającego się bo nie wypadało zawracać w połowie życia
gdy światła przyszłości były dalekie jak latarnie morskie
gdy żyliśmy ciągle zamknięci w jednym dniu
w tym dniu bez okien i bez drzwi w którym zbyt wiele się
zdarzyło

gdy dookoła w oczach ludzkich płonęły stosy
a od jednego spojrzenia mogły zająć się domy
gdy na jezdniach umierały bezbronne tramwaje
broczą krew i dysząc jak ranne zwierzęta
gdy krew ludzka mieszała się z kwią kamieni
które do końca nie chciały przelewać niczyjej krwi
Kiedy wszystkie godziny były przeciwko nam
w każdej z nich zmuszeni byliśmy wybierać
miłość lub nienawiść bezsenność lub sen
pancerz codzienności lub codzienność krat
nasze życie lub inne niemożliwe wyjście

Pamiętnej strasznej zimy i bezsennej wiosny
kiedy nie można było pójść w przyszłość lub wrócić
i nie można było czekać w tym samym dniu
gdy trzeba było wolnej myśli by zrodziła się wolność
gdy trzeba było wolności aby zrodziła się myśl
gdy rzeczywistość była pusta choć nieprzenikniona
i mogliśmy żyć jedynie w republice myśli

na tym przyłładku dobrej albo złej nadziei
 chcieliśmy stwarzać życie na podobieństwo wierszy
 powtarzaliśmy że każdy mur jest bramą
 tak długo aż wiara stała się doskonałą
 Matki płaczem witały każde nasze wyjście
 Zwiększyła się liczba poronień i nawróceń
 ludzie zmieniali religie gdy zawodzili bogowie
 Pamiętnej strasznej zimy i bezsennej wiosny
 kiedy świadomość przestała czynić nas tchórzami
 czytaliśmy Hegla i listy romantyków
 rozmawialiśmy z Maratem Mochnackim i Marksem
 zajmowaliśmy się tylko tym co być powinno

W połowie życia W tym mieście bez imienia
 (Warszawa miasto portowe którekolwiek z miast)
 wybieraliśmy perspektywę nieustannego wyboru
 na przekór naszym kobietom pokusom i rozsądkowi
 Kiedy opanowaliśmy to jedyne nieposłuszne życie
 miasto było gotowe na przyjsie starego dnia
 W oknach zakładu pogrzebowego plakaty zapraszały
 wszystkich do urn — dziewiętnastego marca

1972

Jacek BIEREZIN

Jacek BIEREZIN, ur. w roku 1947 w Łodzi, jest czołowym przedstawicielem kierunku ochrzczonego przez recenzenta warszawskiej „Kultury” „nurtem kontestacyjnym” młodej poezji polskiej. W pokoleniu poetów urodzonych po wojnie, nurt ten stał się widoczny i coraz bardziej znaczący dopiero w Polsce po-grudniowej. Jacek Bierzyn był laureatem pierwszych nagród w turniejach poetyckich Kłodzkiej wiosny i Warszawskiej Jesieni Poezji. Jego pierwszy tomik zatytułowany „Lekeja liryki” wyszedł z opóźnieniem w roku 1972, kiedy był już gotowy i znany zainteresowanym kręgom środowiska zbiór następny pt. „Wam”. Oficjalny debiut był więc recenzowany — na ogół bardzo życzliwie — jako zapowiedź talentu w znacznej mierze już wtedy spełniona.

Dowiadujemy się że tomik „Wam”, złożony w wydawnictwie „Czytelnik”, został „prewencyjnie” — przed oddaniem do drukarni — w całości zdjęty przez cenzurę. Postulat „poezji zaangażowanej” w Polsce Ludowej nie dotyczy, jak widać, twórców kultuwujących prawdziwą wrażliwość moralną i śmiałość wyobraźni.

Nowe interwencje cenzury na twórczość zaangażowaną nie są wcale ograniczone do poetów młodego pokolenia. W serii bibliofilskiej „Generacje”, o ograniczonym nakładzie paruset egzemplarzy, związanej z co-miesięcznymi wieczorami autorskimi, zdjęte zostały tomiki Wiktora Woroszyńskiego i Adama Ważyka. Oznacza to że nie odbędą się i wieczory autorskie tych dwóch przedstawicieli średniego i starszego pokolenia poetów.

Drukowane poniżej utwory Jacka Bierzyna pochodzą ze zdjętego przez cenzurę zbioru „Wam!”.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

„Dr Brzeziński, I presume...”

„Dr Brzeziński, I presume...?”, zapytałem przystojnego, młodego jak na średni wiek, mężczyznę, którego twarz znana mi była z fotografii prasowych, a z którym właśnie wspinałem się na obiad. Wspinałem, albowiem scena, gdzie moja znajomość psychologii i historii spotkania Stanley'a z odnalezionym właśnie w dżungli dr. Livingstone'm tak bardzo mi się przydała, odgrywała się w windzie brukselskiego hotelu „Westbury”. Dr Brzeziński był mniej niż dr Livingstone zdziwiony spotkaniem, a w każdym razie mniej uradowany. Ale nie dał po sobie tego poznać. Zdążył tylko powiedzieć: „Ja pana czytam w *Kulturze*”, ale nie zdążył powiedzieć czy mu się to podoba, bo dojechaliśmy na 23 piętro, gdzie czekał na nas *lunch* czyli ogromny obiad, który nazywa się śniadaniem, tylko dlatego aby móc zjeść jeszcze raz wieczorem *diner* czyli obiad, który jest właściwie kolacją. Dr Brzeziński był zaproszonym honorowym gościem i speakerem, na comiesięcznym *lunch*'u klubu, którego Brukselczyk jest skromnym członkiem. I dlatego p. Brzeziński, w czasie kiedy ja jadłem spokojnie deser musiał (zły) wygłaszać półgodzinne streszczenie swych poglądów na zbawienie świata, a potem kiedy ja piłem gorącą kawę, nasz gość musiał poważnie odpowiadać na szalenie nieraz dziwne pytania.

W ciągu następnych kilkunastu godzin spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Kiedy zaproponowałem prof. Brzezińskiemu rozmowę dla *Kultury*, wyjął tzw. agendę czyli kalendarzyk i zaczął obliczać. „Był pan już na *lunch*'u, teraz pójdzie pan ze mną na spotkanie ze studentami, potem mam czas między 19.12 a 19.28. Jutro rano do pana zadzwonię i powiem czy się spotkamy na *breakfast*'cie między 8.30 a 8.52 czy na *drink*'u między 12.00 a 12.25... OK?”.

„OK”, odpowiedziałem, bo co miałem odpowiedzieć, a potem

zaczęłam notować. Najpierw z pamięci, bo dr. Brzeziński straszono naród polski już od bardzo dawna. Choć ogromna większość teoretyków marksizmu-leninizmu ostro chłoszczących tezy Brzezińskiego — a przede wszystkim jego straszliwą teorię konwergencji — nigdy nie miała jego książek w ręku, autor był w Polsce postacią popularną. W narodzie, albowiem z pochodzenia Polak a taki ważny w USA i tak ostro krytykowany przez KC, to na pewno jakiś extra-facet. W elicie partyjnej — albowiem atakowanie prof. Brzezińskiego należało do dobrego tonu — wskazywało na odczytanie, inteligencję, znajomość kulis wielkiej polityki światowej oraz prawdziwych źródeł antysocjalistycznej dywersji. Za ostatniej chyba obecności profesora w Warszawie w 1966 roku, spacer Brzezińskiego z Kołakowskim w Parku Saskim został dokładnie (ja myślę) sfilmowany czy sfotografowany przez UB, po czym ta krótkometrażówka była wyświetlana przed wtajemniczonymi jako dowód wszechświatowego spisku rewizjonistów. Choć od ogłoszenia tezy o konwergencji minęło już sporo lat, jest ona ciągle w użyciu i w modzie na Wschodzie. Niedawno miałem w ręku przegląd prasy węgierskiej i czeskiej, gdzie, znowu, nieco po sezonie, straszono Brzezińskim ludu budujące socjalizm.

Nic dziwnego, że moim kontaktom z prof. Brzezińskim towarzyszył lekki dreszczyk. Uspokoilem się dopiero kiedy w pokoju w „Hiltonie” ja popijałem skocza z lodem, a dr Brzeziński nie dążył dopić swojej coca-coli, bo za 15 minut miał „szalenieważnespotkanie”, a przedtem musiał wyrecytować w mój magnetofon odpowiedź dla *Kultury*.

Jak w „Weselu”...

— *Panie Profesorze trafił Pan do Europy w odpowiednim momencie. Czy oglądał Pan w TV uroczystości żałobne w Notre Dame w Paryżu po śmierci Pompidou, a przede wszystkim zjazd szefów państw i rządów, z których ogromna większość albo nie miała żadnych powodów do wzruszeń, albo odczuwała wręcz antypatię wobec byłego lokatora pałacu Elizejskiego? Mnie zafascynował ich korowód, dziwny jak w „Weselu” (przepraszam, słowo nie w porę), taki niedzisiejszy nierealny... Bo zważmy, kanclerz Brandt przegrywa jedne wybory prowincjonalne po drugich, nawet w Lubece przegrał, choć to jego rodzinne miasto; Wilson — premier bez większości — o nazwisku zamieszonym w jakąś aferę spekulacyjną, Leburton — premier bez rządu — w Belgii niezdolnej do rozwiązania tak anachronicznego konfliktu językowego między Walonami a Flamandami (jedyni prawdziwi Belgowie w Belgii to naturalizowani polscy Żydzi), Palme — szwedzki premier bez większości w parlamencie — zależny od 17 głosów komunistycznych, gdzie nawet poważne ustawy przechodzą drogą... losowania, bo nie można osiągnąć normalnej większości, Trudeau w Kanadzie też rządzi bez większości. Pań-*

ski Nixon, lepiej nie mówić, no i ta Francja, gdzie zwłoki prezydenta jeszcze nie ostygły a już zaczęły się targi o jego fotel i to przede wszystkim między członkami jego własnej większości. Co się dzieje? Czy tylko Rosje i Portugalie nie mają zmartwień z sukcesją, czy to rzeczywiście koniec wieku demokracji?

— Chwileczkę, nie wszystko na raz. Na wstępie odrzucmy demagogię. Rosje i Portugalie nie są żadnym przykładem stabilności. Oczywiście, w ustroju totalitarnym procedura jest prosta, ale do czasu. W Portugalii zachwiała się już armia, czyli ostoja reżymu. W ZSSR nieuchronny jest konflikt pokoleniowy, który w warunkach sowieckich jest przede wszystkim konfliktem politycznym i ideologicznym. Ale to nie temat na dziś i na tutaj. Jeżeli zaś chodzi o przykłady demokracji w kryzysie, to choć Pański korowód weselny czy raczej pogrzebowy składa się z przypadków niezawsze porównywalnych czy podobnych, to świadczy on naturalnie o jakimś kryzysie tradycyjnych struktur, tradycyjnych układów politycznych w ogóle. Coś się w świecie przeżyło. Co? Jakby to w największym skrócie wyrazić? Przeżył się system międzynarodowy, utworzony po 1945 roku. Opierał się, powiedzmy, o cztery podstawowe założenia. Po pierwsze zakładał on, że Europa Zachodnia będzie się skutecznie jednoczyć i pozostanie w *partnership*'ie z USA. Po drugie, że utrwali się ostatecznie system wolnego handlu i pełna swoboda wymiany. Po trzecie, że blok komunistyczny będzie stale i skutecznie oddziaływać jako czynnik jednoczący Zachód. Po czwarte, wreszcie, że tzw. trzeci świat pozostanie słaby i bezbronny. Nawet dla niedoskonałego obserwatora nie ulega kwestii, że wszystkie cztery prognozy się nie sprawdziły. Wniosek, świat wymaga reformy, potrzeba nowej polityki, w innych wymiarach...

Trójstronny trust mózgow

— *Zaczynam rozumieć Pańskie nowe hobby. Od pewnego czasu listy od Pana, a raczej od Pańskiej sekretarki na Uniwersytecie Columbia informowały mnie, że jest Pan wszędzie, tylko nie w Nowym Jorku, przeważnie zresztą w Japonii. Ostatnie Pańskie dwa listy były napisane zaś na papierze z bardzo dziwnym nadrukiem. Co to jest „Trilateral Commission”?*

— *Przed wszystkim, to nie jest hobby, a bardzo poważne i absorbujące zajęcie i nie od pewnego czasu a od 2 lat. Po angielsku wyjaśnienie brzmi zwięźle i mądrze. Trilateral Commission to „A private American-European-Japanese Initiative on Matters of Common Concern”. Po polsku trzeba by powiedzieć, że chodzi tu o „prywatne amerykańsko-europejsko-japońskie przedsięwzięcie w dziedzinie wzajemnie interesujących zagadnień”. Pomysł zrodził się z analizy alarmującego wprost pogorszenia się stosunków między trzema najbardziej rozwiniętymi*

rejonami świata, na zaniku odpowiednich więzi, na braku konsultacji między USA, Japonią a Zachodnią Europą, na zarysowującej się groźbie wojen handlowych i innych konfliktów. Bezruch, to znaczy nie podejmowanie próby sprostania tej sytuacji, powstrzymanie a następnie odwrócenia tego procesu prowadziłyby do nader ujemnych skutków dla wszystkich trzech ogniw demokratycznego świata...

— *Trudno stwierdzić, aby skutki trój-działalności były widoczne, aby nastąpił jakiś zwrot w bałaganiarskim porządku demokratycznego świata. Absurdalny i jakże szkodliwy konflikt między EWG a USA np. zamiast słabnąć, zaostrza się...*

— *Za wcześniej aby były już widoczne skutki naszej działalności. Komisja powstała dopiero dwa lata temu, z inicjatywy Davida Rockefellera, prezesa Chase Manhattan Bank...*

— *... który tymczasem zajął się czwartą stroną świata, albowiem stworzył pierwszą filię amerykańskiego banku w Moskwie. Mogę Panu dać adres: pl. Karola Marksa nr 1...*

— *Dziękuję, znam, adres ładny, ale o niczym nie świadczy. Potwierdza tylko skuteczność idei i realność pomysłów Rockefellera. Otóż z jego inicjatywy powołano w 1972 roku komisję, składającą się z ok. 180 osobistości z trzech wymienionych rejonów świata. Mówiąc stylem statutowym Komisja ma organizować współdziałanie trzech najbardziej rozwiniętych rejonów demokratycznego świata, analizować wspólne zagadnienia, wypracowywać najbardziej skuteczne środki działania i proponować przywódcom ich zastosowanie w celu rozwiązania zbadanych problemów. W skrócie, jak to Rockefeller określił z pewną może przesadą, zadaniem komisji jest „skupienie najtęższych mózgów świata w zmaganiach o jego przyszłość”...*

— *Na pewno przesadził. Na liście członków widzę niektóre mózgi nie odpowiadające tej definicji, znam natomiast kilka mózgów, które choć jej odpowiadają nie znajdują się na Pańskiej liście...*

— *Niech pan nie traci nadziei, jeżeli prawidłowo zrozumiałem aluzję. Na razie, z tymi mózgami jakimi dysponujemy podjęliśmy interesujące i ważne badania. Komisja ma trzech strefowych przewodniczących. Dla USA jest nim Gerard C. Smith, do niedawna dyrektor Agencji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia, b. szef delegacji USA na negocjacje SALT. Dla Japonii jest nim Takeshi Watanabe, b. dyrektor japońskiego oddziału Banku Światowego i Światowego Funduszu Monetarnego, ostatnio dyrektor Banku*

Rozwoju Azji. Dyrektorem w Europie jest Max Kohnstamm, b. wiceprzewodniczący Komitetu „Jean Monnet” na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy, obecnie prezes Instytutu Uniwersyteckiego EWG. Dyrektorem komisji jest znany Panu dr Brzeziński. Dlatego rzadko bywam w Nowym Jorku. Jestem na uniwersyteckim urlopie, mam zamiar popracować jeszcze rok w Komisji, a potem wrócić do Instytutu Badań nad Zagadnieniami Komunistycznymi, którego jestem na Columbii dyrektorem. Wkrótce więc będzie Pan mógł mnie zastać, na razie będę ciągle w ruchu. Muszę utrzymywać bowiem kontakt z członkami naszego Komitetu Wykonawczego. Jest ich 34 na trzech obszarach, 9 z Japonii, 9 z USA, 2 z Kanady i 14 z krajów EWG, a przede wszystkim muszę być w stałej łączności z kilku powołanymi już *task force*, grupami operacyjnymi a raczej grupami studiów, stanowiącymi podstawowy środek naszego działania. Grupy te skupiają członków Komisji i zaproszonych ekspertów, opracowują wybrane zagadnienia i mają przekazać wnioski do Komisji. Grup takich jest ok. dziesięciu, badają podstawy obecnego systemu politycznego i ekonomicznego świata, handel światowy, polityczne implikacje kryzysu energetycznego, stosunki z trzecim światem, stosunki Wschód-Zachód, a także np. przyszłość oceanów, jako jednego z aspektów szerokiego zagadnienia surowcowego. Inne *task force* zajmują się podobnymi we wszystkich strefach problemami wewnętrznymi, a także skutkami zmian na skali podstawowych wartości moralnych...

— *Zadanie ambitne. Można powiedzieć że chodzi wam właściwie o wszystko na co obecny chory świat mógłby się poskarżyć...*

— *Nasze zamierzania można by ująć w postaci zamiaru zbadania przyczyn kryzysu funkcjonowania obecnego systemu politycznego i ekonomicznego. Obecna struktura wydaje nam się nie do utrzymania, a działać należy szybko jeżeli chcemy uniknąć dalszych, ostrzejszych kryzysów...*

Czytajmy Spenglera...

— *Z tego co Pan Profesor mówi nasuwa się refleksja, że trójstronna komisja proponuje wspólne działanie jako alternatywę działania w rozsypce, ciężarnego w łatwe wynaturzenia nacjonalistyczne. Nie myślę się chyba, jeżeli powiem, że trójstronna komisja chce być zasadniczą repliką na miedowład, albo nawet na szkodliwość działania narodowych dyplomacji. Jest to więc jakby wyzwanie rzucone dotychczasowej formie tradycyjnego uprawiania polityki zagranicznej, nawet jeżeli ostatnio przejawia się ona w postaci dość spektakularnego stylu Kissingera. Pan chyba nie lubi Kissingera? Z lektury Pańskich opracowań i artykułów wiem, że Dr Brzeziński, były członek Rady Planowa-*

nia Politycznego Departamentu Stanu, nie jest entuzjastą formy i treści obecnej dyplomacji amerykańskiej...

— Nie przypuszczam, aby to była kwestia sympatii osobistych. Nie przypuszczam zresztą, że gdyby kierował dyplomacją USA ktoś inny niż dr Kissinger, to moja ocena polityki Waszyngtonu byłaby mniej krytyczna, nie wiem zresztą czy ktoś inny niż dr Kissinger prowadziłby ją lepiej i skuteczniej. Choć z oceny dyplomacji nie należy eliminować jej ludzkiego aspektu ani cech osobistych polityków, podstawowym kryterium jest nie to kto kieruje, a jak kieruje, czyli rezultaty określonej polityki w konkretnej rzeczywistości historycznej, w konkretnym układzie świata, z uwzględnieniem pewnego systemu wartości, którego broni, tradycji, z której wyrasta. W tym sensie mam rzeczywiście dość krytyczny pogląd na obecną dyplomację amerykańską...

— To dziwne, przecież na tle katastrofalnego bilansu wewnętrznego (Watergate, afera podatkowa, Agnew, żaden amerykański prezydent nie był tak mało popularny), polityka zagraniczna Nixona jaśniała jak meteor, miała zresztą stać się — jak wynika choćby z gorączkowych prób Kissingera osiągnięcia jakiegoś porozumienia z Rosjanami — głównym argumentem przeciwko próbom impeachment, podstawowym dorobkiem drugiego mandatu Nixona, prezydenta który dał światu „pokój na jedno pokolenie, a może nawet na dłużej”. Nawet najbardziej niechętnie dla Nixona odtamy prasy amerykańskiej, o jego polityce zagranicznej wyrażają się oględnie, a czasem z uznaniem...

— Rzeczywiście, ma Pan chyba rację. Krytyka polityki zagranicznej Nixona sformułowana jest dziś w mniejszym stopniu przez wszechpotężną prasę, a w większym stopniu przez środowiska uniwersyteckie, z natury rzeczy bardziej dyskretne, mniej hałaśliwe, mniej wpływowe. *New York Times* doniósł niedawno, że obecny sekretarz Stanu ofiarował prezydentowi książkę Oswalda Spenglera „Zmierzch Zachodu” (*The Decline of the West*). W tym opasłym tomie jest sporo mądrych rzeczy...

— ...np. takie zdanie jak „Nawet podróże do Canossy można przedsięwziąć albo za późno albo za wcześnie”...

— ...M.in., ale przede wszystkim chodziło mi o rozdział poświęcony prasie. Definiując wielkiego męża stanu Spengler głosi konieczność „panowania nad najnowocześniejszymi środkami” politycznego działania i dodaje, że prasę uważa za podstawowy zupełnie środek polityczny. „Prasa, cytuję z pamięci, ma monopol na 'prawdę'... Co prasa chce to staje się prawdą. Trzy tygodnie kampanii prasowej i ta prawda zostaje uznana przez wszyst-

kich...” Otóż w dziedzinie polityki zagranicznej niektórzy przedstawiciele obecnej administracji wykazali wysokie opanowanie cech, jakich Spengler wymagał od mężów stanu, m.in. w błyskotliwym, szybkim, inteligentnym inspirowaniu prasy. Pozwoliło to stępić nieco ostrze krytycznej analizy, wylansować oficjalną wersję „prawdy”...

— No dobrze, nawet Spengler jednak nie wszystko tłumaczy. Trudno przecież kwestionować znaczenie przelomu w stosunkach z Chinami, złagodzenie ekspansywności ZSSR, koniec wojny w Wietnamie itd....

— Oczywiście, nie mam zamiaru tego kwestionować. Nie zmienia to jednak faktu, że od samego początku obecną administrację cechował podwójny jakby niedowład. Po pierwsze, Waszyngton albo traktował obojętnie, albo wręcz lekcewał sprawy krajów rozwijających się. Trudno powiedzieć dlaczego tak było. Może zbyt mało znaczyły te kraje w *real-politik*, może zbyt mało były widoczne w bilansie równowagi sił. W rezultacie jednak pogłębiła się przepaść między USA a biednymi rejonami świata. Nawet jeżeli obecnie nie jest to zbyt groźne dla USA, to może to ulec zmianie w chwili kiedy USA przestaną być quasi-autarchiczne w dziedzinie surowcowej, a przede wszystkim kiedy okaże się, że kraje te stanowią istotny czynnik politycznego układu sił na świecie. I po drugie, a może nawet po pierwsze, niepokoi mnie spadek skuteczności naszej dyplomacji na dwóch podstawowych frontach: w formie i treści odprężenia rosyjsko-amerykańskiego i w dziedzinie stosunków i sposobu postępowania wobec naszych najważniejszych sojuszników w Japonii i w Europie Zachodniej...

— I tu wracamy do „trójstronnej komisji”...

— Tak, to było podstawowe źródło natchnienia jej inicjatorów. Odprężenie jako takie jest na pewno dobrą rzeczą, bez niego wyścig zbrojeń w dawnym tempie toczyłby się w atmosferze wrogości i napięcia. Po to jednak aby *detente* była skuteczna musi spełniać swe założenie: musi zapewniać równe bezpieczeństwo obu stronom, musi zakładać równowagę kosztów i zysków każdego z zainteresowanych partnerów...

Od Metternicha do Bismarcka...

— To brzmi jak z Metternicha, który jest przecież mistrzem obecnego szefa dyplomacji amerykańskiej...

— Być może, ale rezultat bardziej niż Metternicha przypo-

mina Bismarcka... Trudno oprzeć się wrażeniu, że po pierwszych sukcesach, kiedy Waszyngton umiejętnie wykorzystywał sowieckie trudności na froncie chińskim, oraz ekonomiczne problemy ZSSR, kiedy Moskwa gorąco podejmowała prezydenta USA mimo bombardowania Hanoi i w czasie blokady Haifongu, trudno więc dziś nie stwierdzić, że osłabiony prezydent nie potrafił zapobiec poprawie pozycji ZSSR a pogorszeniu pozycji USA.

— *W czym się to pogorszenie przejawia. Może Pan spróbuje dokonać najkrótszego bilansu zysków i strat...*

— Spróbuję, jeżeli mi Pan nie przerwie. A więc:

SALT: Rosjanie mieli prawo do liczbowej przewagi w imię technologicznie wyższej sprawności rakiet i głowic amerykańskich. Dziś to już przeszłość. Rosjanie mają swoje MIRV.

EUROPA: W zamian za pewne osłabienie napięcia i niewielkie koncesje w odniesieniu do Berlina zachodniego i stosunków międzynarodowych (jakże jest zresztą łatwy powrót w obu tych dziedzinach do *status quo ante*), ZSSR uzyskał prawną i moralną legalizację strefy jego wpływów we Wschodniej Europie. Co więcej, podczas kiedy ZSSR ciągle proklamuje nieuchronność zaostrzenia się wojny ideologicznej, co ma zdaniem Kremla uzasadniać zaostrzenie restrykcji w dziedzinie praw człowieka, amerykańska strona wykazuje zaskakującą bezczynność, np. na konferencji genewskiej, gdzie podstawowa linia podziału biegnie właśnie wzdłuż granicy praw człowieka i swobodnej wymiany ludzi i idei. Ba, Waszyngton beztrąsko obciął subwencje na Wolną Europę i Radio „Swoboda”, które kosztem 15 centów na głowę obywatela USA były najbardziej skutecznym środkiem wolnej informacji we Wschodniej Europie i w ZSSR.

HANDEL i KREDYTY: Amerykańskie kredyty dla ZSSR sięgają już sumy ok. miliarda dolarów. Nie jestem przeciwnikiem wolnej wymiany handlowej. Wprost przeciwnie, ale musi to być właśnie wymiana. Tymczasem, bez wchodzenia w szczegóły, można powiedzieć, że amerykańskie kredyty życiowej wagi dla ZSSR, np. w sferze komputeryzacji kraju czy eksploatacji bogactw syberyjskich, są — jak dotąd — aktem raczej jednostronnym. W zamian bowiem za te kredyty USA miałyby otrzymywać sowieckie surowce. Jest to jednak kwestia dość mglistej przyszłości, przy czym i tak kurek od naftociągu pozostanie pod wyłączną kontrolą Rosjan. Tymczasem jednak USA stają się podstawowym czynnikiem modernizacji i usprawnienia sowieckiej gospodarki. Otóż stwierdzenie to oznacza, iż pomoc amerykańska przyczynia się do zredukowania wewnętrznego nacisku na konieczność reform w ZSSR, reform które nie mogą, to jasne, nie mieć także aspektów politycznych. W ten sposób USA nie tylko pomagają w rozwoju sowieckiej gospodarki, ale wzmacniają także sowiecki reżym polityczny.

USA-ZSSR: Niewielu Amerykanów zdaje sobie sprawę, jak da-

lece Rosjanie mierzą swe postępy tylko przez porównanie z USA. Osiągnięcie symbolicznego choćby statutu równości z USA było od zawsze celem polityki ZSSR. Obecna administracja statutu ten Moskwie ze zbyt wielką łatwością nadała. Postępując się i akceptując sowiecką formułę „pokoju współistnienia”, Waszyngton ustanowił coś w rodzaju „specjalnych lub uprzywilejowanych stosunków politycznych z ZSSR”. Nie trzeba się więc dziwić, że u szczytu kryzysu bliskowschodniego Breżniew wzywając do Moskwy Kissingera, pominął zupełnie zainteresowane ewentualnie rządy z Zachodniej Europy, choć formalnie był zobowiązany do konsultowania np. Francji.

— *To nie brzmi wesoło, to bilans raczej smutny. A przecież nie uważa Pan detente za błędną i zbędną...*

— Nie oczywiście, ale trzeba ją widzieć w procesie, w zmieniających się okolicznościach, perspektywach i celach. W odróżnieniu od wczesnych lat 60-tych, dziś polityka odprężenia prowadzona jest w warunkach moralnego osłabienia USA, i, jak mi się wydaje, ma na celu przede wszystkim utrwalenie obecnych podziałów i sfer wpływów. Obecny kształt odprężenia jest przy tym nietrwały. Każda bowiem zmiana personalna na sowieckiej górze, a w tej dziedzinie — mój Boże, zaskoczenia są zawsze możliwe — może spowodować dość gruntowny zwrot w polityce zagranicznej Kremla. Zwrot tym prostszy dla Rosjan, że ich koncesje w dziedzinie np. SALT, mają, wydaje mi się, charakter bardziej taktyczny niż strategiczny. Odnoszę wrażenie, że niektórzy przynajmniej przywódcy Kremla (a nikt nie zna spadkobierców Breżniewa) ciągle jeszcze rozumują w kategoriach absolutu strategicznej przewagi, że zgodnie z tym, ustępstwa ZSSR dotyczą raczej spraw peryferyjnych, podczas gdy amerykańskie — spraw zasadniczych...

— *Trudno się Rosjanom dziwić, że „idą za ciosem”. Nigdy jeszcze przecież po wojnie stosunki USA z Europą Zachodnią nie były tak złe, żeby nie użyć słowa „kryzys”.*

— No, tak. Choć, naturalnie, wzajemne oskarżenia i fajerwerki stylistyczne między Paryżem a Waszyngtonem są w pewnym stopniu wyrazem osobistego temperamentu, przewrażliwienia, no, charakteru niektórych „tenorów”, jak się to po francusku mówi, to jednak w zasadzie odbijają one zaskoczenie USA wobec tendencji do usamodzielnienia się Europy. Oczywiście, nie tylko Waszyngton jest za napięcie atlantyckie odpowiedzialny. Rozbicie Europy, nieufność niektórych polityków wobec USA (co nie wyklucza przywiązania do amerykańskiego parasola atomowego), też komplikują sytuację. Ale, istotnie, to Stany Zjednoczone powinny być wziąć na siebie misję wyjaśnienia nieporozumień.

Tymczasem, stało się inaczej. Kiedy Bliski Wschód się palił, Kissinger polecał do Moskwy, ale żaden z jego — mało na ogół zajętych zastępców czy asystentów — nie raczył poinformować europejskich sojuszników USA o co właściwie chodzi. O zaskakującym dla Europy alarmie atomowym z 25 października nie warto już nawet wspominać...

— *Jak to wówczas ktoś powiedział w Brukseli, USA wolą negocjować z przeciwnikami, co jest najzupełniej logiczne, ale robią to w taki sposób, że mają coraz więcej przeciwników a coraz mniej sojuszników...*

— To przesada, ale nie ulega kwestii, że amerykańska polityka zagraniczna jest dla sojuszników USA często niejasna. Wydaje mi się, że polityka zagraniczna USA potrzebuje obecnie raczej architektów niż akrobatów, że powinna nastawić się na rozwiązywanie problemów jakie niesie przyszłość, a nie tylko ograniczać się do załatwienia relikwów przeszłości.

— *W jednym z pism amerykańskich widziałem opracowaną przez Pana tabelkę, coś w rodzaju szkolnego świadectwa, które (w lutym 74) wystawił Pan amerykańskiej dyplomacji. Czy to nie za mechaniczne podejście?*

— Nie, ale nie mam teraz czasu na omówienie jej. Jest to mniej mechaniczne niż się może wydawać. Doszedłem tam do wniosku, że w tabelce od A do D (od „bardzo dobrze” do „nie-dostatecznie”), końcowy stopień opiewa na C plus, lepiej nieco niż dostatecznie, z komentarzem słownym następującym: „Po wstępnym okresie poważnych osiągnięć, niepokojący schyłek...”.

Jak to się dzieje, że Kultura...

— *No to co robić? Czy „Trójstronna Komisja” to wzór działania, jakie Pan proponuje?*

— W pewnym sensie, ale to instytucja najzupełniej prywatna, a tu przede wszystkim chodzi o zmianę koncepcji w polityce państwowej. Nie chcę nikogo pouczać, ale świat się zmienił, stał się bardziej złożony, od tego z jakim mieli do czynienia twórcy naszej polityki po II wojnie światowej. Nowej sytuacji nie może sprostać tradycyjna dyplomacja, ograniczająca się do manewrowania jedynie pomiędzy największymi mocarstwami, polityka lekceważenia mniej szczęśliwej części naszego globu. Nowa polityka zagraniczna musi mieć mniej skryty i mniej spersonifikowany charakter a przede wszystkim musi zakładać współdziałanie z innymi podobnie jak my myślącymi krajami...

— *Myśli Pan, że jeżeli Kultura to wydrukuje, to Nixon się zmieni? Pan także wierzy w Spenglera...*

— A dlaczego nie? A teraz niech mi Pan odpowie na jedno pytanie. Jakim cudem tłumaczy Pan autorytet, powodzenie, światowy naprawdę zasięg Kultury?

— *Nie wiem, ale chyba nie żadnym cudem, a tym przede wszystkim, że ma takich przyjaciół, czytelników, no i czasem współautorów co dr Brzeziński. No a poza tym, Panie Profesorze, kto dziś nie wierzy w cuda, ten nie jest realistą. Powiedział to Ben Gurion, on znał wartość cudów, on by się przydał w Pańskiej „trójstronnej komisji”...*

BRUKSEL CZYK

Notowane i pisane między 5 a 9 kwietnia 1974

Korespondencja z Rzymu

CZY STRONNICTWO KATOLICKIE W POLSCE?

Nie minęły dotąd w kraju echa głośnego wystąpienia sejmowego Janusza Zabłockiego, wiceprzewodniczącego grupy katolickiej ZNAK (dn. 14 grudnia), w którym domagał się położenia kresu dyskryminacji katolików w życiu publicznym i wysunął postulat utworzenia „szerszego ruchu katolików świeckich”. Liczne cytaty z tego przemówienia trafiły na łamy prasy zachodniej. Obszerne fragmenty nadało dwukrotnie radio watykańskie (fakt bez precedensu), uznając że tezy Zabłockiego, pokrywając się ze stanowiskiem episkopatu w tej materii, stanowią głos niezależnej opinii publicznej. Jakże są istotne przesłanki tego przemówienia? Wypada przede wszystkim zacytować fragment, w którym przedstawiciel ZNAK'u po ukłonach konwencjonalnych pod adresem nowego kierownictwa (*lip service* w politycznej gwarze amerykańskiej), przeciwstawił się dyskryminowaniu katolików w życiu społecznym i zawodowym (ustęp ten depeşe zachodnich agencji prasowych i radiostacje okroili z części istotnej lub zupełnie pominięły):

„W stosunkach Polski ze Stolicą Apostolską same kontakty dotychczasowe i przyszłe nie są i nie mogą być celem samym w sobie, będą one miały wartość tylko wtedy, jeżeli — przekraczając swój wymiar czysto spektakularny czy doraźny efekt propagandowy — dopomogą w uregulowaniu i rozwią-

zaniu rzeczywistych problemów i trudności zachodzących u nas pomiędzy Kościołem a Państwem ze szkoda nie tylko dla każdej ze stron, ale przede wszystkim dla dobra wspólnego. Należy ustrzec się złudzenia łatwych na tej drodze sukcesów, a także pokusy brania pozorów za rzeczywistość. Nie może chodzić bowiem o normalizację stosunków deklaratywną i pozorowaną, ale o normalizację rzeczywistą, sięgającą w głąb problemów i nie cofającą się przed podjęciem zagadnień najtrudniejszych, jeśli bez ich rozwiązania nie uczyni się prawdziwego kroku naprzód we wzajemnych stosunkach Kościoła i Państwa. Chodzi słowem o taką normalizację, która zdobędzie się na usunięcie w takim stopniu jak to tylko możliwe — obiektywnych źródeł nieufności i napięcia, która wyeliminuje niebezpieczeństwo odradzania się niepotrzebnych nikomu, a szkodliwych społecznie, konfliktów... Uregulowanie w toku procesu normalizacji statusu Kościoła jako instytucji w państwie socjalistycznym, jest na pewno konieczne, ale niewystarczające. To tylko powierzchowny proces normalizacji. Oczekiwane szersze skutki psychologiczne i społeczne może on przynieść dopiero wtedy gdy nastąpi głębiej, kiedy w wyniku związanych z nim porozumień odczuje zmiany w swoich codziennych doświadczeniach przeciętny katolik świecki, kiedy odczuje, że służą one normalizacji jego faktycznego (faktycznego, bo formalno-prawny jest w zasadzie unormowany) statusu wierzącego obywatela PRL. Jaki jest ten status faktyczny dzisiaj? Ludzie wierzący w naszym państwie nie natrafiają w zasadzie na trudności w praktykach religijnych na terenie kościelnym. Na terenie jednak życia społecznego — jeśli nie wyrzekają się swego światopoglądu, albo go nie ukrywają — otaczani są swoistą nieufnością, która nie pozwala im często korzystać z tych praw obywatelskich, jakie im gwarantuje konstytucja. Za ilustrację mogłoby służyć wiele spraw, interwencyjnych wpływających na ręce posłów naszego Koła... Dzisiaj po 30-ym roku Polski Ludowej, której rozwój i osiągnięcia dokonały się ich pracą i ich wyrzeczeniami, ludzie wierzący nie powinni mieć na żadnym odcinku życia społecznego odczucia, że są obywatelami gorszej kategorii. Odczucie że jest pełnoprawnym obywatelem będzie u człowieka wierzącego w naszym kraju zależę od tego w jakim stopniu już nie tylko w przepisach konstytucji czy oficjalnych deklaracjach, ale we własnych doświadczeniach praktycznych dnia powszedniego znajdzie potwierdzenie, że osobiste przekonania światopoglądowe czy praktyki religijne nie mają wpływu na wartościowanie ludzi, na zróżnicowanie ich praktycznych możliwości dostępu do wszystkich rodzajów wykształcenia, awansu w pracy zawodowej i obejmowania wszelkich — a nie tylko ograniczonych do pewnego szczebla — stanowisk kierowniczych, do udziału w twórczości naukowej i kulturalnej, czy działalności publicznej”.

Takiej śmiałej, krytycznej wypowiedzi — mimo formy z konieczności wyniuansowanej — w sejmie PRL dotąd nie słyszano. W dalszym fragmencie przemówienia Zabłocki stwierdził, że „w ciągu 30 minionych lat szerokie rzesze katolików w Polsce dostatecznie się określiły. Zachowując swoje przywiązanie do Kościoła, zarazem udowodniły, że nie są zagrożeniem dla socjalistycznych rozwiązań ustrojowych, uchylając się w tym czasie niejednokrotnie od usiłowań tych, którzy chcieli z nich uczynić społeczną bazę wojny domowej czy politycznej opozycji... Ważne jest by zorganizowane działanie społeczne i polityczne świeckich katolików wyszło z dotychczasowych form symbolicznych, przekształcając się w rzeczywiste i pełne uczestnictwo w życiu publicznym naszego kraju”. Przekładając na język praktyczny mamy tu do czynienia z propozycją przetargową: wyrzekamy się aspi-

racji do odgrywania roli instytucjonalnej, czy w każdym razie zorganizowanej opozycji — domagamy się równouprawnienia faktycznego; oznacza to, że w zamian za przywrócenie równych praw obywatelskich (należnych przecież, a nie uzależnionych od łaski władzy) tym, którzy otwarcie przyznają się do światopoglądu chrześcijańskiego oraz za podniesienie liczby posłów ZNAK'u z 5, dajmy na to, do 50 i bardziej proporcjonalnego udziału w terenowych radach narodowych — przedstawiciel ZNAK'u gwarantuje lojalne uznawanie panującego systemu (tj. „socjalizmu” w interpretacji doktryny urzędowej).

W dalszym ciągu tego przemówienia zawarty jest postulat utworzenia „szerszego ruchu katolików świeckich, który obok bezpośredniej działalności Kościoła jako instytucji, mógłby stać się w odpowiednich warunkach również elementem konstruktywnego działania”. Ruch ten — jak sugerował Zabłocki — „byłby inspirowany wartościami chrześcijańskimi i autoryzowany przez Kościół, choć autonomiczny i działający na własną odpowiedzialność. Taki zorganizowany ruch katolików świeckich, mamy prawo oczekiwać, znalazłby zrozumienie i aprobatę Ojca Świętego, a także ze strony hierarchii kościelnej w Polsce”. Ten ostatni zwrot należy oczywiście rozumieć jako wyraźną przestrożę, że w tego typu autentycznym ruchu katolików nie ma miejsca na faszyzujących, „postępowych” katolików z PAX'u (aspirujących od dawna do uzyskania statusu partii krypto-chaddeckiej na wzór istniejącej w Niemczech wschodnich — należy tu przypomnieć iż zarówno Bierut, jak i Gomułka, a lata temu Gierek, tego rodzaju apetyty „wodza” tj. Bolesława Piaseckiego, poskromili). Jak sobie Zabłocki wyobraża morfologię tego nowego „ruchu”, autoryzowanego przez episkopat i aprobowanego przez Watykan, trudno powiedzieć, zwłaszcza biorąc pod uwagę obecne skłócenie środowisk wchodzących w skład ugrupowania ZNAK. Już od trzech miesięcy „grupa krakowska”, związana z *Tygodnikiem Powszechnym* — o czym donosiliśmy w kronice Wydarzeń miesiąca (w numerze marcowym *Kultury*) — otwarcie dyskutuje możliwość likwidacji ZNAK'u jako ugrupowania wysuwającego własnych posłów, dążąc do tego by przy następnych wyborach każde środowisko (*Tygodnik Powszechny*, *Więź*, *ODIS*, *Kluby Inteligencji Katolickiej*) wzięło własną odpowiedzialność za swoją działalność polityczną. Potwierdza się w ten sposób hipoteza, jaką wysunęłam rok temu (w numerze kwietniowym), faktycznego wycofania się „grupy krakowskiej” z działalności politycznej i przejęcie steru przez Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych, wokół którego grupują się coraz liczniejsi katolicycy naukowcy, publicyści i działacze społeczni. Nie wszyscy w ZNAK'u popierają plany „grupy krakowskiej”: jedni sprzeciwiają się tej narzuconej samolikwidacji i dążą do uratowania tonącej nawy, drudzy zaś utrzymują że nie ma już czego ratować i że ograniczenie ambicji „grupy krakowskiej” do akcji wydawniczej może przynieść tylko pożytek społeczności katolickiej. Do jesieni sprawa ta wyklaruje się (wybory odbędą się

na wiosnę przyszłego roku). Nic nie wskazuje na to, że Zabłocki dąży do utworzenia i legalizacji partii katolickiej, a tym bardziej chrześcijańsko-demokratycznej (co wynika *nota-bene* z tekstu cytowanego przemówienia); przez postulat powstania do życia „szerszego ruchu katolików” zmierza on do bardziej realistycznych celów: wyrównanie szans awansu zawodowego i korzystania ze swobód publicznych przez bezpartyjnych (przy równoczesnej likwidacji przywilejów partyjnych), bardziej sprawiedliwej oceny ich zasług, kwalifikacji i wkładu pracy oraz zwiększonego udziału katolików w tworzeniu kultury narodowej i dostępu do środków masowego przekazu.

Jeśli więc radio „Wolna Europa” (*Na Antenie*, styczeń 1974) stwierdza, że propozycja Zabłockiego „rozumiana została jako projekt dopuszczenia przez reżym koncesjonowanego stronnictwa katolickiego, czegoś w rodzaju chrześcijańskiej demokracji”, to może mieć na myśli jej recepcję w PAX’ie, gdzie wywołała ona poważne zaniepokojenie. W tej samej nocy organ rozgłośni polskiej radia „Wolna Europa”, sugeruje jednak, że Janusz Zabłocki dąży do powołania do życia stronnictwa katolickiego: „Władze kościelne odnosiły się dotychczas z nieufnością do tych katolików świeckich, którzy w obecnej rzeczywistości politycznej PRL pragną występować w roli rzeczników Kościoła obok biskupów. Tego rodzaju roszczenia wysuwał dotychczas tylko PAX... Bezpośrednio po wojnie istniało przez pewien czas Stronnictwo Pracy (Chrześcijańska Demokracja), które po wyborach w roku 1947 zostało przez władze zlikwidowane nieomal równocześnie z Polskim Stronnictwem Ludowym. Niektórzy działacze Stronnictwa Pracy, którzy znaleźli się na emigracji nie wyrzekli się nadziei na wskrzeszenie Stronnictwa w ramach obecnego układu politycznego w Polsce i byli w tych rachubach podtrzymywani przez swoich przyjaciół w Kraju”. O naświetlenie tej sprawy zwróciłem się do Karola Popiela, prezesa Stronnictwa Pracy, przebywającego na wychodźstwie w Rzymie. Oto jego wypowiedź:

„Z doświadczeń wojennych — kiedy istniał legalny rząd RP w Londynie, którego byłem członkiem — wyniosłem przekonanie, że tylko działacze polityczni w kraju mogą oceniać jakie posunięcia z punktu widzenia interesów narodowych są w danej rzeczywistości trafne lub niewłaściwe. Politycy pozostający na emigracji nie mogą nigdy rozporządzać dostatecznymi i wszechstronnymi elementami dla krytycznej oceny działalności niezależnych przywódców krajowych. W obecnej sytuacji PRL nie widzę żadnych elementów sprzyjających reaktywowaniu Stronnictwa Pracy. Uważam ponadto, że ingerowanie z zewnątrz w rozbieżności istniejące w łonie ZNAK’u jest szkodliwe dla interesów całości tego ugrupowania, którego żaden z przywódców nie może być porównywany do przedstawicieli PAX’u czy wschodnio-niemieckiej CDU. Fakt, że posłowi Zabłockiemu replikował drugorzędny przedstawiciel PZPR, który ograniczył się do twierdzenia, iż katolicy w Polsce posiadają te same prawa co nie-katolicy, świadczy, iż kierownictwo partii unika negatywnej odpowiedzi na postulaty wysunięte przez Zabłockiego”.

Wystąpienie sejmowe Zabłockiego należy zarejestrować jako

pierwszy wyłom w dotychczasowym immobilizmie i programowym minimalizmie ugrupowania katolickiego cieszącego się moralnym kredytem episkopatu. Stanowi ono jednak coś więcej, a mianowicie znak orientacyjny umożliwiający rozpoznanie nowej tendencji w ewolucji politycznej Polski pogrudniowej. Jakkolwiek by oceniać ten „wyłom”, zasadniczy kierunek myślowy przebijający w tym wystąpieniu, wskazuje na to że nie jest to „głos wołającego na puszczy”. Skierowane ono jest nie tylko do określonych adresatów w partii, zajmujących bardziej giętkie stanowisko, ale i do tych, którzy tkwią wciąż okopani na starych pozycjach (replika sejmowa sekretarza komitetu partyjnego łódzkiego, powtarzająca wyswiechtane komunały o „równouprawnieniu wierzących i niewierzących”, stanowiła typowy unik — ktoś z partii musiał zareagować, a że powierzono to zadanie drugorzędnej figurze było komentowane w kuluarach sejmowych jako wyraźny przejaw, że kierownictwo partii postanowiło przynajmniej na razie, nie angażować się). Nie jest do pomysłenia by Zabłocki, znając dobrze stanowisko Prymasa w tej materii (dyskryminacja katolików), nie miał także na uwadze stanowiska znanych mu równie dobrze osób odpowiedzialnych w rządzie i partii za tzw. odcinek katolicki. W ostatnich miesiącach, zwłaszcza po listopadowej wizycie w Watykanie min. Olszowskiego oraz w Warszawie sekretarza generalnego włoskiej partii komunistycznej Berlinguera (o czym pisałem w numerze styczeń-luty bież. roku) w kierownictwie PZPR wzmocnił się nurt opowiadający się za zliberalizowaniem kursu wobec Kościoła i świeckich katolików, za wprowadzeniem czegoś w rodzaju „kompromisu historycznego” na modłę włoską (tj. włoskich komunistów, którzy uporczywie lansują ideę aliansu z Demokracją Chrześcijańską, nie bez życzliwej neutralności ze strony pewnych kół watykańskich). Propozycję „kompromisu historycznego” włoscy chadecy odrzucili i nic nie wskazuje na to, by mieli zmienić zdanie, natomiast trzy partie lewicy laickiej (socjaliści, socjal-demokraci i republikanie) starają się ją storpedować, obawiając się słusznie, że pomiędzy młotem (komunistycznym) a kowadłem (chadeckim) ulegną eliminacji. Komuniści włoscy nie zrażają się jednak trudnościami i starają się podbudować ideę „kompromisu historycznego” importem z Polski, nie bacząc oczywiście na mały szczegół, tzn. na skrajnie odmienną sytuację geopolityczną i ustrojową PRL. Gdyby w Polsce doszło nie tylko do normalizacji stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem, lecz również do trwałego zinstytucjonalizowanego *modus vivendi* pomiędzy partią a katolicką społecznością — włoscy komuniści na pewno skwapliwie to zdyskontują propagandowo. Nie należy więc dziwić się ich zainteresowaniu dla nowego kursu Gierka, dla „dialogu” chrześcijan i marksistów, dla polityki wschodniej Watykanu. W dążeniu do władzy czy też do współudziału we władzy z chadecją, czynnik polski odgrywa znaczną rolę w kalkulacjach inteligentnych, zręcznych i doskonale poinformowanych przywódców włoskiej partii komunistycznej. Dwa ostatnie awanse

w kraju: nominacja wicepremiera Tejchmy (któremu podlega sektor kościelny) na ministra Kultury oraz Kraśki na sekretarza partii (był ongiś usunięty z rządu za „przesadnie tolerancyjny stosunek do biskupów”) pokwitowali z uznaniem komuniści włoscy i... Watykan. Jeśli więc Zabłocki wysuwa przyszły polski „model współżycia katolików i marksistów” jako czynnik wzrostu prestiżu Polski na arenie międzynarodowej, uderza w prawidłową strunę z punktu widzenia ewolucji polityki PZPR, na którą oddziaływanie stanowisko komunistycznych partii zachodnich, głównie włoskiej. Co ważniejsze, musi się z tym liczyć Moskwa.

Sedno rzeczy polega jednak na tym, że ewentualne podniesienie rangi katolików w życiu społecznym PRL (i utworzenie ruchu o szerokim zasięgu) niczego w istocie nie załatwia. Jeśli bowiem nawet wynikną stąd pewne korzyści dla jednostek i poprawienie położenia autentycznych środowisk katolickich w stolicy, Krakowie i kilku jeszcze większych miastach, nie będzie to oznaczać rzeczywistego postępu i prawdziwej demokratyzacji życia publicznego. Tego typu „kompromis” nie będzie niczym innym niż restytucją należnych praw i próbą usankcjonowania na nieco lepszych warunkach istniejącego *status quo*, tj. zamrożeniem sztucznego podziału obywateli według kryterium światopoglądowego na partyjnych „niewierzących” i bezpartyjnych „wierzących” (ci ostatni, pod warunkiem „socjalistycznego zaangażowania”, będą mieć prawdopodobnie w pewnych przypadkach osobiste powody do zadowolenia). Zakładając że w partii weźmie górę trend bardziej racjonalny i nowoczesny (co jest na razie jedynie „pobożnym” życzeniem) — ewolucja w kierunku komunistyczno-katolickiego *modus vivendi* na podstawie pragmatycznej (co innego oznacza oczywiście *modus vivendi* pomiędzy Kościołem a Państwem) miałyby charakter oportunistyczny, wsteczny i anachroniczny. Ani autentyczna wolność sumienia, ani pluralizm polityczny, ani postulowany dziś na Zachodzie wolny obieg idei i informacji, nie mają z taką kombinacją nic wspólnego.

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 kwietnia 1974

Kronika Bliskiego Wschodu

Przemówienie Anuara Sadata w Aleksandrii w dniu 3 kwietnia było apologią polityki niezależności Egiptu — arabskim *point de rêveries* pod adresem Kremla. Wystąpienie prezydenta

Egiptu wygląda na zapowiedź wypowiedzenia „Układu sowiecko-egipskiego o przyjaźni i wzajemnej pomocy” z dnia 15 maja 1972 roku, a w każdym razie oznacza, że układ ten dla Kairu jest dziś jedynie świstkiem papieru. Umowa egipsko-sowiecka zobowiązywała obie strony do wzajemnych konsultacji w „ważnych sprawach polityki międzynarodowej”.

Sadat ujawnił, że podjęcie wojny przeciw Izraelowi w październiku ubiegłego roku nastąpiło bez porozumienia z Kremlem, a nawet wbrew uprzednim radom przywódców sowieckich. W przemówieniu swym Sadat nie tylko podkreślił, że decyzja podjęcia czwartej wojny z Izraelem była „w stu procentach egipską”, ale zapowiedział, że i w przyszłości polityka zagraniczna Kairu będzie „w stu procentach narodowa” — nawet jeśli miałyby się okazać sprzeczną z wolą obu supermocarstw.

Przemówienie Sadata przypieczętowało klęskę prestiżową i polityczną Kremla. Nie opłaciła się sowieckim przywódcom „niewzruszalna przyjaźń narodów sowieckiego i egipskiego”. Od wojny w czerwcu 1967 roku pochłonęła ona około siedmiu miliardów dolarów w kredytach na pomoc wojskową i gospodarczą dla Egiptu.

Sadat może sobie pozwolić na ten ton wobec swoich sowieckich sojuszników gdyż ma za sobą nie tylko poparcie całego społeczeństwa i armii, ale liczy także na poparcie Stanów Zjednoczonych. Im bardziej Kair oddala się od Moskwy — tym bardziej zbliża się do Waszyngtonu. Sadat zrobił co mógł, aby ułatwić Henry Kissingerowi przygotowania do Konferencji Genewskiej i doprowadzenie do *désengagement* izraelsko-egipskiego przy równoczesnym wyeliminowaniu „dobrych usług” Związku Sowieckiego. Dopiero po uzgodnieniu obu tych spraw z Kissingerem prezydent Egiptu zdecydował się przyjąć Gromykę w Kairze.

Zbliżenie między Kairem i Waszyngtonem robi szybkie postępy. Wymieńmy tu powierzenie amerykańskim przedsiębiorstwom budowy wielkiego rurociągu naftowego, łączącego wybrzeże kanału Sueskiego z Aleksandrią, który uniezależni transport ropy od wątpliwego wciągu otwarcia kanału Sueskiego. O tę ważną koncesję ubiegało się równocześnie konsorcjum międzynarodowe, w którym były zaangażowane kapitały francuskie. W ostatnich kilku tygodniach Egipt uzyskał dwie pożyczki amerykańskie: Export-Import Banku w wysokości stu milionów dolarów oraz osiemdziesiąt milionów dolarów od Chase Manhattan Bank.

Sadat zdecydował się nawet na rozstanie się ze swoim najbliższym doradcą Husseinem-Heykalem po ogłoszeniu przez niego w półurzędowym dzienniku *Al Ahrām* artykułów, krytykujących politykę Stanów Zjednoczonych i misję Kissingera. Redaktorem tego najwpływowszego dziennika w świecie arabskim został po Heykale Ali Amin, znany ze swoich pro-amerykańskich sympatii. Zdecydowanym zwolennikiem prozachodniej orientacji Egiptu jest też obecny minister Spraw Zagranicznych, Fahmi, który jesz-

cze niedawno odsunięty był przez Sadata w cień za zbyt ostrą krytykę „imperialistycznych dążeń Moskwy” na Bliskim Wschodzie na publicznym zebraniu, zorganizowanym przez redakcję tegoż dziennika *Al Ahram*.

Na niedawnej dorocznej konferencji krajów muzułmańskich w pakistańskim Lahore państwa arabskie odegrały faktycznie kierowniczą rolę. Arabowie reprezentując niewiele ponad 1/5 około 500-milionowej masy muzułmanów, rozsiadanych w 35 krajach na ogromnym terytorium od atlantyckich wybrzeży Marokka i Senegalu, poprzez Persję, Pakistan i Indie, w których tworzą wielomilionową mniejszość, aż do Indonezji i Filipin na Oceanie Spokojnym.

Ze względu na przygotowywaną wówczas Konferencję Genewską kraje arabskie skłoniły uczestników spotkania w Lahore do ograniczenia dyskusji w sprawach międzynarodowych do problemów Bliskiego Wschodu. Przewodniczącym obrad był prezydent Algierii, Boumedienne, a wśród przybywających do Lahore szefów delegacji najbardziej owacyjnie przyjęcie mieszkańcy stolicy Pendżabu zgotowali pułkownikowi Kadafiemu, który zaczyna sobie zdobywać coraz więcej zwolenników poza granicami dwumilionowej Libii.

Intensywne zainteresowanie rządów arabskich Konferencją jest także wynikiem renesansu Islamu w wielu krajach arabskich. Charakterystyczne, że procesy te widoczne są przede wszystkim w tak zwanych socjalistycznych czy postępowych państwach arabskich: w Libii, pod reżymem Kadafiego po obaleniu monarchii; w Egipcie — po śmierci Nassera; a nawet w rządzonej przez socjalistyczny Baath — Syrii, po objęciu władzy przez obecnego prezydenta, Hafeza Assada. Wszystkie te trzy rządy — różnymi zresztą metodami — dążą do integracji Islamu w socjalistyczne systemy w wydaniu arabskim. Zresztą — to odrębny temat.

Podobnie jak i na innych zjazdach krajów trzeciego świata — jak np. Organizacji Jedności Afrykańskiej, czy Krajów Niezależnych — przywódcy arabscy wykorzystali spotkanie w Lahore dla swych celów propagandowych. Poparcie udzielane przez kraje trzeciego świata w sprawie arabskiej ma niezawsze jedynie platoniczny charakter. Zerwanie w ostatnich miesiącach ubiegłego roku przez dwadzieścia kilka państw afrykańskich stosunków dyplomatycznych z Tel-Awivem było dla Izraela dotkliwą porażką nie tylko ze względu prestiżowych, lecz także i gospodarczych.

Zjazd w Lahore miał zmanifestować polityczną siłę Islamu. Pewnym osiągnięciem był zgodny i bezkonfliktowy przebieg obrad przedstawicieli różnych krajów rozrzuconych na tak wielkim obszarze, o odmiennych często interesach, różnych rasowo i etnicznie, posiadających najrozmaitsze ustroje polityczne i społeczne.

Rezolucje, przyjęte przez Konferencję, powtórzyły znane tezy arabskie, przede wszystkim wycofanie przez Izrael wojsk ze wszystkich terytoriów arabskich, i udzieliły Egiptowi, Syrii, Jordanii i narodowi palestyńskiemu pełnego „poparcia” w walce z Izraelem. Ze szczególnym naciskiem upomniano się o zwrot wschodniej części Jerozolimy „Trzeciego świętego miejsca muzułmanów” (po Mekce i Medynie).

Na podstawie uprzedniego porozumienia nie poruszano w Lahore takich drażliwych tematów, jak spór terytorialny między Irakiem a Iranem, czy konflikty między Pakistanem a Indiami, czy Afganistanem.

Zeskanotowany został w ten sposób ze stołu obrad konferencji jeden z kardynalnych problemów świata Islamu — losy przeszło 30-milionowej masy muzułmanów w Związku Sowieckim. Jeszcze na dorocznej konferencji panislamskiej w ubiegłym roku, pułkownik Kadafi apelował o zajęcie się losami „zniewolonych narodów muzułmańskich, wobec których stosowane są barbarzyńskie metody ucisku”. Wiadomo pod czym głównie adresem kierowane były te oskarżenia. Wielokrotnie w swych przemówieniach Kadafi zarzucał Moskwie prowadzenie „imperialistycznej polityki, sprzecznej z interesami Islamu i świata arabskiego”. W tym roku Kadafi przemilczał tę sprawę i powstrzymał się od ataków na Moskwę.

Jedynie, liczna w Pakistanie, grupa ortodoksyjnych muzułmanów, uchodzących za wyznawców programu i polityki Kadafiego, rozdawała delegatom, w pierwszym dniu Konferencji, ulotkę domagającą się — między innymi — „energicznego wystąpienia przeciwko prześladowaniom religijnym i narodowym ludności muzułmańskiej w imperium sowieckim”.

Przygotowania do Konferencji Genewskiej, i związane z tym względy taktyczne wobec Moskwy, zaciążyły na przebiegu dyskusji w Lahore. Renesans wpływu Islamu w Libii, Egipcie i Syrii — o czym mówiliśmy poprzednio — i rosnące w świecie arabskim wpływy króla Arabii Saudyjskiej Fejsala, „Stróża Miejsc Świętych”, uzasadniałyby nadzieje, że sprawa sowieckich muzułmanów nie zostanie zapomniana. Wystąpienia grupy ortodoksyjnych muzułmanów pakistańskich świadczyły też, że losy tej ludności nie są obojętne dla mieszkańców kraju, graniczącego niemal bezpośrednio ze Związkiem Sowieckim.

Przypomnijmy z tej okazji niezwykle interesującą pracę Adama Kruczka, ogłoszoną w *Kulturze* (nr 9 z 1973 r.). W retrospektywie historycznej autor podkreśla wybitną rolę, jaką odegrali — po rewolucji październikowej w Rosji — w latach wojny domowej — muzułmanie z Sułtan-Galijewem na czele, wspomagając między innymi oddziały bolszewickie w walkach z zagrożającą wówczas Moskwie białą armią admirała Kołczaka. Stalin, który w owym okresie był Komisarzem do Spraw Narodowościowych, położył wówczas kres nadziejom przywódców muzułmańskich na stworzenie w ramach Rosji sowieckiej rozległej Republiki Tu-

rańskiej, obejmującej część środkowej Azji, obszary Wołgo-Uralskie i kaukaski Azerbejdżan.

Wkrótce po zakończeniu wojny domowej rozpoczęły się masowe represje. Organizacje muzułmańskie zostały, jedna po drugiej, zlikwidowane, ich przywódcy wyniszczeni, a sam Sułtan Galijew — skazany w 1928 roku na pobyt w obozie koncentracyjnym — zmarł w nieznanym bliżej okolicznościach.

Do dziś jednak, mimo represji, prześladowań religijnych i intensywnej rusyfikacji idee oporu przeciwko hegemonii rosyjskiej znów są żywe wśród ludności muzułmańskiej. Przeszło pół wieku po rewolucji październikowej Islam i poczucie narodowe stały się synonimem dla ludów muzułmańskich w Sowietach. Tłumaczy to fakt, dlaczego muzułmanie stawiają skuteczniejszy opór próbom rusyfikacji niż inne mniejszości, jak np. Ukraińcy. W Kazachstanie i w innych republikach Środkowej Azji zamieszkuje dziś około dwudziestu dwóch milionów muzułmanów, blisko pięć milionów znajduje się w rejonach Wołgo-Uralskich i tyleż — mniej więcej — na Kaukazie, głównie w Azerbejdżanie. Dzięki niezwyklej prężności demograficznej udział procentowy muzułmanów w ogólnej liczbie ludności Związku Sowieckiego stale wzrasta. Między 1959 a 1970 — rokiem ostatniego spisu ludności — liczba ich w Sowietach zwiększyła się o 52 %, podczas gdy Wielkorusów zaledwie o 13 %, a procent przyrostu tej ludności zmniejsza się z każdym rokiem.



Wysuwana przez Sułtan-Galijewa koncepcja stworzenia Państwa Turańskiego nie jest bynajmniej nowa. Można tu przypomnieć, że na problem ludów muzułmańskich w Rosji zwrócili uwagę — po dojeździe do władzy w Stambule w 1909 roku — tak zwani „młodoturcy” z Enverem Paszą na czele. W 1914 roku — po wypowiedzeniu przez Turcję wojny Rosji — Enver Pasza zamierzał wygrać wolnościowe dążenia muzułmanów rosyjskich. Nosił się z zamiarem wysunięcia, jako jednego z celów wojny, planu stworzenia pod zwierzchnictwem tureckim autonomicznego państwa Turańskiego, obejmującego część Kaukazu i Środkowej Azji. Po odsunięciu od władzy w 1918 roku, Enver Pasza podjął nawet próbę wzniesienia powstania muzułmanów przeciwko okupującej te tereny armii bolszewickiej. W tym celu przedostał się na początku 1919 roku, na czele niewielkiego legionu ochotników tureckich, na terytorium Turkiestanu. Ta nieprzygotowana i nieprzemyślana próba zakończyła się zupełną klęską. Po kilkunastomiesięcznej akcji partyzanckiej ochotnicy Envera Paszy bądź wyginęli w nierównej walce, bądź opuścili swego przywódcę. Epilog tej nieudanej próby przypominał scenę z kiepskiego melodramatu. Enver Pasza samotnie, opuszczony przez wszystkich, w mundurze generalskim, udekorowany wszystkimi orderami, na koniu, ze wzniesioną szablą zaatakował patrol bolszewicki i zginął przeszyty kilkunastu kulami.

Kilka słów jeszcze na marginesie ostatniej Konferencji panmuzułmańskiej. Znamienne, że jej przewodniczący prezydent Boumedienne udał się z Lahore bezpośrednio do Pekinu. Ze skąpych informacji oficjalnych niewiele można było powiedzieć o przebiegu jego rozmów. Wiadomo jednak, że przywódcy w Pekinie, nie bez powodzenia rywalizujący z Moskwą o wpływ w krajach trzeciego świata, żywo interesują się sprawą muzułmanów w Związku Sowieckim. Chiński Sin-Kiang graniczy bezpośrednio ze wschodnią częścią Kazachstanu. Pułkownik Boumedienne, tak niemal jak Kaddafi, uważany jest przez przywódców sowieckich za „czarną owcę”. Nie zapomniano z pewnością na Kremlu o roli, jaką Boumedienne odegrał na czwartej Konferencji Krajów Niezaangażowanych w Algierze. W konferencji tej, w listopadzie ubiegłego roku, wzięło udział blisko osiemdziesiąt państw Afryki, Azji i Południowej Ameryki. Otwierając obrady, Boumedienne zdezawuował wyraźnie orędzie wystosowane przez Breżniewa do prezydium zjazdu w Algierze.

Breżniew przestrzegał uczestników konferencji, że kraje trzeciego świata „w walce z imperializmem zachodnim zrealizować mogą swe cele tylko przy współdziałaniu i w oparciu o Związek Sowiecki i inne kraje socjalistyczne”.

Wbrew tym radom Moskwy, otwierając obrady prezydent Boumedienne twierdził, że „zadaniem Konferencji jest skonsolidowanie frontu krajów biednych i małoprzemysłowych dla obrony ich interesów politycznych i gospodarczych przed eksploatacją ze strony państw zamożnych i wysokoprzemysłowych”. Przemówienie algierskiego przywódcy także nie zawierało żadnych ukłonów pod adresem Kremla. Stanowisko Boumedienne'a, sprzeczne z sowieckim, zbliżone jest też do Pekinu, który głosi, że zadaniem krajów trzeciego świata jest walka z hegemonią miasta nad wsią — inaczej mówiąc — państw wysokoprzemysłowych nad krajami gospodarczo zacofanymi i walczącymi dopiero o swoją istotną niezależność.



Wrażenie sensacji, zarówno wśród czynników postępowych w Izraelu, jak i w obozie palestyńskim, wywołał wywiad udzielony przez Nayef Hawatmeha, przywódcę skrajnie lewicowego Frontu Ludowo-Demokratycznego Palestyny, dziennikowi izraelskiemu *Yedioth Aharonoth*. Hawatmech wypowiada się za nawiązaniem dialogu między Palestyńczykami a Izraelczykami dla przedyskutowania możliwości porozumienia między obu stronami. Ponieważ — twierdzi Hawatmech — rząd izraelski odrzuca zarówno prawa Palestyńczyków do własnej egzystencji państwowej, jak i kompromisowe propozycje stworzenia małego państwa palestyńskiego na terenach Cisjordanii i strefy Gazy, dialog ten — jego zdaniem — powinien być nawiązany między obu społeczeństwami. Propozycje Hawatmeha interesujące są z różnych względów.

Jak wynika z jego wypowiedzi, skrajnie lewicowe elementy w obozie palestyńskim gotowe są do uznania państwa izraelskiego w jego granicach z 1967 roku. Równocześnie Hawatmeh — który uważa się za konserwatywnego marksistę i swego czasu utrzymywał bliższe kontakty z Pekinem — wycofuje się ze swych nieprzejednanej anty-syjonistycznych pozycji. Hawatmeh wprowadza rozróżnienie między „dobrymi”, lewicowymi syjonistami, a syjonistami pravicowymi, podkreślając że w dialogu między obu narodami pozytywną rolę odegrać mogą takie wpływowe osobistości obozu syjonistycznego, jak Ben Aharon, sekretarz generalny wpływowych związków zawodowych Histadrut, czy Arye Elaw, były sekretarz generalny rządowej partii Mapai.

Wypowiedzi Hawatmeha świadczą o dalszej ewolucji nastrojów w obozie palestyńskim. Minęły już czasy, w których przywódca Feddainów typu Szukeirego — przed rokiem 1967 — grozili „wrzuceniem Żydów do Morza Śródziemnego”. Jednak opory wśród Palestyńczyków przeciwko ugodzie z Izraelem są nadal mocne. Nie mówiąc już o innej organizacji ekstremistów — Froncie Ludowym Wyzwolenia Palestyny — osławionego doktora Habasza, także patronowana przez syryjski reżym Sajka (Błyskawica) i część największej organizacji palestyńskiej El Fath, uchodzącej zresztą za bardziej umiarkowaną, nie widzą szans porozumienia w Genewie, powołując się zresztą na bezkompromisowe stanowisko rządu izraelskiego. Ci przeciwnicy kompromisu obstają przy swych hasłach przekształcenia Izraela w państwo arabskie trzech równouprawnionych religii: muzułmańskiej, mojżeszowej i chrześcijańskiej, co oznaczałoby likwidację państwowości w jej obecnej formie. Te spory między Palestyńczykami są główną przyczyną niedojścia do skutku wentylowanego od dawna projektu powołania emigracyjnego rządu palestyńskiego, w którego skład miałoby wejść także reprezentanci ludności arabskiej Cisjordanii.

Roman KRUKOWIECKI

Sąsiedzi

Wywiad z Pawłem Litwinowem

Paweł Litwinow — o którego wyjeździe z ZSSR donosiliśmy w kwietniowym nrze Kultury — udzielił wywiadu naszemu korespondentowi w Amsterdamie, gdzie znajdował się przejazdem, w drodze do Nowego Jorku.

Paweł Litwinow, który przez cztery lata był na wygnaniu na Syberii za udział w manifestacji przeciwko inwazji Czechosłowacji w 1968 roku, był bliskim współpracownikiem A. Sacharowa. W USA Paweł Litwinow zamierza współpracować z Czadidze i wydawaną przez niego „Kroniką”.

Przyjemnie jest nam stwierdzić, że Paweł Litwinow był doskonale poinformowany o Kulturze i jej działalności i że w Moskwie czytał nasze specjalne numery w języku rosyjskim. Paweł Litwinow zapowiedział współpracę z naszym piśmie.

Redaktor

Pytanie: — Co może Pan powiedzieć o ostatnim liście Sołżenicyna, o „Archipelagu”?

Litwinow: — No cóż, nie powiem nic oryginalnego. To wielki artysta, człowiek niezwyklej uczciwości i prawości. Mogę śmiało powiedzieć — nie tylko w moim imieniu, ale także w imieniu wszystkich moich przyjaciół — że „Archipelag” jest książką wieku, książką niezbędną Zachodowi i Wschodowi do zrozumienia, co w określonej sytuacji można zrobić z człowiekiem, z dziesiątkami milionów ludzi, z całymi narodami. Jest to książka pokuty, szczerą, bezlitośnie prawdziwą i znakomicie napisaną. Ogromnej wagi publicystyczne i historyczne odkrycia, na które pozwolił Sołżenicynowi jego wspaniały talent, z pewnością wynagradzają to, co ma do powiedzenia w kwestii polityki i ideologii

i co, mam wrażenie, jest co najmniej niesłuszne. Konkretny program, który proponuje Sołżenicyn, jest oczywiście bardzo cenny, gdyż wszyscy umiemy krytykować, ale zaproponować coś pozytywnego jest o wiele trudniej — jednakże wydaje mi się on utopijny.

Powiem więcej. Jestem głęboko przekonany (dotyczy to Rosji, nie bardzo się orientuję, jak jest w Polsce, na pewno zaś nie dotyczy Czechosłowacji), że obecnie niemożliwy jest jakikolwiek polityczny i ideologiczny program. Takiego programu nie ma i być nie może, i tu jest sedno dzisiejszej rosyjskiej sytuacji.

Możemy mówić o zlikwidowaniu milionów ludzi w przeciągu 50 lat istnienia ZSSR, o ludziach wyrzuconych w ten czy inny sposób poza nawias społeczeństwa. We wszystkich czystkach likwidowano w pierwszym rządzie najlepszych przedstawicieli poszczególnych grup. Na początku arystokrację i inteligencję — mimo wszystkich ich wad jedyną naprawdę kulturalną warstwę w Rosji. Potem chłopstwo i najlepszych przedstawicieli opozycyjnych nurtów, których Rosja Sowiecka odziedziczyła po Rosji carskiej. Potem najwybitniejszych komunistów itd. Chociażby tylko to — nie wspominając całej historii ZSSR — zaważyło, że nas wszystkich, w najszerszym pojęciu tego słowa, — odcłowiczono. Wszyscyśmy, można powiedzieć, zezwierzęcili. Straciliśmy uczucia społeczne, odczucie społeczeństwa. Człowiek może być zupełnie przyzwoity w rodzinie czy wśród przyjaciół, ale nie czuje się częścią organizmu społecznego, nie widzi innego człowieka, tak jak siebie. W tej sytuacji pojawia się tzw. podwójna świadomość, o której pisał Orwell w „1984”. Interesy rodziny czy przyjaciół zupełnie naturalnie ustępują miejsca interesom państwa w każdym wypadku, kiedy do takiej konfrontacji dochodzi. Zatrącone są podstawowe zasady moralności — ogólnoludzkiej czy chrześcijańskiej, nie nalegam na dokładne terminologiczne określenie. Utracone jest poczucie praw jednostki, praw mniejszości religijnej, narodowej itd. Sprawy te odeszły na drugi plan, a ponad nimi zawsze znajduje się interes państwa. Naszym więc naczelnym celem jest odbudowa podstawowych utraconych wartości. Temu też służy ruch nazywany dysydemckim czy demokratycznym, a który nazwałbym po prostu Ruchem Praw Człowieka. Moim zdaniem nic innego nie można zrobić. Nie można uwierzyć w program proponowany przez Sołżenicyna czy w to, co usiłuje proponować Roy Miedwiediew. Powiedziałbym, że nasza walka to walka o samą możliwość zaistnienia w przyszłości walki politycznej. W warunkach ustroju totalitarnego każde działanie staje się działaniem politycznym. Ale w istocie, według zachodnioeuropejskiego pojęcia tego słowa, nasza działalność nie jest polityczna w żadnym sensie. Jest to działalność duchowa, moralna, prawna

itd. ale nie polityczna. Tym niemniej jest najważniejsza, ustawiająca nasze zwichnięte serca i dusze w jakiejś normalnej pozycji.

P.: — Jan Pan ocenia problemy narodowościowe w ZSSR?

L.: — W państwie wielonarodowym są to problemy niezmiernie skomplikowane. Napięcia są spowodowane olbrzymią ilością narodowości, nie mówiąc już o reżymie i tendencjach odśrodkowych państw KDL. Pojawiając się one zresztą w państwach tradycyjnie demokratycznych, jak Wielka Brytania, Kanada czy Belgia, ale w ZSSR przybierają rozmiary i formy daleko odbiegające od podanych przykładów. Z powodu kolosalnego braku wolności, braku możliwości dyskusji problemów narodowościowych w legalnej prasie — praktycznie jest niemożliwością mówienie o nich i choroba spychana jest w głąb. Konflikty zaostrzają się i aktualnie sytuacja wygląda tak, że napięcia istnieją prawie między wszystkimi narodami ZSSR. Na zesłaniu w czeczeńskiej *oblasti* odkryłem np. zupełnie nieznane w Moskwie napięcia między Rosjanami i Buriatami. Zauważyłem u Rosjan znany socjologii antysemicko-antymurzyński kompleks, tym razem antyburiacki. Według ich pojęć, każda kulturalna rosyjska kobieta twierdzi, że Buriaci brzydko pachną.

Polityka władz jest dwuznaczna. Z jednej strony boją się one panicznie narodowościowych napięć, a z drugiej, jakby to nie brzmiało paradoksalnie, napięcia te są podtrzymywane. Marksizm-leninizm jest już religią nielicznych, niezdołną już do rozbudzenia entuzjazmu i do utrzymania jedności; władze sowieckie chciałyby bardzo oprzeć się na wielkorosyjskim szowinizmie, ale każdy krok zmierzający do wzmocnienia rosyjskiego szowinizmu pociąga za sobą reakcję — zwiększenie sił odśrodkowych na peryferiach: w Gruzji, republikach azjatyckich, Litwie itd. I oto pojawiają się reakcyjno-konserwatywne grupy o prawie monarchistycznych poglądach, pragnące na przykład wskrzeszenia starej prawosławnej cerkwi opartej na wzorach z carskich czasów. Sympatyzują z nimi władze, KGB, Komsomoł, ale jednocześnie dławią je z chwilą, kiedy, że tak powiem, pojawiają się na powierzchni. Nie tak okrutnie jak ludzi nawołujących do demokratyzacji, ale jednak: periodyk *Wecze*, wydawany przez Osipowa w Samizdacie, był kilkakrotnie konfiskowany, konfiskowano mu archiwum, zatrzymywano go szereg razy. Tym niemniej nikt z jego grupy nie siedzi w więzieniu. Ostatnio rozpedzono redakcję *Młodej Gwardii*, czasopisma od kilku lat słynnego ze swego nacjonalistycznego, prawie profaszystowskiego charakteru. Okazuje się więc, że nacjonalizm nie jest dla władz najwygodniejszym wyjściem, mimo że to jedyny sposób ożywienia martwej ideologii.

P.: — *Nas, Polaków, ze zrozumiałych względów szczególnie interesuje sytuacja na Ukrainie. Interesujący byłby pański komentarz jeśli idzie o dążenia, nurty i nastroje na Ukrainie.*

L.: — Ruch ukraiński traktuję z pełną życzliwością. Jestem blisko związany z odłamek o — powiedziałbym — filologiczno-kulturalnym charakterze, walczącym o samoistość, niezawisłość języka i kultury, z odłamek antyrusyfikacyjnym. Łączy nas zasadnicza wspólnota poglądów, pełne zrozumienie i współpraca. Wielu z nich to moi przyjaciele, w obozach tworzyliśmy jedną grupę.

Obok ludzi walczących o niezawisłą narodową kulturę są na Ukrainie grupy o charakterze nacjonalistyczno-szowinistycznym. Rosjanie zasłużyli na nienawiść, ale ponieważ nie wszyscy są winni, nie wywołują one sympatii, choć wywołują zrozumienie. Chodzą słuchy o bardzo silnych na Ukrainie tendencjach oddzielenia Ukrainy od Rosji. Jest to dziś nierealne i nie mogę dodać nic więcej. Gdyby, w warunkach państwa demokratycznego, historycznie ukształtowana ludność na Ukrainie chciała separacji, to rzekłbym, że to ich sprawa. Ale stawianie tego problemu dziś wydaje mi się co najmniej dziwne.

Jeszcze raz powtarzam, że jesteśmy ściśle związani z każdym ruchem, walczącym o niezależność kulturalną.

Ruch Obrony Praw Człowieka składa się w większości z inteligentów. Tendencję ruchu nazwałbym „europejską”, tzn. uważamy siebie, Rosję, za część Europy i staramy się wskrzesić utracone w Europie moralno-prawne ideały. Staramy się zainteresować opinię publiczną Zachodu ujawnianiem faktów i wydarzeń, które władze chcą przemilczeć. W naszych wydawnictwach, w *Kronice* np. wiele miejsca poświęcamy niezliczonym ruchom religijnym, które, jak na Litwie, często splatają się z ruchem narodowościowym. Stąd też coraz więcej narodowych, religijnych, najróżniejszych ugrupowań zwraca się do nas z prośbą o ujawnianie prześladowań. Publikacja faktów prześladowań małych grup (a w Rosji wszystkie grupy poza główną są małe) jest jednym z naszych naczelnych zadań. Oto niedawno, z pewnego odległego miasta zwrócili się do mnie „pięćdziesiątnicy”. Osobiście niewiele rozumiem ich religijne poglądy ale widziałem, że to szlachetni ludzie, głoszący rezygnację z gwałtu i przemocy, dziko prześladowani przez KGB, milicję, miejscowe władze. Pomagamy im, czym możemy, z całych sił.

Szczególnie związani jesteśmy z ruchem krymskich Tatarów. Pisali o nich wiele generał Grigorenko, nieżyjący już dziś Ilia Gabaj i Kostierin, ja także. Ten problem stał się nam bardzo bliski, wiele wysiłków poświęciliśmy pomocy Tatarom, zajmowaliśmy się tym jak swoją najgłówniejszą, najbliższą sprawą.

P.: — *Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów na temat konfliktu chińskiego i jego wpływu na życie wewnętrzne ZSSR.*

L.: — Nie mam nic do powiedzenia. Jestem tu zupełnym profanem, cała sprawa to dla mnie tajemnica pod siedmioma pieczęciami.

P.: — *Co sądzi Pan o możliwościach kontaktu Ruchu Praw Człowieka z polskimi ugrupowaniami w kraju i na emigracji.*

L.: — Ze zrozumiałych względów kontakty między Moskwą i Warszawą są niesłychanie utrudnione. Na emigracji jest to sprawa o wiele łatwiejsza. Jestem przekonany, że takie kontakty są nieodzowne i dołożę wszelkich starań, aby były coraz mocniejsze. Nasze losy były i są nierozdzielnie splecione ze sobą. Wiele pisałem o tym Herzen, człowiek niesłychanie nam bliski i drogi. *Notabene*, na demonstracji 25 sierpnia 1968 trzymałem w ręku plakat z hasłem: „Za wolność waszą i naszą”, hasłem, którego znaczenia Polakom wyjaśniać nie trzeba.

Ze względu na swój charakter najbliższa jest nam *Kultura*, szczególnie dlatego, że jest daleka od prymitywnego nacjonalizmu, który przynieść może korzyść tylko naszym przeciwnikom.

P.: — *Jak określiłby Pan rosyjską emigrację kilku ostatnich lat.*

L.: — Wśród starej emigracji rosyjskiej istnieje wiele prądów, które, niestety, przyciągają przedstawicieli nowej emigracji, a które wydają mi się co najmniej odrażające. Takie organizacje, jak „Narodno-trudowej sojuz”, mające określony program polityczny, stawiające sobie za cel pewne określone ewolucyjne zmiany sowieckiego społeczeństwa — ich działalność jest nie tylko utopijna, ale niesympatyczna. Niesympatyczny jest ich program, sposób działania itd., itd. To rozmowa na dłużej i ograniczę się do krótkiego komentarza. Chodzi o to, żeby nie osądzać nas pochopnie. Sytuacja nasza (emigrantów) jest niezmiernie skomplikowana. Wyjeżdżamy spod straszliwego ciśnienia i reakcją na nie jest paradoks — może Polakom nie tak znów obcy — że nasza władza płodzi antykomunistów, z bardzo silnymi tendencjami prawicowymi. Wydaje mi się, że uniknąłem tego niebezpieczeństwa, ale niestety, liczni uniknąć tego nie mogą. Można się nad nami litować, warto jednak zrozumieć; nie trzeba sądzić ich tak surowo, uważać za reakcjonistów. Gdyby ludzie na Zachodzie zdali sobie sprawę z tego codziennego, straszliwego ciśnienia, zastraszenia, prasy duszącej ludzi do ziemi — pojęliby działanie mechanizmu kładącego ludziom łapczywie korzystać z pierwszych chwil swo-

body. Kiedy człowiek może w końcu mówić bez cenzury, gorąco wyrzuca z siebie wszystkie bolączki, urazy, zwalając je po prostu na karb socjalizmu, komunizmu, a sprawa nie jest aż tak prosta: co to jest socjalizm, co komunizm a co jest efektem, wynikiem naszej rosyjskiej historii. Czynniki, które zdeterminowały dzisiejszą sytuację, są niezmiernie złożone, nie da się tego rozwinąć w dwóch zdaniach. To problem wymagający głębokich studiów, przemyśleń i dlatego odrzucanie od razu, na wstępie, ideologii, na której opiera się reżym, ale którą faktycznie już się nie interesuje (choć wciąż się z nią identyfikuje) — wydaje mi się posunięciem wątpliwym. Nie mogę jednak tego potępić. Właściwie mówiąc, nie mam wyrobionego zdania na ten temat i mogę tylko powiedzieć, że prawicowa skrajność jest mi równie obca, jak lewicowa. W Rzymie spotkałem pewnego moskiewskiego znajomego, który powiedział mi: „Wielu uważa tutaj, że za Mussoliniego był o wiele lepszy porządek, i ja bym się z tym zgodził”.

Takie stwierdzenia w ustach Rosjanina są odrażające zwążywszy na to, że w ludzkiej rosyjskiej wciąż jeszcze popularne jest stwierdzenie: „No tak, za Stalina było to czy tamto, ale porządku było więcej!”.

P.: — *Coraz więcej słyszymy o różnicy poglądów akademika Sacharowa i braci Miedwiediew. Ostatni artykuł Roya Miedwiediewa, szeroko publikowany i komentowany na Zachodzie, wskazywałby na to, że różnica ta się pogłębia, że staje się zasadniczym konfliktem.*

L.: — Chciałbym zacząć od tego, że Miedwiediewowie to bezsprzecznie mężni i uczciwi ludzie. Ale, jak już nadmieniłem na początku, ich program, jak każdy program w Rosji, jest nierealny. Moje stanowisko jest prawie identyczne ze stanowiskiem Sacharowa. Chciałem nawet dyskutować z nimi, ale odpowiedziano im w tak obrzydliwej, powiedziałbym, sowiecko-gazetowej formie, że chciałem ich bronić. Jest mi więc teraz dość trudno wypowiedzieć się na ich temat.

Jak już powiedziałem, naczelne zadanie to walka o moralne, prawne, społeczne czy religijne ideały. Miedwiediewowie ciągle operują schematem walki politycznej, więcej, stawiają politykę na pierwszym miejscu. Znowu dochodzi do konfliktu jednostki czy grupy z interesem politycznym i znów interes polityki przeważa interesy osobiste. Jest to ciągle ten sam problem: czy losy ludzi siedzących w obozach, Żydów starających się o wyjazd do Izraela i wielu innych, są mniej ważne od interesu państwa? Miedwiediewowie uważają, że w porównaniu z okresem stalinow-

skim sytuacja jest lepsza (z czym się zgadzam), że istnieje w najwyższych władzach jakaś walka polityczna i jeżeli będziemy ostrożni, ograniczymy się do łagodnych wystąpień, nie rozdrażniając władzy gwałtownymi protestami, to jakieś bardziej pozytywne siły w rządzie sowieckim będą miały możliwość zdobycia większej władzy. Takie stanowisko jest mi obce i uważam, że nie wolno milczeć, kiedy ludzie cierpią, są prześladowani itd. Upraszczam tu oczywiście, ale mówienie o jakimś odprężeniu, ponieważ Nixon całuje Breżniewa, a jakiś wiceminister ściska rękę amerykańskiego przemysłowca, jest błędem. Miedwiediewowie mają rację — ten rodzaj odprężenia także przynosi jakieś korzyści, ale nie jest to istota odprężenia. Nastąpić ono może pomiędzy ludźmi, w atmosferze swobodnej wymiany. Może istnieć zimna wojna, nie może być zimnego pokoju! Jeśli zapewnia się sowieckiego robotnika, że jest tam, na górze, jakieś porozumienie i wojny nie będzie, a z drugiej strony mówi mu się, że każdy cudzoziemiec to szpieg — to nie jest to odprężenie, tylko fikcja.

Nie odpowiada mi także postulat szukania pomocy, opierania się tylko na lewicy. Nie widzę powodu jej wyróżniania. Choć, lewica jest mi najbliższa (być może, że się mylę, jestem na Zachodzie dopiero dwa tygodnie, a w kraju informację mamy raczej skąpą) — wydaje mi się, że w ruchu lewicowym są w każdym razie jakieś impulsy moralne, nam bliskie. Są tam oczywiście rzeczy, z którymi się nie zgadzam, gotów jestem walczyć z wszelkimi lewacko-maoistowskimi przegięciami, ale myślę, że na lewicy można znaleźć zrozumienie. Jeszcze raz powtarzam, że mogę się mylić. Tym niemniej stawianie tylko na lewicę jest błędem i jestem temu zasadniczo przeciwny.

P.: — *Ze Związku Sowieckiego wyjechało dostatecznie wiele ludzi, aby można było zapytać o jakiś nowy ośrodek kulturalno-społeczny, odpowiadający charakterem Ruchowi Praw Człowieka.*

L.: — Mówienie o ośrodku jest przedwczesne. Mam nadzieję, że stworzony będzie wkrótce periodyk, poświęcony interesującym nas problemom. Ideałem pisma tego typu jest dla nas *Kultura*. Co prawda znamy dobrze tylko rosyjskie numery, ale niektórzy z nas czytają po polsku i tłumaczą co ciekawsze artykuły. Wiele problemów wymaga innego podejścia, ale zasada traktowania — tolerancyjna, nie stricte-polityczna, powinna być wzorem. Wokół takiego periodyku jest możliwe powstanie jakiegoś ośrodka, ale to na razie utopia. Aktualnie naszym głosem jest „Kronika obrony praw człowieka w ZSSR”, wydawana przez Czalidze w N. Yorku.

Mam zamiar zatrzymać się w Stanach. Dostałem kilka zapro-

szeń od *college'ów*, będą uczył fizyki, pracował naukowo i na pewno będą ściśle związany z „Kroniką”.

Wywiad przeprowadził i przełożył na język polski Jan PAWLAK

W sowieckiej prasie

Niepostrzeżenie przeszły lata i oto 15 marca bież. roku Leonid Breżniew mógł wygłosić jubileuszowe przemówienie na 20-lecie „zagospodarowania ziem dziewiczych”. Przez te 20 lat — mówił generalny sekretarz — zagospodarowano 42 miliony hektarów ziemi, które w dniu dzisiejszym dają 27% zbioru zbóż. Ciesząc się z tego zwycięstwa, ciesząc się z wyjątkowego urodzaju w ubiegłym roku, ciesząc się z tego, że „w ostatnich latach o wiele mniej zależy od warunków atmosferycznych niż 10, czy 15 lat temu”, Breżniew uważał za niezbędne przypomnieć, że gospodarka wiejska nadal jest słabym punktem sowieckiej ekonomii. Nie 20 ale 40 lat temu uroczysto obchodzono pierwsze zwycięstwo sowieckiej gospodarki rolnej — zniszczenie włościan i „całkowitą kolektywizację”. Od tego czasu — od chwili wprowadzenia „przodującego, najbardziej postępowego, zmechanizowanego itd.” systemu: tj. kółchozów — wieś sowiecka nie może wyjść z kryzysu. Cokolwiek z nią robiono, jakiegokolwiek cudowne, uniwersalne środki stosowano — nic nie pomogło.

Breżniew wyłożył nowy program leczenia chronicznie chorego — kółchozów. W pierwszym rządzie wskazał na konieczność „jeszcze ściślej powiązania dochodów poszczególnych pracowników z ich pracą”. Generalny sekretarz nazwał to „jedynym sposobem efektywnego wykorzystania ziemi i maszyn oraz szybkiego zwiększenia wydajności pracy”. W języku partyjnym nazywa się to „materialną stymulacją pracujących”, w ludzkim zaś — przyzwolitą płacą za pracę. Nowy program leczenia kółchozów przewiduje ponadto ich modyfikację, zjednoczenie kółchozów i sowchozów w „agro-przemysłowe kompleksy” oraz „uproszczenie kierownictwa”.

Rozwijając tezy Breżniewa, KC i Rada Ministrów powzięły uchwały „O metodach dalszego rozwoju gospodarki rolnej w strefie nieczarnoziemnej RSFSR”, które ogłoszono 3 kwietnia br. Uchwały przewidują intensyfikację eksploatacji 52 milionów hektarów ziemi w centralnych rejonach Rosji, ich meliorację, oczyszczenie z zagajników itd. Przeznacza się na ten cel ogromne środki.

Takich „projektów wielkich robót” było już wiele — Stalin planował sadzenie lasów, Chruszczow — sadzenie kukurydzy,

Breżniew — meliorację. Trudno przewidzieć rezultaty planu Breżniewa. Mówią, że gdy Sokratesa poproszono o wyjaśnienie niejasnych miejsc w tekstach Heraklita, filozof grecki odpowiedział: „To co rozumiem jest wspaniałe, można więc założyć, że to czego nie rozumiem jest również wspaniałe”. Parafrazując Sokratesa można powiedzieć: to wszystko co wiemy o próbach ocalenia sowieckiej gospodarki rolnej jest beznadziejne, można więc założyć, że to czego jeszcze nie wiemy...

Dziesięciolecia praktyki kółchozowej odcużyły chłopów od pracy, odcużyły ich być gospodarzami ziemi. Czy może im pomóc melioracja?...

Program przedstawiony przez Breżniewa we wspomnianym wyżej jubileuszowym przemówieniu w Ałma Ata zainteresuje niewątpliwie nie tylko specjalistów od gospodarki rolnej, ale także — ze względu na jego specjalny aspekt — przeciętnego sowieckiego czytelnika. Ani razu w swym długim przemówieniu Breżniew nie wymienił nazwiska inicjatora zagospodarowania ziem dziewiczych, człowieka, któremu wszystko zawdzięcza — Nikity Chruszczowa. Były pierwszy sekretarz KC stał się „nieznanym odkrywcą ziem dziewiczych”. Mało tego, w niedawno wydanym zbiorze przemówień Breżniewa dotyczących gospodarki rolnej, które do 1964 roku były przepełnione cytatami z Chruszczowa, przypomnianiem jego nazwiska i wybitnych myśli, nie ma ani jednej wzmianki o championie kukurydzy i ziem dziewiczych.

George Orwell pisał już o tym z genialną dokładnością: „Proces nieustannego przeredagowywania dotyczył nie tylko gazet, ale książek, periodyków, broszur, afiszów, ulotek, filmów, taśm magnetofonowych, karykatur, fotografii — wszelkiego rodzaju literatury i wszystkich dokumentów... Dzień po dniu, prawie minuta za minutą przeszłość była przerabiana pod kątem widzenia terażniejszości. W ten sposób słuszność każdej decyzji partii można było udokumentować”.



Wydaje się, że najbardziej naiwni zachodni politycy przestali mieć złudzenia dotyczące „liberalizacji” sowieckiego reżymu w związku z tzw. atmosferą „rozładowywania napięć”. *Prawda* i inne pisma i periodyki sowieckie nie przestają twierdzić, że wezwania do wolności słowa są jednoznaczne z wezwaniami do wojny. 2 kwietnia br. *Prawda* odrzuciła nawet samą myśl o możliwości „ideologicznego współistnienia” i surowo osądziła „burżuazyjną koncepcję wolności twórczej”. Trzeba oddać sprawiedliwość autorowi artykułu — udało mu się bardzo precyzyjnie sformułować podstawową zasadę sowieckiej koncepcji wolności twórczej: „Wewnętrzna swoboda artysty jest określona jego wiernością wobec partii”. Podobną formułę czytałem u tegoż Orwella. Brzmiała ona: „Niewola jest swobodą”. *Prawda* twierdzi, że dążenia prawdziwego artysty „w decydującym momencie

prób, albo go dotąd nie ma w mieście Rostowie, gdyż tam miała miejsce „omyłka sądowa”, której historię opowiedziała *Liternaja Gazieta* (24. 2. 1974 r.). Jest to historia już nie o przestępstwach, ale o tych, którzy z nimi walczą i o trudnościach tej walki. Oto co się zdarzyło. Szedł ulicą obywatel z żoną, najechał na niego samochód. Obywatel zwymyślał kierowcę od kółków. Kierowca który, jak się okazało, był inspektorem Urzędu Śledczego i porucznikiem milicji, bardzo się obraził, zatrzymał przechodnia i odprowadził go na milicję oświadczając, że dopuścił się on oporu władzy. Sprawa dotarła do sądu, obywatel którego najechał porucznik milicji, otrzymał wyrok „dwa lata pozbawienia wolności”. Co prawda koniec tej historii jest szczęśliwy — gdyż obywatel nie odsiedział całych dwóch lat — po pewnym czasie go uwolniono. Ciekawe jednak, że porucznik milicji był temu przeciwny: krzyczał, że „on ma prawo oskarżać kogo zechce”.

Przeczytawszy to opowiadanie przypomniałem sobie rozdział „Błękitne wyłogi” z I tomu „Archipelagu GULag”. Sołżenicyn opisuje wszechmoc „błękitnych furazerek”, pracowników „organów”: „Nie, to trzeba samemu przeżyć — co to znaczy nosić błękitną czapkę! Każda rzecz, jaka ci w oko wpadnie — jest twoja! Każde mieszkanie, jakie ci się spodoba — jest twoje! Każda baba — twoja! Każdego wroga — z drogi! Ziemia pod nogami — też twoja! I niebo nad głową — twoje, błękitne!”.

Sądząc po historii zamieszczonej w *Liternajej Gazecie* „czerwone czapki” milicyjne mają także niemałą władzę. I prędkiej przy pomocy tego rodzaju władzy, a nie chytrych aparatów, będą one walczyć z przestępczością — i ją płodzić.



Już parokrotnie żaliłem się, że w sowieckiej prasie rzadko można znaleźć materiały o Polsce. Jeśli się ukazują, to — jako zasada — są to „wrażenia z podróży”, z których czytelnik może się np. dowiedzieć, że „na jednej z głównych ulic Warszawy z wielkim rozmachem odbudowuje się starożytny zamek, związany z historią Polski”. Autor eseju, Wiktor Tielpugow (*Liternaja Rossija*, nr 5 z 1974), do końca nie wyjaśnia o jakim to „starożytnym zamku” jest mowa. Aż wreszcie zamiast tego rodzaju zamaskowanych esejów przyszła cała powieść o Polsce i Polakach. Jak dotąd została ona opublikowana w uzbeckim periodyku *Zaria Wostoka* (Nr 1/1974), ale można być pewnym, że wkrótce wyjdzie w wydaniu książkowym, a być może pojawi się i w Warszawie.

Autorem powieści — który dotąd niczym się w literaturze nie odznaczył — jest Borys Parmuzin. Ale za to przedmowę do „Koloru nieba na Wschodzie” (taki egzotyczny tytuł dano książce) napisał człowiek bardzo znany: gen. lejtnant bezpieczeństwa państwowego, przewodniczący KGB Uzbekistanu, Aleksiej

Bezczastnow. Treść powieści przedstawia on następująco: „Władza sowiecka i mieszkańcy Uzbekistanu gościnnie przyjęli tysiące ewakuowanych cudzoziemców w tej liczbie pełny skład armii Andersa. Jednakowoż Anders i jego otoczenie — składające się przede wszystkim ze szlachty, byłych urzędników policyjnych i kupców — nie tylko brutalnie naruszyli umowę, ale nadużyli gościnności. Niektórzy polscy wojskowi i obywatele związani ze sztabem Andersa zaczęli przejawiać specjalne zainteresowanie fabrykami, zakładami i urządzeniami wojskowymi Taszkientu, zaczęła się spekulacja złotem i walutą. Do armii Andersa przeniknęli na stanowiska oficerskie agenci obcych wywiadów, specjalnie wywiadu hitlerowskiego. Na to wszystko nie mogły nie zwrócić uwagi sowieckie organy bezpieczeństwa”.

Bezczastnow wie o czym mówi — pracował w 1942-43 latach w bezpieczeństwie Uzbekistanu, w I oddziale śledczym płk. Gniłoszczukowa. Co dzieje się gdy sowieckie organy bezpieczeństwa „zwracają uwagę”? Wysyłają swego szpiega. O działalności takiego szpiega wśród Polaków którzy znaleźli się w Uzbekistanie, opowiada właśnie powieść „Kolor nieba na Wschodzie”. Działa on pod przykrywką przybyłego z Europy „komersanta”, „nawiązuje szeroki krąg znajomości, zaprzyjaźnia się z wyższym oficerstwem armii Andersa”. Nie ograniczając się do „rozszyfrowywania planów obcych wywiadów i antysowieckich nastrojów góry armii Andersa”, sowiecki bohater-wywiadowca pamięta o swoim międzynarodowym obowiązku, winien „bliżej zapoznać się z prawdziwymi synami polskiego narodu, z tymi którzy żyli jedynym pragnieniem — pójść na front...”.

Wiele wybitnych rzeczy dokonał bohater, ale być może — jak myśli autor powieści — najbardziej ważne było uniemożliwienie zdradzieckiego planu generała Andersa.

Zołnierz polskiej armii spotkał na ulicy swego byłego dziedzica. Był to książę Konstanty „arystokrata, zbliżony do rządowych kręgów Wielkiej Brytanii, członek starożytnego polskiego rodu”. Cesarz Wilhelm chciał w swoim czasie zrobić go królem Litwy. Władze sowieckie — jak wiadomo — pieczołowicie odnoszące się do arystokracji „ewakuowały go” do Taszkientu. Pracuje obecnie w ogrodzie zoologicznym, czyści klatki, kradnie wilkom mięso i sprzedaje na czarnym rynku. Jak tylko generał Anders dowiedział się o księciu Konstantym, od razu zorganizował chytry plan: „Członka starożytnego polskiego rodu” wykraść, wywieźć z Rosji, a później — kto tam wie — zrobić go królem Polski, albo Litwy. Jak wypadnie. Zadanie to generał Anders powierzył księciu Sapieże. Ale KGB nie śpi i daje swemu szpiegowi „zadanie wagi państwowej” — uniemożliwić nikczemny plan polskiej szlachty. Sowiecki wywiadowca zjawił się u księcia Konstantego poczęstował go końską kiebasą, napoił winem i arystokrata kategorycznie odmówił ucieczki z Rosji.

Podaję, że mogą się znaleźć czytelnicy *Kultury*, którzy nie uwierzą w istnienie takiej powieści. Żałuję, ale nie byłbym w stanie jej wymyślić. Głównym jednak dowodem istnienia po-

wieści jest autentyczność jej trzech głównych bohaterów: szpiega — Tadeusza Dalskiego, pod tym nazwiskiem ukrywał się znany w Taszkencie w okresie wojny prowokator KGB, Arkadij Kaliński, który chwalił się, że wydał „organom” 108-miu andersowców; jego przyjaciółki i pomocnicy — występującej w powieści pod własnym nazwiskiem Nina Kulczycka — w swoim czasie znanej artystki operetkowej, a wreszcie Stanisława *Strumph-pacha*, jak transkrybuje Parmuzin nazwisko Strumph-Wojtkiewicza. Zabawne, że autor „Wbrew rozkazowi” jest przedstawiony jako niebawmy łobuz, nienawidzący wszystkiego co sowieckie, jako postać obrzydliwa zewnątrz i wewnątrz.

Jeśli Strumph-Wojtkiewicz przeszkodzi wydaniu w Warszawie tego „Koloru nieba na Wschodzie”, to może warto by było wydać go w Instytucie Literackim? Jako przykład literatury KGB.



Do arcydzieł sowieckiej kultury należy — jak wiadomo — i pismo *Krokodyl*. Ostatni numer uradował oczy czytelników karykaturą Sołżenicyna. Na całej stronie pisma figuruje grupa zdrajców o światowej sławie, do której biegnie Aleksander Sołżenicyn z „Archipelagiem GUŁag” pod pachą. Zamiar autora karykatury można rozszyfrować bez trudu: Sołżenicyn kogoś zdradził, ale kogo? Odpowiedź na to pytanie powinna widocznie dać galeria portretów zdrajców, których spis — niewątpliwie — został zatwierdzony w KC. Przyglądam się: Judasz, sprzedał Chrystusa — to jasne; Kain — tu widocznie zaszło jakieś nieporozumienie, gdyż zdaje się, że on kogoś tam zabił, a nie zdradził; małeńkie figurki rosyjskich prowokatorów, Azefa i Gapon — zdrajców działających w partii Eserów; i wreszcie Brutus i Kasjusz — zabójcy tyrana — ostatni obrońcy republiki. Francuska rewolucja stawiała pomniki Brutusowi, rosyjska — Cezarowi. Ale ponieważ rewolucja już dawno się skończyła, pomniki współczesnemu Cezarowi stawia się w *Krokodylu*.

Adam KRUCZEK

Litwa

Dnia 22 stycznia 1974 zmarł w Druskiennikach Antanas Sniečkus, nieprzerwanie, od roku 1940 sekretarz litewskiej partii komunistycznej. Był on litewską „prawą ręką” Sierowa w czasie masowych deportacji na Syberię w czerwcu 1941 kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców sowieckiej Litwy, w tym wielu Polaków z Kowieńskiej i z Wilna.

Również w pierwszych latach powojennych przewodził on zwalczaniu partyzantki litewskiej i jeszcze bardziej masowym deportacjom.

Na plus jest mu policzone, że w miarę swych możliwości sprzeciwiał się przyłączeniu do Litwy opustoszałego okręgu Królewca, co by równało się rusyfikacji Litwy, spowodowanej napływem miliona Rosjan. Dziś w okręgu Kaliningradzkim mieszka 24 tysięcy Litwinów, reszta to Rosjanie z małą przemieszką „bratnich narodów”.

W okresie Poczdamu Prusowie byli uważani za szcep litewski a terytorium to przypadło Sowietaom pod pretekstem praw historycznych Litwy. Dziś już Prusowie są uważani za osobne plemię, które wyginęło, a W. Ks. Litewskie było właściwie państwem białoruskim, a że Białorusini to jeden ze szcepów rosyjskich, więc było państwem Zachodniej Rusi.

Przy każdej okazji stosowane jest inne kryterium. Kwestionuje się, że Mendog miał stolicę w Nowogródku, a za litewskie stolice są uważane jedynie Wilno i Troki. Dawne zamki w Nowogródku, Lidzie i Grodnie uważa się za zabytki dziejów Białorusi.

Według statystyk sprzed paru lat, w Wilnie było 43 % Litwinów, 26 % Rosjan, 18 % Polaków, 9 % Białorusinów i Ukraińców oraz 4 % Żydów. (W Rydze 2,7 %, w Tallinie 0,27 % Polaków).

Jak widać Wilno ma ludność bardzo mieszaną i może dzięki temu bardziej spacyfikowaną. Natomiast Kowno jest prawie czysto litewskie (przynajmniej statystycznie, gdyż jego mieszkańcy mówiący po polsku też są zapisywani jako Litwini) i tu właśnie miały miejsce burzliwe demonstracje, spalenie się R. Kalanty itd.

Przed rokiem dotarł na Zachód list studentów kowieńskich, wołający na alarm, że Rosjanie wyciągnęli wnioski z niebezpieczeństwa jednolitości narodowościowej Kowna i zamierzają osiedlić tam 60 tysięcy Rosjan. Można to było traktować jako domysł, plotkę.

Ale w tym roku nadechodzą wieści, że pomysł ten jest rzeczywiście realizowany. Ogromny teren za miastem (które liczy obecnie 300 tys. mieszkańców) jest odmierzony i przygotowywany do budowy. Z planów i kosztorysów widać, że domy będą większe, lepsze, że praca jest rozłożona na kilka lat. Pozostaje tylko do wyjaśnienia czy rzeczywiście w tych lepazych domach zamieszka 60 tysięcy Rosjan.

Gdy mowa o „lepszych” domach i ich mieszkańcach, to warto ostrzec turystów chcących zwiedzać wileńskie pałacyki: w pałacu Tyszkiewiczów mieszczą się wojska specjalne korpusu bezpieczeństwa, a w pałacu Sapiechów na Antokolu też są koszary. Na żadnym z tym gmachów nie ma wywieszki czy napisu, wyjaśniającego jakim celem one służą.



W Związku Sowieckim nie tylko ściany mają uszy. W autobusie turystycznym, kursującym między Wilnem a Kownem, dwaj zagraniczni Litwini zauważyli podejrzaną szczelinę w siedzeniu. Dalsze ostrożne badania stwierdziły najpierw dwa druty, a potem i cały mikrofon.

Inny znów turysta z Ameryki usłyszał przez radio wileńskie swe własne wypowiedzi — pierwsze, dodatnie i nawet pochwalne wrażenia po przyjeździe do miasta. Nigdy żadnego wywiadu nie dawał, a jednak to był bezprzećnie jego własny głos. Wreszcie przypomniał sobie — jadąc taksówką i nie chcąc się wdawać w dyskusje z kierowcą, wypowiedział kilka zdań zdawkowo — grzecznościowych. A w aucie był widocznie mikrofon, i przodująca technika sowiecka uwieczniła słowa turysty, przekazując je do rozgłośni radiowej.

Pewien Litwin amerykański, słysząc o machlojkach przy przekazywaniu spadku do Sowietaom, zalecił w testamencie, aby adwokat amerykański pojechał na Litwę i doręczył spadkobiercy osobiście czek na 40 tysięcy dolarów.

W razie odmowy władz sowieckich na taką formę przekazu spadek pozostawał w Ameryce. Adwokat pojechał doręczyć czek, który tam był papierkiem bez wartości bez uciekania się do władz. A władze te odliczyły 35 % podatku spadkowego zaś pozostałość wymieniły na ruble, tak iż było o połowę mniej rubli niż początkowo dolarów. Możliwość dysponowania sumą zdeponowaną w banku (naturalnie państwowym) była bardzo ograniczona.

Emigracja

W końcu ub. roku przewodniczący Nacz. Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK) dr Valiunas mówił o swych kontaktach międzynarodowych a m.in. że Chiny komunistyczne otrzymały z litewskich źródeł materiały informacyjne, które zostały użyte w propagandzie anty-sowieckiej. Np. chińskie poselstwa w Polsce i Szwecji rozpowszechniały w roku 1971 ulotki, w których były wzmianki o Litwie.

Dr Valiunas parokrotnie rozmawiał z arcybiskupem Casaroli, i w Watykanie jest mile widziany.

Współpraca z Estończykami i Łotyszami jest zgodna i ścisła.

Próbowano rozmawiać z Polakami, nawet dwukrotnie, lecz oni wysuwają sprawę Wilna. Nieco przychylniejsza w stosunku do Litwinów jest grupa paryskiej *Kultury*.

Z Białorusinami rozmowa jest niemożliwa z racji ich imperialistycznego nastawienia. Pewna znaczna ich grupa ma wątpliwości czy Kłajpedę i Połagę zostawić Litwie, czy wszystko zabrać. Z Ukraińcami, zwłaszcza z ich przywódcami, utrzymywane są bliskie stosunki. Nieco utrudnia im sytuację fakt, że prawie połowa Ukraińców jest zadowolona z obecnej sytuacji Ukrainy w sowieckim ustroju. Ostatnio Ukraińcy zaczynają się jednoczyć i organizują swój drugi kongres.

Na zakończenie swego przemówienia, wygłoszonego w Kanadzie, dr Valiunas oświadczył, że polityka VLIK'u winna być planowana na długie lata, a w tym celu pożądana jest współpraca intelektualistów, wnoszących nowe koncepcje i konstruktywną krytykę.

W końcu ub. roku zorganizowano w Chicago staraniem Instytutu Lituanistyki, oraz stowarzyszeń lekarzy i inżynierów drugie litewskie Sympozjum. Brało w nim udział 83 aktywnych uczestników, przeważnie profesorów lub docentów uniwersytetów amerykańskich, inżynierów, mających za sobą po kilka patentów, lekarzy oraz kilku artystów. Spośród 80 referatów prawie połowa była z dziedziny nauk przyrodniczych i techniki. O polityce i ideologii mówili profesorowie a nie politycy.

Przewodniczący owego „Sympozjum Nauki i Twórczości” profesor nauk politycznych Uniwersytetu w Oklahoma, dr V. Verdys udzielił wywiadu, w którym stwierdził, że nie wierzy w demokratyzację Związku Radzieckiego. Aby do tego mogło dojść trzeba by przede wszystkim akcji czynników zewnętrznych, co miałyby znaczenie decydujące, a poza tym współdziałania dwóch istniejących tam czynników rewolucyjnych, to jest rosyjskich liberałów i nierosyjskich nacjonalistów. Dla skuteczności jakiegobądź akcji koalicja tych dwóch czynników rewolucyjnych jest niezbędna.



Prócz emigracji litewskiej są też inne grupy emigrantów czy uchodźców z Litwy. Około stu tysięcy Niemców kłajpedzkich i „repatriantów” z Litwy osiedliło się w Niemczech, może kilkuset Polaków rodem z Kowieńszczyzny rozsiadanych jest po świecie.

Ostatnio przybyło z Litwy do Izraela trochę Żydów. Opowiadają oni, że

sporadyczne wypadki zbrojnego oporu zdarzały się jeszcze w jedenaście lat po wojnie, gdy doszło do „krwawych Zaduszek” na ementarzu kowieńskim.

Są też na Zachodzie rdzenni Litwini ale nie emigranci. Na Kubie, w Hawanie, „Kłajpedzkie Rybołówstwo Oceaniczne” założyło bazę zaopatrzeniowo-remontową, której szefem jest naturalnie Rosjanin, ale pomocników ma Litwinów.

E. ŻAGIELL

Białorusini

Mam przed sobą wydawnictwo The University Press of Kentucky. Rok wydania — 1972. Autor — prof. dr Ivan S. Lubachko. Tytuł — „Belorussia Under Soviet Rule 1917-1957”. Stron 219, w tym indeks i źródła — 28 stron.

Cytowanych jest około 600 dokumentów, książek i artykułów w językach białoruskim, rosyjskim, angielskim, niemieckich, ale ani jednego w języku polskim i tylko jedno wydawnictwo z Polski niepodległej: Paprocki, „Minority Affaires and Poland”, Warsaw 1935. Zacytowano poza tym kilku polskich autorów prac wydanych na Zachodzie w języku angielskim.

Przejdźmy do treści. Mapa białoruskiego obszaru językowego obejmuje Dyneburg, Wilno, sięga prawie Czernihowa i idzie daleko poza Smoleńsk w kierunku Moskwy. Mapa obszaru do którego pretendowała Republika Białoruska w roku 1918 obejmuje również Briańsk i południową Suwalszczyznę do pruskiej granicy.

Przejdźmy do statystyk opracowanych przez białoruskich naukowców w USA i w Anglii. W roku 1931 skład „etnograficzny Zachodniej Białorusi” przedstawiał się następująco. Ludność w tysiącach: 4.438,2, w tym:

Białorusinów	3.461
Żydów	450
Rosjan	101
Litwinów	70
Ukraińców	60
Niemców i innych	35
Polaków	260

Według polskiego *Małego Rocznika Statystycznego* w tymże roku 1931 cztery województwa północno-wschodnie liczyły 4.728,7 tys. mieszkańców, a więc o 290,5 tys. więcej niż na omawianym obszarze białoruskim. Stąd można wnosić, że kilka zachodnich powiatów woj. białostockiego jak np. wysoko-mazowiecki i in. nie zostały włączone do tego obszaru. Ilość Litwinów, Rosjan, Ukraińców, Niemców w obu statystykach jest mniej więcej jednakowa, tylko w polskiej statystyce jest 2.325 tys. Polaków a w białoruskiej 260 tys. Odrzucmy 265 tys. na Polaków w zachodniej Białostocczyźnie, będzie 2.325 — 265 = 2.060 tys. Polaków na obszarze białoruskim. A według statystyki M. Volacica 260 tys. a więc różnica 1,8 miliona. Według polskiej statystyki Polacy stanowili 46 %, a według białoruskiej — 5,9 %.

Od map i cyfr przejdźmy do nasświetleń.

Na stronie 188 czytamy: „W ciągu trzech lat 'Wojny Domowej' i obcych interwencji (1917-1920) Białoruś była areną, z jednej strony współzawod-

nictwa między zakusami polskich i niemieckich imperialistów, a z drugiej strony aspiracjami komunizmu".

Na stronie 135 czytamy: „Nie było swobody religijnej dla mniejszości narodowych w Polsce. W pasie około 62 mil szerokości wzdłuż sowieckiej granicy, prawosławni byli zmuszani do przyjmowania wiary rzymsko-katolickiej, a ci którzy odmawiali, byli usuwani z ich domów na mocy przepisów stanu wojennego (*martial law*)”.

„W okręgach poza tym pasem granicznym większość cerkwi prawosławnych była zamknięta, a te które się zachowały, zostały zmuszone do używania polskich tekstów liturgicznych, nawet w rejonach gdzie lud, ani mówił, ani czytał po polsku”. (Istoria ZSSR 2: 357 Vakar, Bielorusia, str. 127).

Na str. 115 czytamy: „Byli posłowie do polskiego sejmu Ihnat Dvarchanin i Iasep Hauryliuk np. którzy ledwo przeżyli katowanie przez polską policję, zostali teraz zastrzeleni (w Sowietach) jako polscy szpiecy”.

Na str. 137 czytamy: „Białoruscy przywódcy Hramady posłowie do sejmu i senatorowie nie uniknęli tortur polskiej policji. Na skutek ich protestów zostali oni w roku 1928 oskarżeni o nielegalność. Z rozkazu rządu polskiego Hramada została rozwiązana, to jest uznana za nielegalną. 56 przywódców Hramady zostało oddanych pod sąd, który się odbywał przy zamkniętych drzwiach”. W prasie nie było o tym ani wzmianki. Poseł Tarashkevich był przyprowadzony do sądu na kajdanach, posłowie Dvarchanin i Hauryliuk byli zbici na śmierć (*beaten to death*) a i inni byli traktowani podobnie. Ci którzy przeżyli katowanie zostali posłani do więzienia. Lokalni przywódcy białoruscy oskarżeni o anty-polską działalność byli wysłani do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej”. W innym znów miejscu wymieniane są polskie obozy koncentracyjne w roku 1925.

Są to dzieje tragiczne, ale te milionowe różnice w statystykach, ci posłowie zabici dwukrotnie, te obozy koncentracyjne na długo przed Berezą, to naświetlenie, jakoby w pasie pogranicznym nie ostała się ludność prawosławna, wszystko to nastroja do traktowania powyższej książki sceptycznie, jako źródła informacji historycznej.

Większa część książki, jak świadczy tytuł, jest poświęcona Białorusi pod rządami sowieckimi i jest napisana w duchu anty-stalinowskim i anty-rosyjskim, ale zawiera też rozdział o sowieckiej Białorusi w latach 1923-1927 pod tytułem „Złoty wiek białoruskiej kultury”.

Na str. 177 czytamy: „Po podziale Polski przez Niemcy i Związek Sowiecki we wrześniu 1939, zachodnie granice Białoruskiej SSR zostały przesunięte na zachód przez dodanie okręgów Białystok i Augustów. Te okręgi pod względem historycznym i etnicznym należały do Białorusi”. Ktoś kiedyś porównał posługiwanie się dokumentami i źródłami dla napisania historii — do układania z wielu kamyczków mozaiki, której desenie mogą być najrozmaitsze.

Gorzej gdy historyk, tworząc obraz rzeczywistości, ulegnie wpływom Picassa.

E. ŻAGIELL

„RÓWNIEŻ I W POLSCE RUSYFIKUJĄ UKRAIŃCÓW”

Pod tym tytułem wychodzący w New Yorku dziennik ukraiński *Swoboda* informuje o losach istniejącej od 1953 roku na Uniwersytecie Warszawskim katedry filologii ukraińskiej. Skupia ta katedra niewielki lecz aktywny krąg

ukraińskich i polskich badaczy języka i literatury, wśród których gazeta wyróżnia prof. prof. Przemysława Zwolińskiego, T. Golińską, Mariana Jakubca i in. Gazeta wysoko ocenia dorobek katedry, dzięki której „dziesiątki Ukraińców w Polsce ukończyły studia i włączyły się do pracy naukowej w instytutach sławistycznych w Polsce”. Z katedrą współpracowali również wybitni uczeni z Ukraińskiej SSR.

Niestety, „działalność i osiągnięcia katedry wywołały niezadowolone sowieckich czynników oficjalnych zarówno w Moskwie jak i w Kijowie, zwłaszcza w ośrodkach rusyfikacyjnych, jakimi są pewne instytuty Akademii Nauk USSR”. Pod ich naciskiem zlikwidowano niezależność katedry i włączono ją w skład nowopowstałego Instytutu Rusycystyki Uniwersytetu Warszawskiego. W rezultacie studenci tylko w nieznacznym stopniu mogą poświęcić się ukrainistyce, jako że program zmusza ich do poświęcenia się głównie studiom nad językiem i literaturą rosyjską.

„Nie wystarcza rusyfikować Ukrainę, trzeba również zrusyfikować 'enklawy' ukraińskie poza zasięgiem bezpośredniej moskiewskiej okupacji” — konkluduje gazeta.

J. L.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie *polonica*. *Katalogi, informacje, premie* — bezpłatnie.

Sprawy i troski

Początek końca?

„Niestety, polskie pisma niepodległościowe borykają się z dużymi trudnościami i może nadejść dzień gdy zaczną zanikać”.

Red. Jan DUNIN-KARWICKI, *Wiadomości Polskie, Australia.*

Polska prasa emigracyjna w Australii wchodzi w okres stagnacji i deprecjacji — i są podstawy do przypuszczenia, że ten proces nie da się zatrzymać. Poniższe uwagi nie odnoszą się w jednakowym stopniu do wszystkich redakcji niezależnych pism polskich drukowanych w Adelajdzie, w Melbourne i w Sydney. Trudności o których w styczniu 1973 pisał kierownik najstarszego tu pisma, nie są takie same dla każdej z naszych gazet i nie każdy redaktor napotyka i reaguje jednakowo na kłopoty, powikłania personalne, niedobory i kopane pod nim dołki. Stadium sytuacyjne na drodze do zaniknięcia jest różne w poszczególnych wypadkach: od pozornej stabilności a nawet obfitości — do wyraźnych symptomów prowizorium w kolejnych, na przedzie skleconych numerach; od swobodnego urzędowania za uprządkowanym biurkiem z ustalonym rozkładem zajęć, do pracy w napięciu grożącym nerwowym rozstrojem. Lecz na dalszą metę przedstawiony tu *trend* można określić jako ogólny: jest ciężko, może być gorzej.

Proces stagnacji objawia się w niedostatecznych ilościach nowych czytelników przy jednoczesnym acz powolnym ubywaniu starych. Deprecjacja ujawnia się w zmniejszaniu się zespołu współpracowników, doraźnych lub stałych i półstałych, w coraz bardziej odczuwalnym braku oryginalnego materiału redakcyjnego, w likwidowaniu dotychczas popularnych działów i w coraz częstszym drukowaniu artykułów zapożyczonych, nierzadko wybranych na łąpu-capu. Tam gdzie to się dzieje nie jest to tak łatwo dostrzegalne dla grupy czytelników mniej wyrafinowanych

— ale na pewno razi prenumeratorów wybrednych, zdających sobie sprawę z tego wzrastającego przesylenia przedrukami, bezbarwnymi komunikatami wciąż jeszcze wegetujących „agencji prasowych dla spraw emigracyjnych i specjalnych” i ni-przywiązani-przyłatał tzw. artykułami o cudownym odchudzaniu się, o biochemii cukrzycy czyli medycynie dla niezamożnych, lub o czerwonoskórych jasnowidzach w Kalifornii. Dotychczas tego nie było; nic zatem dziwnego, że niejedyni wnikliwi prenumerator zaczyna kręcić głową i zadaje sobie pytanie: czym oni mnie karmią na starość?

A krytyczni prenumeratorzy stanowią większość czytelników tutejszej polskiej prasy, która — pomimo usiłowań wydawców-redaktorów, o czym jeszcze poniżej — nigdy nie zamieniła się w polski środek masowego przekazu, nie była czytana przez szerokie rzesze blisko osiemdziesięciu tysięcy potencjalnych odbiorców. Albowiem nasze periodyki są pokarmem duchowym dla stosunkowo niskiego odsetka żyjących tu rodaków. Dlatego też redakcje nie operują dostatecznymi funduszami i stale „borykają się z dużymi trudnościami”, obecnie zaostrzonymi przez przesilenie gospodarcze.

Od początku swego ukazania się prasa polska w Australii była stworzona przez elitę dla elity; była scholastycznie polityczna i przeto nie przyciągała szerszych mas; była pisana przez grupę wybranych (choć bynajmniej nie uprzywilejowanych) dla raczej ograniczonej ilościowo klasy czytelników na pewnym ponad przeciętnym poziomie rozumienia i rozumowania. Chyba dlatego stała w okresie swego rozkwitu o wiele wyżej od niejednego z australijskich periodyków, mogących szastać tysiącami dolarów, zatrudniać ekipy dobrze płatnych dziennikarzy piszących z premedytacją dla mas, co zresztą robią także pewne obcojęzyczne periodyki emigracyjne, jak np. tygodnik stale i z upodobaniem drukujący w każdym numerze tuziny sprawozdań z sensacyjnych rozpraw kryminalnych w dalekiej, słonecznej macierzy. O takich gruboskórnych metodach powiększenia nakładu nie chcieli nawet myśleć kulturalni redaktorzy polscy, pomimo że chwilami może i zazdrościli swoim obcojęzycznym kolegom ich beceremonialnego zejścia na najniższy poziom. Nasze periodyki są po dziś dzień moralnie nieskazitelne, nie grające na niskich instynktach, chwilami wręcz pruderyjne. Prawdopodobnie ta elitarność oraz stosunkowo wysoki dotychczas poziom pisarski były głównymi przyczynami niskich nakładów naszych gazet.

Okres szczytowy polskiej prasy w Australii przypadł mniej więcej przed drugą połową lat sześćdziesiątych, gdy byli dipisi jako tako obrosli w piórka i mieli więcej czasu na zainteresowania kulturalne. Dotyczy to zarówno czytających jak i piszących. Wtedy nasze publikacje na antypodach osiągnęły wysoki poziom rozwoju — były odważne, oryginalne, intelektualnie wartościowe, swobodnie kontrowersyjne. Wówczas to jeden redaktor-entuzjasta mógł w każdym numerze drukować „maszt flagowy”

z szesnastoma nazwiskami stałych współpracowników solidnego kalibru. Teraz już takiego spisu nie ogłasza. Jego główny „konkurent” nie ustępował mu pod tym względem aczkolwiek nie publikował listy swoich autorów i korespondentów, ani pochwalnych listów do redakcji. Lecz wtedy obaj mogli pochwalić się imponującą plejadą piszących na ich łamach: poetów, ambasadatorów, konsulów generalnych i generałów, prawników, historyków, autentycznych przedwojennych redaktorów naczelnych, powieściopisarzy, nauczycieli gimnazjalnych z prawdziwego zdarzenia, lekarza który odkrył w sobie prawdziwy talent literacki i kilku lokalnych aplikantów dziennikarskich z których jeden wytrzymał próbę czasu i jest dziś jednym z filarów dobrze zorganizowanej, wciąż solidnie ugruntowanej redakcji. Można by owe lata nazwać okresem entuzjazmu. Był to czas w którym kilku altruistów w Sydney wydawało miesięcznik polityczny imponującego formatu i z bardzo drogą wielobarwną okładką na kosztownym papierze. Jest niemal pewne, że na tym przedsięwzięciu nie zarabiali ani centa, raczej dokładali i to grubo, co jednak nie tłumili ich zapału i zawziętości. Takim był wtedy duch w emigracyjnym narodzie. *Nota-bene*, i ów miesięcznik polityczny nie był pisany dla przeciętnego czytelnika, nie dla mas; i niestety już się nie ukazuje.

Oczywiście ten fakt — pisanie przez pięknoduchów dla koneserów różnego autoramentu — nie sprzyjał zdobyciu większości emigrantów na listy prenumeratorów. Redaktorzy stanęli wobec dylematu: Albo zachować wysoki poziom i być może narazić się na finansowy krach, a w najlepszym wypadku na wegetowanie. Lub też obniżyć trochę standart i spróbować uwielokrotnić nakłady żałośnie niskie jak na tak liczebną Polskę. Przy czym ta druga alternatywa nie była taka prosta. Bo jak tu na przykład przekonać subtelny eseistę aby przestał pisać sobie a muzom i tym trzem tysiącom przyzwyczajonych do jego pióra; jak poprosić ambasadora aby zredagował komentarz polityczny, który byłby także przejrzysty dla zamożnego stolarza meblowego. I jaka była pewność, że wtedy były cieśla okrętowy zaprenumeruje gazetę i czy jego chyci taki z premedytacją zdewaluowany elaborat.

Ale redaktorzy to ludzie zawzięci, tak łatwo nie rezygnują. Są też inteligentni — więc nie próbowali namawiać doktora praw aby pisał eseje historyczne dla wędliniarza z dziewiczą biblioteką. Zatem trzeba było lekko otworzyć łamy pisma dla dotychczas jeno okazynie tolerowanych, mało doświadczonych amatorów i znośnych choć oczywistych grafomanów, *soit-disant* korespondentów i innych dziennikarskich *je-ne-sais-quoi*: może oni przyciągną pewną grupę nowych prenumeratorów. Jednak wkrótce, bardzo szybko, okazało się, że nadzieje oparte były na złudzeniach: nowi prenumeratorzy jakoś nie pchali się drzwiami i oknami; kapanina świeżych zgłoszeń nie wyrównywała strat spowodowanych odpadaniem wielu już nie tak młodych czytel-

ników, których nazwiska coraz częściej ukazują się w nekrologach. Melduje się wprawdzie pewien procent spośród nowych emigrantów zarobkowych, lecz zdarza się dość często, że wielu z nich odpada gdy zadomowili się na obczyźnie i niektórym nie odpowiada zbyt polityczne, zdarza się że nawet zbyt fanatyczne nastawienie pewnych artykułów inspirowanych „z samego Londynu”; może dość mieli polityki w kraju i nie chcą angażować się w nią na emigracji; poza tym, ci nowi przybysze z Polski przeważnie znają angielski i — rzecz ciekawa — prędzej asymilują się, rzekłbyś z premedytacją. Naturalnie i tu można spotkać wyjątki potwierdzające regułę.

Tak więc gros prenumeratorów nadal składa się z tych najwerniejszych z wiernych, przeważnie ze starzejących się inteligentów i półinteligentów mających, lub wmawiających w siebie że mają ciągoty kulturowe. Nie pomagały konkursy na najpiękniejszą buzię, wcale kosztowne i wyczerpujące i tak zaoranego optymistę za biurkiem redakcyjnym; nie dają pożądaných wyników długotrwałe kampanie ogłoszeniowe we własnym piśmie; nie na wiele zdało się kuszenie pierwszą nagrodą lotniczej podróży dookoła świata dla jednego z tysiąca czy iluś tam nowych prenumeratorów lub ich werbowników. Krąg czytelników zastęgl na tych kilku tysiącach. (Dokładna wysokość niskich nakładów jest wciąż naiwnie przez redaktorów strzeżoną tajemnicą polityczną).

Nie pozostało więc nic innego jak robić dobrą minę do nie tak dobrej gry i pogodzić się z faktem, chyba z pewnością: że wśród starszych emigrantów nie da się wygrzebać nowych czytelników w ekonomicznych ilościach; iż tak zwana młoda generacja też ich nie dostarczy z tej prostej przyczyny, że jej przyniatająca większość nie zna języka polskiego w dostatecznym stopniu, a ich dzieci praktycznie nie znają go wcale. Zresztą, nigdy ich nie ciekawiły jałowe spory polityczne ojców i dziadków wciąż bawiących się w stronnictwa sprzed pierwszej wojny światowej.

W takim stanie rzeczy redaktorzy byli przygotowani na to co statystyka tak eufemistycznie określa jako ubytek naturalny. Jednak — aby nie wpaść w przesadę — trzeba tu podkreślić, że proces wymierania starej gwardii, aczkolwiek już dostrzegalny gołym okiem, nie jest jeszcze katastroficzny i „gazetki” są wciąż czytane, choć może z nieco chłodniejszym, pobłażliwym entuzjazmem. Świadczy o tym fakt, że kierownicy i właściciele polskich firm handlowych — ludzie nie wydający pieniędzy dla samego sentymentu — ciągle reklamują się w naszych periodykach. Nie czyniliby tego gdyby nakłady opadły zbyt nisko. Więc proces stagnacji nie jest jeszcze tak dalece zaawansowany.

Natomiast gorzej jest z drugą z „dużych trudności”: z niedostatkiem współpracowników o regularnej częstotliwości. Nie łatwo jest zrozumieć dlaczego powoli odsunęły się od efektywnej współpracy osoby, które dziesięć lat temu z entuzjazmem i prawie

stale nadsyłały swoje felietony, artykuły dyskusyjne, eseje, opowiadania i wiersze. Dziś jest ewenementem gdy ktoś z nich napisze banalny list do redakcji. Większość tych ongiś zaprzysiężonych przyjaciół polskich pism w Australii wciąż żyje — ale wymienienie nazwisk nie jest wskazane, bo mogłoby naruszyć prywatne odosobnienie lub dać asumpt do wysnucia frasośliwych domysłów lub wniosków. Jednak można rozważać pytanie: czemu przypisać fakt, że tylu dawniej murowanych, ba, rywalizujących ze sobą adherentów zamieniło się w autorów sporadycznych, okazjonalnych, czasem już jeno przypadkowych. Jest mało prawdopodobne, że przyczyną stały się dawniej niskie a przy postępującej inflacji bardzo teraz śmieszne honoraria-ochłapy; można raczej przyjąć za pewne, że tacy artyści pióra nie pisali z myślą o zapłacie. Więc może przyczyną tej abstynencji pisarskiej jest nie takie łatwe do zrozumienia, wznowione ostre upolitycznienie się pewnego odłamu tutejszej prasy, jej nieraz aż uderzająca bezkompromisowość, rozprezydentowanie, sztywna dogmatyczność, pisanie o tym co należy robić w polityce lecz nie jak to zrobić. Razi to szczególnie u tych, którzy kiedyś z pewną dumą wzywali Polaków australijskich do odżegnywania się od „londyńskich swarów”.

Nie można też wykluczyć naturalnej przyczyny odpadnięcia byłych stałych współpracowników: powolnego, bezlitosnego wyczerpania fizycznego i umysłowego, wypisania się grożącego każdemu człowiekowi pióra. *Last but not least* trzeba też wymienić zniechęcenie niewątpliwie istniejącą acz uporczywie negowaną cenzurą redakcyjną rozróżniającą zbyt często między herezją i konformizmem, rzadko zaś uznającą coś pośredniego między tymi skrajnościami. Tę spekulatywną analizę stanu faktycznego można by doprowadzić do rozmiarów monografii lub pracy doktorskiej, którą chyba kiedyś ktoś opracuje, np. pod tytułem „Los dziennikarza na emigracji”. Ścisłej mówiąc: seniora dziennikarskiego. Bo przecież trzydzieści pięć lat po Wrześniu nie ma już na emigracji młodych redaktorów, felietonistów i reporterów. Wszyscy są już w wieku zaawansowanym, niektórzy już trzeszczą w szwach, bliższą tam gdzie nie trzeba, co tu owijać w bawełnę: kończą się. I tworzą w warunkach nienormalnych — albowiem pisanie jest zajęciem pełnoetatowym. Zaś znakomita ich większość, jeżeli nie kwalifikują się już do emerytalnego lamusa, to ludzie mogący poświęcić się pisaniu tylko dorywczo i po tygodniu przepracowanym w chlebobodajnym, często nużącym zajęciu. Prawdopodobnie dlatego wyczerpują się wcześniej. A gdy mimo wszystko nie chcą odłożyć pióra, to nie ulega kwestii że pisanie w takich warunkach nie odbija się dodatnio na jakości utworu. Niejeden przeto decyduje się raczej pisać mniej lub wcale nie, niż przysyłać twory małowartościowe. Po co narażać się na afront odmowy druku? Albo zdewaluować swoją reputację na stare lata? Naturalnie, są i tacy co przestaną dopiero gdy umrą, bez względu na poziom ich zgrzybiałych elukubracji.

O ile jednak współpracownik niezależny, niekiedy z bólem

serca, może w każdej chwili przerwać kontakt z redakcją — niekiedy nawet przestać przysyłać dalsze odcinki już drukującej się powieści, bo i to się zdarzyło — o tyle redaktor nie może bez bardzo poważnych konsekwencji przerwać harówki, odejść od biurka zawałonego papierami w których często gęsto trzeba poprawiać błędy ortograficzne lub stylistyczne, skrócić przewlekle mędrkowanie czy nudny werbalizm — o ile czas pozwoli. Redaktor prawie nigdy nie może sobie pozwolić na relaks; na przyzwyczajony, swobodny urlop — chyba gdyby zamknął budę. I stale wisi nad nim widmo poważnej choroby. Tak się bowiem złożyło, że każdy z tutejszych polskich periodyków emigracyjnych jest integralnie związany z osobą redaktora. Jako dowód może posłużyć następujący przykład: gdy jeden taki męczennik po długim namyśle doszedł ostatnio do nieuniknionego wniosku, że albo nareszcie odpocznie albo grozi mu załamanie — musiał przerwać wydawanie tygodnika na dłużej niż miesiąc, chociaż niewątpliwie pamiętał kardynalne przykazanie dekalogu dziennikarskiego: *the show must go on*. Widocznie jednak nie mógł nawet na tak krótki okres znaleźć odpowiedniego zastępcy.

Do bolesnej listy językowo zasymilizowanych rodaków, gwałtownie kurczącego się zespołu stałych oraz wykwalifikowanych współpracowników i wynikającego z tego przemęczenia fizycznego i umysłowego jednoosobowej redakcji, dodać należy jeszcze jedną, bardzo realną bolączkę: niespodziewany obrót w sytuacji ekonomicznej, czyli gwałtowne drożenie papieru, opłat pocztowych i stawek płatniczych towarzyszy sztuki drukarskiej, których — w przeciwieństwie do mistrzów sztuki pisania — nie można zbyć byle czym. Inflacja nie jest w Australii zjawiskiem nowym — musi sobie na nią pozwolić każdy kraj prowadzący imigracyjną politykę demograficzną. Ale obecnie ceny nie tylko wyrwały się spod kontroli, lecz są też przez pewne sfery używane jako środek zwalczania rządu. Ciągły wzrost kosztów produkcji daje się odczuć dotkliwiej w małym przedsiębiorstwie jakim jest drukarenka redakcji emigracyjnej. Dlatego redaktor musi łątać budżet zyskiem z ogłoszeń, co powoduje że niektóre numery w niektórych pismach są przeładowane reklamą. Świadczy to wprawdzie o handlowej bystrości naszych redaktorów, jednak nie może zachwycać czytelników. Sentyment sentymentem, lecz nie można dziwić się gdy nawet wierni prenumeratorzy od czasu do czasu konstatują, że mają coraz mniej do czytania, szczególnie w pewnych okresach sezonowych, reklamowo popłatnych. Albowiem zduszony finansowo polski redaktor nie może sobie pozwolić na drukowanie dodatkowych stron — papier jest drogi, więc im więcej reklamy tym mniej tekstu.

Jak widać, trudności finansowe można jakoś pokonać. Drukarnia ma też czas na wykonanie zamówień czysto handlowych po cenach realistycznych; przyjmuje się prawie każde ogłoszenie i przyryka się oczy na wciąż cierpliwego czytelnika, któremu — szczególnie temu starszemu i nie znającemu angielskiego —

nie łatwo jest odzwyczaić się od swego pisma. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa utraty stałych współpracowników lepszego kalibru: Tu redaktor małej gazetki ma tylko jedno lekarstwo do dyspozycji — przedruki z innych publikacji, z któregoś z tych nielicznych już obecnie wydawnictw wciąż jeszcze ogłaszających utwory oryginalne, na dobrym poziomie i mniej więcej aktualne. Oczywiście zdarza się, że taki przedrukowany artykuł zostaje bezlistownie skrócony, zaopatrzony w emfaticzne podkreślenia i podtytuły — prawdopodobnie bez uprzedniego porozumienia z autorem lub redaktorem paryskim, londyńskim czy innym. Na takich przedrukach, czasami przekraczających 60% materiału redakcyjnego można wciąż dźwigać ogłoszenia prywatne i rządowe, trzymać się na powierzchni, jako tako egzystować. (Naturalnie nie są pytani o opinię ci, którzy prenumerują także owe zagraniczne publikacje polskie i w ten sposób zmuszani są do czytelniczej repety). I jak Bóg będzie miłościwy i da jeszcze długie lata życia redaktorom z Avenue de Poissy, z Great Russell Street i z Charleville Road — to ich australijskim kolegom nie zabraknie materiału do wypełnienia numeru. Zresztą, ten proceder nie jest zdaje się charakterystyczny dla Melbourne lub Sydney skoro możemy tu już czytać chicagowskie artykuły przedrukowane z paryskiego periodyku. Dodajmy, że nie do pogardzenia są też różne radosne komunikaty Radia Free Europe, nasłuch z Voice of America oraz pożyczki z prasy krajowej, szczególnie warszawskiej i krakowskiej, skąd można przy odrobinie dobrej woli to i owo wcale ładnie wykorzystać.

A jak będzie, powiedzmy, za dziesięć lat? Po przeczytaniu tego naiwnego pytania nasz edytor-dziennikarz-drukarz chyba wzruszy ramionami, uśmiechnie się pobłażliwie a smętnie i może powie sobie po cichu, że nawet żelazny redaktor emigracyjny może któregoś dnia oddać ducha Bogu. Jednak wcale nie jest pewne, że gazety zostaną wtedy szybko zlikwidowane. Jest możliwe, że podeprą je wtedy te wszystkie osoby tytułowane — prezesi, delegaci, przedstawiciele polityczni i społeczni — których siły i wpływy są w poważnym stopniu papierowe i opierają się mocno na tych lokalnych publikacjach narodowych. Albowiem bez tych gazetek z listami darów, z orędziami i komunikatami różni działacze poczuliby się nagle jak bez ręki. Nie przestaliby istnieć, ale już nie mogliby tak promieniować. Staliby się matowi, ich wpływy mogłyby ostabnąć, ich organizacje zostałyby zagrożone rozpadem. Oni zatem będą bronić publikacji na emigracji aż do ostatniego tchu — i słusznie.

Lecz jedno jest pewne: po śmierci ich obecnych redaktorów nasze periodyki już nie będą te same.

Adam NASIELSKI

Ludność pochodzenia polskiego w Kanadzie

Pełne dane spisu ludności z grudnia 1971 roku nie zostały — niestety — dotychczas ogłoszone. Urząd Statystyczny — *Statistics Canada* — kilka razy wyjaśniał iż dzieje się z powodu pewnych trudności technicznych; powstały pewne błędy a wobec tego jest wielkie opóźnienie. Okresowo publikuje się niektóre dane, co zresztą — np. w odniesieniu do składu liczebnego grup etnicznych, innych aniżeli anglosaska i francuska — spowodowało formułowanie niezbyt ścisłych wniosków. W dalszym ciągu należy zachować daleko posuniętą powściągliwość, nie mniej jednak wydaje się, iż w odniesieniu do grupy polskiej, możemy już jeden z tych pochopnych wniosków, skorygować.

Dane spisu z 1971 roku odnośnie struktury etnicznej ludności Kanady podają, iż grupa polska liczy — 316.425 co w porównaniu ze spisem z 1961 roku oznacza wcale znaczny spadek, jako że wówczas zarejestrowano — 323.517 osób.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że już po ogłoszeniu wyników poprzedniego spisu — tj. danych w odniesieniu do grupy polskiej — niektórzy z nas mieli pewne wątpliwości, ale nie dopuszczano do ich wyraźnego sformułowania. Uważano takie stanowisko za defetyzm, bo skoro rządowa statystyka podnosi nas liczebnie, wzmocnia naszą pozycję, czy godzi się stawiać znaki zapytania, usiłować wykazać iż musi być nas mniej? Gdyby dane były ścisłe, życie polonijne byłoby przecież grubo bujniejsze. Ale oczywiście lepiej raczej uznać, iż mamy poważną ilość martwych dusz, aniżeli obniżyć liczby statystyczne.

Kanadyjskie spisy ludnościowe rejestrują przynależność etniczną (narodowościową) po ojcu. Jest to oczywiście osobista deklaracja i nie podlega w żadnym wypadku wątpliwości. Zdarza się jednak iż przynależność narodowościowa ulega zmianie. Notowano to np. w spisach przeprowadzonych jeszcze przed wojną zarówno przez urzędników imigracyjnych jak i późniejszych. Występuje to wcale jaskrawo przy porównaniu np. danych Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie i Urzędu Statystycznego Kanady odnośnie imigrantów z Polski jeśli chodzi o ich narodowość i wyznanie. Zapewne byłoby błędem utrzymywać, iż dane Gł. Urz. Statystycznego były fryzowane, ale można zaryzykować twierdzenie, że sporo osób podawało inne dane o sobie w Polsce a inne po wylądowaniu w Kanadzie. Stąd owe różnice.

Podobnie zresztą było i po wojnie. Imigranci-uchodźcy z krajów, które znalazły się pod panowaniem komunistycznym — w szczególności przybywający z obozów w Niemczech, Austrii i Włoch — zmieniali przynależność narodową w Kanadzie.

Zmiany narodowościowe w kolejnych spisach ludności należy jednak rozpatrywać i oceniać na tle całej istniejącej rzeczywistości a nie jako zjawiska oderwane. Kureczenie się poszczególnych grup w kraju imigracyjnym, takim jak Kanada, idzie w parze ze wzrostem innych grup. Nie tylko dalsze pokolenia osiadłych imigrantów — ściślej potomkowie imigrantów — na skutek dążenia do pełnej integracji, czy mieszanych małżeństw, wchodzą całkowicie w jedną z dominujących grup tzw. założycielskich, tj. angielskiej

lub francuskiej, ale z tych samych powodów czy innych imigrant zrywa ze swoją grupą. Często jest to wynikiem warunków zewnętrznych czy nieprzyjaznego zbiegu okoliczności, jak np. zamieszkanie w miejscowościach, w których brak już organizacji, ale nawet skupiska ludzi tej samej grupy etnicznej.

W okresie pionierskim np. w niektórych okręgach, na preriach, nastąpiła ukraiinizacja imigrantów polskich. Na sąsiednich gospodarstwach siedzieli chłopci ukraińscy, greko-katolicy bardziej aniżeli Polacy zadomowieni, mieli już w pobliżu kościół lub kaplicę i stąd drogą najbardziej naturalną, bez jakiegokolwiek przymusu, nieliczne rodziny polskie powoli ukraiinizowały się. Pierwszy etap — kościół, drugi — język a trzeci — małżeństwa mieszane. Potomkowie tej grupy — niektórzy noszący doskonale brzmiące polskie imiona i nazwiska — uważają się za przynależnych etnicznie do grupy ukraińskiej, mimo minimalnej, albo żadnej znajomości języka ukraińskiego, łączności organizacyjnej itp. Jednocześnie podkreślają swoje etniczne obojniaństwo.

Procesy kurczenia się grup etnicznych mogą być i są hamowane lub powstrzymywane przyływem nowych przybyszów i oczywiście jakąś świadomą akcją. Pewne wypadki dziejowe mogą również odegrać wpływ, zarówno dodatni jak i ujemny. Przykładowo np. wskażemy, iż ludność pochodzenia niemieckiego podczas ostatniej wojny i bezpośrednio po niej rejestrowała się jako: szwajcarska lub austriacka.

Stały wzrost grupy brytyjskiej nie jest oczywiście wynikiem li-tylko imigracji, ale wchłaniania ludności niemal ze wszystkich innych grup etnicznych nie wyłączając francuskiej. Jest to grupa rządząca i dominująca, co oczywiście jest decydujące. Najbardziej liberalna polityka narodowościowa i brak wszelkich nacisków w kierunku integracji nie mogą stanowić zapory przeciwko takiej ewolucji. A żadne państwo — nie wyłączając Kanady — takiej ewolucji nie zamierza naturalnie hamować.

Statystycznie ubytek polskiej grupy etnicznej nie jest zbyt wielki w okresie między obu ostatnimi spisami ludności.

Jeśli przyjmiemy iż dane spisu 1961 roku były ścisłe i w zaokrągleniu wyniosły: 323.500 to według szacunkowej kalkulacji grupa polska winna była w 1971 roku liczyć — uwzględniając oczywiście przyrost naturalny i imigrację — 377.000. Tymczasem spis ludności z 1971 roku podaje (znowu w zaokrągleniu) 316.400. Mamy więc różnicę w wysokości 60.600.

Nasza kalkulacja przedstawia się następująco:

Polska grupa etniczna według spisu z 1961 roku	323.500
Przyrost naturalny (zgoni i urodziny)	32.500
Imigracja	21.000
<hr/>	
Szacunek na 1 czerwca 1971 roku	377.000
Stan według spisu 1 czerwca 1971 roku	316.400
Różnica między szacunkiem a spisem	60.600

W jaki sposób można tę różnicę wyjaśnić?

Najbardziej prawdopodobną wydaje się następująca statystyczna odpowiedź:

Z polskiej grupy etnicznej przeszło między dwoma ostatnimi spisami do grupy żydowskiej	31.000
do grupy ukraińskiej	10.500
do grupy brytyjskiej i innych	10.000
Opuszczono w spisie 1971 roku	9.100

Ogółem: 60.600

Skoro przyjmie się powyższe podstawy obliczeniowe to należy oczywiście zrewidować dane spisu z 1961 roku odnośnie grupy polskiej i określić jej ówczesny stan na 288.650, co wobec wyniku spisu z 1971 roku wydaje się znacznie bardziej ścisłe.

Brak jeszcze danych, które pozwoliłyby na analizę struktury socjalnej i zmian jakie zaszły w niej między 1961 a 1971 rokiem. Ale widzimy stałe zmniejszanie się grupy polskiej w prowincjach zachodnich (Manitoba, Saskatchewan) i wzrost w Ontario, co oczywiście jest dowodem przesuwania się ludności ze wsi do miast.

Podczas gdy w 1941 roku polska grupa wiejska liczyła 50,7 % to w 1971 roku liczy tylko 19,5 %. Grupa polska kieruje się do wielkich skupisk.

Zmiany te naturalnie wiążą się ze stanem majątkowym, zawodami itp., o czym postaramy się pisać później, gdy będą dostępne dalsze tabele statystyczne.

Dotychczas ogłoszone dane pozwalają na przeprowadzenie dokładnych porównań między polską a ukraińską grupą etniczną pod względem wyznaniowym. Kościół greko-katolicki jest najliczniejszy i wzrósł w 10-leciu z 157.559 do 186.460, ale procentowo w stosunku do całej ukraińskiej grupy etnicznej spadł z 33,3 % w 1961 do 32,1 % w 1971 roku.

Spadek w liczbach bezwzględnych i w procentach wykazuje kościół prawosławny: w 1961 roku — 119.219 tj. 25,2 % wobec : 1971 roku — 116.700 tj. 20,1 %.

Grupa etniczna ukraińska która w 1961 roku wykazała poważny spadek w stosunku do spisu z 1951 roku podniosła się w 1971 roku w liczbach bezwzględnych o 107.323 i wynosiła — 580.660.

Nie wyciągając zbyt daleko idących wniosków można zaryzykować twierdzenie, że wzrost liczebny ukraińskiej grupy etnicznej jest wynikiem sytuacji politycznej i to bynajmniej nie kanadyjskiej. Mamy do czynienia z demonstracyjno-manifestacyjną deklaracją świadomości narodowościowej.

Rudolf K. KOGLER,
Benedykt HEYDENKORN

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), min. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kronika kulturalna

Żegnamy przyjaciela

Publiczne żeganie zmarłego ma tylko metafizyczny sens. Żegnamy wszak kogoś, kto nie słyszy tego, co o nim, czy do niego mówimy, choćbyśmy zwracali się doń przez poufale „ty”. Mówimy zatem do żywych, do tych, co go znali, cenili, kochali i niejedno mu zawdzięczali. Albo też usiłujemy tym, którzy o nim niewiele wiedzą, czy w ogóle o nim nie słyszeli, powiedzieć, kim był i za co zasłużył sobie na publiczne *ultimun vale*.

Przypominamy dziś czytelnikom *Kultury* bibliotekarza Alfreda Bersteina. W pierwszych dniach lutego br. zakończył w Nowym Jorku życie. Był nie tylko wieloletnim osobistym przyjacielem piszącego te słowa, lecz także wypróbowanym przyjacielem *Kultury*. Słowo przyjaciel padało ofiarą tylu nadużyć, iż nie wiadomo już dzisiaj, co znaczy, jeśli w ogóle pokrywa się jeszcze z treścią, włożoną w nie przed wiekami. Tę treść najlepiej wyrażają języki wywodzące się z łaciny, ze wspólnego źródłosłowu: *amo* — Kocham. O tym należy pamiętać, ilekroć nazywamy kogoś przyjacielem. Alfred Berstein był przyjacielem w pierwotnym, szlachetnym znaczeniu tego słowa, przyjacielem lojalnym, czynnym i bezinteresownie uczynnym. Absolutna bezinteresowność może nie istnieje. Jeśli ktoś poświęca swą pracę i zapał dla dobra innych ludzi lub dla jakiejś idei czy instytucji i nie szuka za to nagrody, znajduje ją chyba w zadośćuczynieniu. I w tym chyba ma swój wzniosły interes.

Alfred Berstein był miłośnikiem polskiej kultury i służył jej w Nowym Jorku przez parę dziesiątek lat jako bibliotekarz, a zwłaszcza jako doradca wszystkich pracujących tu naukowo i literacko w najrozleglejszych dziedzinach polskiej kultury. Powiedzieć o nim, że był doradcą to mało. Obdarzony niezwykłą intuicją i rzadkim zmysłem orientacji, spełniał nie tylko wszelkie skierowywane doń życzenia, ale życzenia te uprzedzał, jakby je odgadywał, nawet wówczas gdy jego „klienci” nie byli całkowicie świadomi tego, co im jest potrzebne w pracy. Był Berstein

fenomenalnym *researcher'em* czyli poszukiwaczem źródeł i materiałów. Potrafił pisarzowi lub pracownikowi naukowemu niejedno zasugerować, kiedy ten zniechęcał się trudnościami. Do źródeł, zdawałoby się od dawna już wyschniętych lub zasypanych, docierał jak ródźkarz. W poszukiwaniu materiałów nie ograniczał się do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, w której pracował i która była bazą jego działalności. Korespondował z wszystkimi dostępnymi bibliotekami na obu półkulach, oczywiście i z tymi w Polsce, z których sprowadzał fotostaty i mikrofilmy. Bez przesady można go nazwać bibliotekarzem twórczym.

Kiedy w roku 1959 Berstein przekroczył obowiązującą dla pracowników Nowojorskiej Biblioteki Publicznej granicę wieku i musiał opuścić swą placówkę w dziale słowiańskim, gdzie trwał przez osiemnaście lat, pisaliśmy o nim w *Kulturze* (Nr 9/143), uważając za absurd przejście w „stan spoczynku” człowieka o jego żywotności i energii. Niech mi będzie wolno powtórzyć tu, cośmy w roku 1959 pisali, z tą niestety różnicą, że dziś musimy zmienić czas teraźniejszy, w jakim wówczas mówiliśmy o Bersteinie, na czas przeszły dokonany. Dokonany nieodwołalnie. A więc powiedzmy raz jeszcze, że bibliotekarz Alfred Berstein był postacią, z którą w Nowym Jorku zetknął się niemal każdy, kto w latach 1941-1959 i później zajmował się polską historią, literaturą, językoznawstwem, wszystkim co wchodzi w zakres naszej kultury humanistycznej. Skromny ten człowiek był z wykształcenia i z dyplomu prawnikiem, lecz z zamiłowania historykiem i bibliografem. W dziale słowiańskim Nowojorskiej Biblioteki Publicznej pracował jako „pierwszy asystent”. Był nie tylko tzw. duszą tego działu, lecz i dobrym duchem, przenikającym wszelkie druki i publikacje w językach słowiańskich z wyłączeniem rosyjskiego. Jemu to zawdzięcza ten dział rozbudowę części polskiej, zaniedbanej przed jego przybyciem do tej wielkiej biblioteki.

Urodzony w roku 1892, na Pokuciu, studiował prawo w uniwersytetach lwowskim i wiedeńskim. Po pierwszej wojnie światowej osiadł we Wiedniu i był tam doradcą prawnym większych i mniejszych koncernów eksploatujących naftę w Małopolsce Wschodniej. Od borysławskiej nafty milej pachniały mu książki. W końcu, po licznych perypetiach w czasie drugiej wojny światowej został bibliotekarzem w Nowym Jorku i tu dopiero zaczął żyć prawdziwym swoim życiem, pełnym optymizmu.

W ciągu owych osiemnastu lat, w których byłem w dość bliskich stosunkach z Nowojorską Biblioteką Publiczną, rzadko zaglądałem do katalogów. Mieszkam za miastem. Wystarczyło z mojego domu, oddalonego od Biblioteki o 15 mil angielskich, zatelefonować do Bersteina, żeby natychmiast otrzymać wyczerpujące informacje. Berstein miał fenomenalną pamięć, a jeśli czegoś nie pamiętał, odchodził od telefonu, aby po kilku minutach powrócić nie tylko z danymi bibliograficznymi, ale i odczytać przez telefon to miejsce z książki czy z periodyku, na którym mi zależało. Czynił to z takim przejściem i tak uprzejmie, jakby

nic innego nie miał do roboty. Zawsze usłużny i pogodny, miał setki takich jak ja zanudzających go „klientów”. Zanudzali go pisarze i uczeni, pseudopisarze i niedouczeni, Polacy, Ukraińcy i Żydzi, rządziej Czeši. Nadużywaliśmy, o, nadużywaliśmy cierpliwości zacnego Alfreda Bersteina.

Po przejściu na emeryturę z Nowojorskiej Biblioteki Publicznej był Berstein przez blisko dziesięć lat kierownikiem biblioteki w Polskim Instytucie Naukowym w tymże Nowym Jorku. Oczywiście i na tej placówce kontynuował swą działalność doradcy i pomocnika naukowców i literatów, nie tylko polskich.

Kto znał jego ruchliwość i niewyczerpaną, zdawałoby się, energię, nie łatwo mógł się pogodzić z postępującą w ostatnich latach deterioracją fizyczną i umysłową tego człowieka. Berstein zmarł w jednym z owych koszmarnych, chociaż komfortowo urządzonych „Domów Opieki” (*Nursing Homes*) dla zniedołężniałych starców i rekonwalescentów. Dom, w którym Berstein spędził przeszło rok męczącego życia nazwano imieniem Florence Nightingale, owej angielskiej bohaterskiej pionierki wojennego pielęgniarstwa, wstawionej w czasie wojny krymskiej.

Rozmowny niegdyś, a nawet skłonny do namiętnych sporów Berstein, godzinami siedział tam nieruchomo w fotelu i milczał. Niedawny jeszcze pożeracz książek niczego już nie czytał. Ilekroć do odwiedzających go się odzywał, często wspominał Bibliotekę. Nieraz zdawało mu się, że wciąż w niej przebywa. Trapiły go też różne obsesje. Ostatnim zapewne widzeniem w jego życiu były książki i druki.

Józef WITTLIN

Komunikaty

FUNDUSZ STYPENDIALNY IM. GEN. WACŁAWA STACHIEWICZA

Dla uczczenia pamięci członka Instytutu, generała Wacława Stachiewicza, zmarłego w Montrealu w dn. 11 listopada 1973 roku, Polski Instytut Naukowy, Oddział w Kanadzie postanowił utworzyć z napływających składek, w porozumieniu z Uniwersytetem McGill i za zgodą Rodziny, FUNDUSZ PAMIĄTKOWY JEGO IMIENIA

„GENERAL W. STACHIEWICZ MEMORIAL FUND”

Zadaniem Funduszu „General Stachewicz Memorial Fund” będzie udzielenie stypendium na poparcie przedsięwziętej lub dokonanej (w tym wypadku, na jej wydanie) poważnej pracy historycznej z okresu Polski Niepodległej, 1918-39. Praca winna być badawcza, wnosząca nowe elementy

historyczne do obranego tematu, w języku polskim, angielskim lub francuskim. Nie ma ograniczeń co do wieku stypendysty, ani objętości pracy. Specjalna Komisja utworzona przez Polski Instytut Naukowy w Kanadzie rozpatrzy prace, których termin nadsyłania upływa z dniem 1 października 1975. Zarząd P.I.N. prosi organizacje polskie o podanie potencjalnych kandydatów.

Ofiary na cel Funduszu przyjmuje i ogłasza w prasie Oddział Kanadyjski.

Dotychczas zebrana suma wynosi 1.252 dolary.

Czeki wystawiać należy na *Polish Institute* zaznaczając na czeku: **GENERAL W. STACHIEWICZ MEMORIAL FUND** i przesyłać je do Montrealu na adres:

THE POLISH INSTITUTE, CANADIAN BRANCH,
3479, PEEL ST., MONTREAL H3A 1W7, CANADA.

CONTRA PUBLISHING

PRZEDSTAWICIELSTWO

POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ W LONDYNIE,
INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

i
OFICYNY POETÓW I MALARZY W LONDYNIE

- Doręcza wyłącznie drogą pocztową książki wymienionych wyżej wydawnictw.
- Przyjmuje prenumeratę na miesięcznik *Kultura*, kwartalnik *Zeszyty Historyczne*, tygodnik *Wiadomości* i *Dziennik Polski*.
- Wszystkie książki wysyła się odwrotną pocztą po otrzymaniu zamówienia. Zamówienia płatne z góry. Do ceny książek należy doliczyć 10 % na koszty przesyłki.
- Katalogi wysyła się bezpłatnie.
- Sprzedaż książek wyłącznie drogą pocztową.

CONTRA PUBLISHING
54, NORMAN AVENUE,
BROOKLYN, N.Y. 11222.

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

«Wesoła teoria, smutna praktyka»

Nie znamy utworu Orzeszkowej pod powyższym tytułem, ale w powieści koszalińskim znalazł się on na liście najczęściej wypożyczanych książek w bibliotekach wiejskich. Badania czytelnictwa w tym rejonie (informuje o nich Maria Wesołowska w *Polityce*) przyniosły szereg interesujących wyników.

Zacznijmy od pytania wstępnego: dlaczego Orzeszkowa? Odpowiedź jest prosta i jeśli badania koszalińskie przyczynią się do odtworzenia mapy kulturalnej kraju, to dzięki prostym odpowiedziom na pytania.

Wybór książki w bibliotekach wiejskich jest niemal zawsze przypadkowy. Czytelnicy najchętniej sięgają po książki leżące na stole bibliotekarza, lub z najbliższej półki. Ilość pożyczanych książek stale się zmniejsza. Czytelnik biblioteki wiejskiej pożycza ok. 13 książek rocznie, a jeszcze przed dziesięciu laty liczba wypożyczeń sięgała 18. W tym samym czasie wzrosła poważnie liczba odbiorników radiowych (80 % zagród wiejskich i mieszkań robotników rolnych) i aż 90 % ludności „ma dostęp” do odbiorników telewizyjnych.

Współzależność tych wielkości występuje szczególnie silnie w środowiskach czytających mało lub pozorujących czytanie. Środowisko koszalińskie składa się w 20 % z analfabetów; 50 % dorosłych rolników i robotników rolnych nie ukończyło szkoły podstawowej. Opis typowej „biblioteczki domowej”: 12 książek, z tego 8 podręczników szkolnych. Resztę stanowią z reguły smętne pozostałości półprzymusowej sprzedaży książek z lat pięćdziesiątych. Krążyły wtedy po koszalińskich wsiach autobusy partyjnego kolportażu pozostawiając trwałe ślady w postaci „dziej Saint-Simona i Historii ekonomii”. Wśród 300 badanych robotników okolicznych PGR'ów co trzeci nie posiadał nawet takiej „domowej biblioteczki”, a z tych, co je posiadali, było aż 30 analfabetów...

Koszalińskie „biblioteczki domowe” są chyba typowe nie tylko dla polskiej wsi. Z okazji Roku Książki i przy wielu innych okazjach prominenci rosyjskiego ruchu wydawniczego (m.in. przed rokiem min. Kultury Furcewa) zapewniali, że w ZSSR ponad 90 % rodzin („prawie wszystkie”) posiada „biblioteczki domowe” ale chyba koszalińskiego typu. Przydatna dla właściwej oceny wyników badań czytelnictwa nie tylko w Polsce jest również koszalińska krytyka samej metody ankiet. Odpowiedzi wypadły optymistycznie — nawet półanalfabeci informowali o systematycznym czytaniu, każdy respondent poświęcał książkom co najmniej 3 godziny tygodniowo. Autorka, oceniając te dane sceptycznie, pisze o „powszechnie występujących snobistycznych aspiracjach szerokiego uczestnictwa we współczesnej kulturze”.

Podobny snobizm zanika, albo przynajmniej słabnie w społeczeństwach zachodnich o wysokim standardzie życiowym i chyba w ogóle w kręgach ludzi dobrze zarabiających. Badania wśród robotników w Bordeaux, badania czytelnictwa w Szwecji, Danii, Niemczech Zachodnich wskazują na brak jakiegokolwiek zażenowania: badani chętnie przyznają, że „wolą posiedzieć wieczorem przy telewizorze”, że rzadko sięgają do książki. Przemysłowymi sposobami starają się badający ustalić prawdę, nie obawiają się pesymistycznych wniosków. Przeciwnie, pracownicy kultury na Zachodzie wydają się zainteresowani uzyskaniem realistycznego obrazu czytelnictwa („we Francji tylko 27 % ludności czytuje książki”). Alarmistyczne oceny wyników tego typu badań sprzyjają zwiększeniu kredytów na upowszechnienie książki, zachęcają do poszukiwania wciąż nowych dróg do czytelnika nieobytego z książką, księgiarnią, biblioteką.

W Polsce, a jeszcze bardziej w ZSSR, inaczej. „Snobistyczne aspiracje”, o których pisze Wesołowska, dotyczą nie tylko robotników rolnych. Raz ukuty przez kierownictwo partyjne każdego kraju COMECON'u frazes o masowym uczestnictwie we współczesnej kulturze dopuszcza z reguły do publikacji tylko te wyniki badań, które potwierdzają głoszone tezy. Kiedy dziesięć lat temu w obszernym artykule z najbardziej oczywistą dokumentacją statystyczną (*Polityka*, 22. 7. 1964) krytycznie ocenilem opóźnienia polskiego ruchu wydawniczego, dwaj panowie W — Wilhelmi i Wittlin (Jerzy) — obrzucili mnie obelgami, zarzucając czarnowidztwo i fałszerstwo. Dopiero dziś kiedy winę za opóźnienia przerzucić można na ludzi „okresu minionego”, wolno o nich pisać i to tylko w tonie optymistycznych (i daj Boże — realnych) zapowiedzi rychłej poprawy.

Pisałem przed rokiem o trudnościach, na jakie napotykały wydawcy polscy przy szybkim powiększaniu produkcji książek. Mechanizm planowania każdego wzrostu produkcji jest bowiem w Polsce z reguły „odgórny”.

Po grudniu 1970 udało się tak „odgórnie” załatwić sprawę książki polskiej. Łatwo przemawiający do wyobraźni argument: Polska o prawie najniższej w Europie konsumpcji papieru, Polska na ostatnim miejscu wśród krajów COMECON'u w zakresie

produkcji książek na jednego mieszkańca. Obrażona (słusznie!) duma narodowa, ambicja (słuszna!) żeby kulturalnie przodować, oburzenie (łatwe i słuszne) na poprzedników, że „zaniedbali”, i wreszcie decyzja: dogonić!

Zapada uchwała, określająca jednak tylko „ramowo” (ulubiony termin biurokracji) rozmiary produkcji książek za pięć, za dziesięć, za piętnaście lat. A na zakończenie uchwały już tylko zwykła formułka końcowa: „właściwi ministrowie” zapewnią jej realizację.

Ale właśnie z reguły braknie kompleksowego zapewnienia warunków realizacji. Fachowcy polscy usiłowali bezskutecznie, używać od „właściwych ministrów” i od kogo się da środki na przygotowania podwojonej produkcji książek. Ale przy tego typu „prestżowych” uchwałach rzadko tylko można liczyć na wszechstronne przygotowanie ich wykonania. Nie było go na pewno przy uchwałach o szybkim wzroście produkcji książek.

Najłatwiej stosunkowo było zwiększyć nakłady książek. Trudności związane z właściwym doбором dzieł do wydania są jednak nadal ogromne, ale o nich za chwilę. Wydawcy zwiększyli łatwo liczbę maszynopisów: na pierwszy ogień poszły wznowienia dzieł pisarzy przed rokiem 1970 zakazanych, wzrosły nakłady innych wznowień.

Potok maszynopisów wytworzył jednak od początku 1973 zatory w drukarniach. Inwestycje w przemyśle poligraficznym opóźniały się, ale nawet inwestycje dokonane dalekie są od wykorzystania.

Pisałem już o braku w Polsce nowoczesnej centralnej hurtowni książek na wzór już nie tylko wielkich składnic w Hamburgu czy Guetersloh, ale choćby dobrze zorganizowanej i zaopatrzonej centrali księgarstwa NRD w Lipsku (LKG). Postanowienie o budowie tego typu centrali w Warszawie święci już dwudziestolecny jubileusz — co roku niemal dyskutowano na ten temat, odraczając realizację do lepszych czasów.

Tej sprawie poświęcimy jeszcze słów kilka. Chciałem bowiem rozważyć sięgające samych podstaw czytelnictwa przyczyny rozwoju lub uwiędnięcia usług hurtowni księgarskich. ZSSR na przykład obywateli w ogóle bez centralnych magazynów, a magazyny republik i lokalne nie zajmują się przechowywaniem nakładów, a jedynie ich wysyłką według „rozdzielnika”. Rynek księgarski w ZSSR jest najbardziej typowym „rynkiem producenta”, gdzie zaopatrzenie opiera się na dyrektywach centralnych, a nie na popycie.

NRD ma spośród krajów obozu wschodniego największą produkcję książek na jednego mieszkańca (6-7 egz.), uzupełnioną importem znacznej liczby wydawnictw naukowych, technicznych i popularnych z Niemiec Zachodnich. Wydawcy ponoszą tu całkowite ryzyko wyników sprzedaży. Przeważa forma dostaw do księgarń z prawem zwrotu. Rynek księgarski jest niemal w pełni rynkiem nabywcy książek: formy półprzymusowego kolportażu partyjnego stanowią jedyną próbę sterowania popytem.

NRD jest dlatego też krajem o sprawnie stosunkowo działającej centralnej składnicy hurtowej: szybko wysłała się księgarzowi zamówione książki, stosunkowo łatwo wznawia nakłady wyczerpane.

Typowym rynkiem konsumenta jest również rynek księgarski Jugosławii. Brak tam wprawdzie centralnego hurtu księgarskiego, ale sprawnie działają składy książek każdego wydawcy. Organizacja ta podobna do przedwojennej Polski, gdzie wydawcy również sami organizowali własne składy i ekspedycję książek, a centralny hurt na wzór lipskiego LKG („Dom Książki Polskiej”) nie odgrywał większej roli.

W Jugosławii najdalej posunięte są badania popytu. I tu całkowite ryzyko finansowe przejęli wydawcy, do których należą zresztą prawie wszystkie księgarnie tego kraju.

W Polsce wzmoczenie produkcji książek przekształci całkowicie rynek księgarski. Podwojenie wydatków społeczeństwa na książki jest możliwe, jeśli czytać i nabywać książki będą ci, którzy dziś książki do ręki nie biorą. A to oznacza powstanie rynku nabywcy, dostosowanie produkcji książek do istniejącego zapotrzebowania z wszystkimi konsekwencjami.

O pierwszej konsekwencji właśnie mówimy: musi powstać na zupełnie nowych zasadach sprawnie funkcjonujący, nowoczesny system wykonywania każdego zamówienia księgarskiego. Hurt księgarski musi być tak zaopatrzony i zorganizowany, by czytelnik mógł — jak na Zachodzie — kupić każdą potrzebną mu książkę, otrzymać ją w ciągu kilku dni, jeśli jej chwilowo zabrakło, być pewnym wznowienia w niewiele tygodni po wyczerpaniu nakładu.

Polska jest jeszcze ciągle krajem księgarń, w których czytelnik w pogoni za trudną do zdobycia książką uzyskuje odpowiedź: „Nie ma”. „Kiedy będzie?”. „Nie wiem”. „Jak się dowiedzieć?”. „Niech pan zachodzi, będzie — to sprzedamy”. Sytuacja jak w dowcipie moskiewskich księgarzy: Kiedy w największej księgarni Moskwy „Dom knigi” zainstalowano w foyer automat telewizyjny, z ekranu którego bibliograf udzielał informacji o potrzebnej czytelnikowi książce, zaproponowano usprawnienie: automatyczna odpowiedź: *niet, kogda budiet — niezwiestno*; lub w starym dowcipie o sprzedawcy po kursach uprzejmości w sklepie z nabiałem. Klient pyta czy jest mięso; sprzedawca: „Bardzo pana przepraszam, u nas nie ma masła, mięsa nie ma na przeciwko”.

Ale oczywiście najważniejszą konsekwencją powstania księgarskiego rynku „konsumenta” jest kształtowanie programu wydawniczego zgodne z potrzebami czytelnika i rozwojem kulturalnym kraju. Trudno tu o wnioski optymistyczne. Książki wartościowe, poszukiwane wciąż jeszcze, drukowane są w nakładach niewystarczających i sprzedawane „spod lady”. Można by tu się powołać na znawcę zagadnienia, Stanisława Siekierskiego (*Nowe książki*, nr 2, 1974). Oto jak charakteryzuje on plany wydawców na rok 1974: humanistyka — tomy cennych serii PIW, „Bibliote-

ka Myśli Współczesnej" i „Polemiki” ukazują się rzadko i w niedostatecznych nakładach; „Omega” — odstępuje od swych dobrych tradycji, ogranicza się do medycyny i biologii, „adresatem zostaje w końcu elita o wyższym wykształceniu”; kształcenie estetyczne — piękne, kosztowne albumy na eksport — „piękne świadectwo na zewnątrz”; dla kraju brak rzeczywistej popularyzacji sztuki; ekonomia — zastój; właśnie teraz, gdy „ludzie zaczęli i chcą liczyć” brak rzetelnej literatury fachowej; literatura dla dzieci — „utknęliśmy w jakimś martwym punkcie”, „uderza ogromna ilość wznowień”; jest to literatura w jakimś sensie przebrzmiała, zarówno w swojej warstwie językowej, jak i w prezentowanej problematyce”; literatura współczesna — „każda większa oficyna przyozdobiła znakomitymi nazwiskami szereg pozycji literatury poprawnej, nijakiej, bezproblemowej (przede wszystkim dla wydawców)”.

Siekierski kończy swoje uwagi pytaniem: „Czy szarość i nijałość wypływa tylko z asekurantwa wydawców — jak twierdzą niektórzy krytycy — czy też przyczyny tkwią głębiej?”.

Pytanie trafne, odpowiedź na nie — zwłaszcza w kraju — trudna. Przyczyny tkwią oczywiście głębiej. Od ich rozpoznania i usunięcia zależy powodzenie wielkiej, ważnej kampanii rzeczywistego upowszechnienia wartościowej książki w Polsce. Ci co się trudzą na „niwie kultury” doskonale znają zarówno te głębsze przyczyny jak również wciąż jeszcze groźne (dla samego wydawcy) skutki zwalczania redakcyjnego asekurantwa. Mówiąc eżopowym językiem Orzeszkowej — wesołej na ogół teorii towarzyszyć musi odrobinę choćby wesołsza, bardziej liberalna praktyka.

Adam BROMBERG

Uppsala, w kwietniu 1974

Z teki informacyjnej

Samochód mego wnuka (i dziadka)

Kryzys energetyczny którego wyjaskrawiony aktualizm — ale nie przyczynę — spowodowały polityczne posunięcia arabskich posiadaczy źródeł oleju skalnego, nie zdoła odebrać współczesnemu człowiekowi jego osobistych środków transportu — tego instrumentu i owocu wolności gospodarczej, choć musi przyspieszyć zmiany jego technicznych postaci. Mówiąc o osobistych środkach transportu mamy zresztą na myśli nie tylko samochody osobowe i małe wozy ciężarowe, ale także traktory i inne samochodowe maszyny rolnicze, ogrodnicze i sadownicze.

Sama zasada przekształcania się środków transportu osobistego bynajmniej nie jest nowością. Transport ten przekształca się i dostosowuje do warunków gospodarczych, technicznych i społecznych nieustannie i znacznie szybciej niżby się to na pierwszy pobieżny rzut oka mogło wydawać. Wcale duży zakres tych zmian można by objąć nawet zacieśniając zakres spojrzenia na to zagadnienie do bardzo skromnego przeciągu czasu: od mego dziadka do mego wnuka.

Naturalnie, mój dziadek samochodem nie jeździł, ale osiągnąwszy pewien poziom wolności ekonomicznej, „trzymał” konie, mimo że nie był ziemianinem, a mieszkał i pracował w mieście. Do tych koni musiał, oczywiście, „mieć człowieka”, który w wolnych chwilach zajmował się także ogrodem i innymi gospodarskimi pracami przy domu, ale zasadniczo opiekował się końmi, powozem i uprzężą, „zakładał” konie i powoził, gdy dziadkowie udawali się w odwiedziny do znajomych w innej części miasta, lub do krewnych na wieś, albo po prostu na przejażdżkę, czy w niedzielę do kościoła. Do pracy dziadek zwykle chodził piechotą, mając nie więcej niż kilkanaście minut spaceru z domu do biura. Ale osobisty środek transportu chciał mieć zawsze „na zawołanie”. Jak coraz większa liczba ludzi w dzisiejszych czasach.

Samochodami dziadek interesował się, może głównie z racji swego wykształcenia i zawodu. Był on inżynierem i kierownikiem dużego warsztatu mechanicznego pierwszej w Polsce (w tzw. Kongresówce) kolei żelaznej, tj. Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Warsztat ten, wraz z głównym „depo” lokomotyw i wagonów, mający nie tylko zakłady reperacyjne z obrabiarkami, kuźnią i odlewnią żelaza, ale także i spore biuro konstruktorskie, znajdował się mniej więcej w połowie długości całej linii, w pobliżu ówczesnej granicy rosyjsko-austriackiej, tj. w Częstochowie. Cały ten kompleks działalności, poza administracją handlowej eksploatacji linii, stanowił królestwo mojego dziadka. (Naturalnie, mowa tu o czasach sprzed początku bieżącego stulecia).

Swego dziadka nie znam osobiście. Umarł on (w wyniku wypadku kolejowego) jeszcze przed „moim czasem”. Ale wiem o nim dużo nie tylko z opowiadań babki, która dożyła sędziwego wieku, ale i z papierów, rysunków i innych materiałów, które po nim zostały, a które babka mnie przekazała.

Z pism technicznych, jakie dziadek zbierał i opatrywał licznymi uwagami marginesowymi, widać było że specjalnie interesował się technicznymi szczegółami motoru spalinowego, jaki dr Nikolaus August Otto właśnie w owym czasie (rok 1876) opatentował i starał się popularyzować. Dziadek szczegółowo opisywał także, rysował i fachowo omawiał pierwsze modele samochodu jakie mu demonstrował w Wiedniu (gdzie często bywał w związku z potrzebami kolei) ich wynalazca i konstruktor Siegfried Markus. Według opinii dziadka modele te, choć funkcjonujące, stanowiły raczej zabawkę i nie nadawały się do praktycznych celów. (To znaczy modele z lat 1875-77, bo w kilkanaście lat później samochody Markusa dojrzały technicznie i jakoby były w użyciu).

Zgromadził też dziadek sporo rycin i opisów, zarówno patentowych jak sprawozdawczych, samochodów parowych, jakie wtedy różni wynalazcy konstruowali i propagowali we Francji (Amédée Bolle), w Anglii (Walter Hancock) i w Ameryce (Sylvester Howard Roper), ale mimo że sam był inżynierem kolejowym, a więc właśnie dobrze obznajmionym z zagadnieniem stosowania pary do silników (a może właśnie dlatego?), wyrażał sceptycyzm co do powodzenia samochodów parowych.

Sam próbował konstruować silnik, który mógł nadawać się do samochodu. Zostawił wiele rysunków kompletnych, a także rysunków technicznych poszczególnych części, najwidoczniej przeznaczonych dla rzemieślników swego zakładu, bowiem silnik ten powoli budowano w warsztacie kolejowym, ale bodaj że pracy nie dokończono. Miał to być silnik przeznaczony dla zmotoryzowanej drezyny kolejowej. Nie wzorował się on na modelach współczesnych wynalazców (Lenoir, Otto, Londen, Markus, Daimler, Benz) to znaczy nie był to silnik spalinowy. Był rodzajem hybrydu, w którym żywa para wodna o zamkniętym obiegu, służyła nie do poruszania tłoka, ale tylko do ogrzewania odpowiednich komór silnika takiego typu, jaki już w 1816 roku wy-

nalazł i opisał szkocki pastor, Robert Stirling. Silnik taki, nazywany wtedy „motorem cieplnym” był, z dużym powodzeniem, przez wiele lat i dość szeroko, stosowany jako silnik statyczny w różnych zakładach mechanicznych, prawie wyłącznie na terenie Szkocji i Anglii. Wydajność takiego silnika zależy jednak w dużej mierze od dokładności obróbki i precyzji w wykonaniu jego części. W owych czasach były to wymagania techniczne trudne do uzyskania, toteż silniki Stirlinga, wykonane ślusarską techniką ubiegłego stulecia przeważnie nie były ekonomiczne i łatwo uległy konkurencji silników cyklu Otto, to jest spalania wewnętrznego, które pracują sprawniej nawet jeżeli są wykonane mniej precyzyjnie (i mimo że ich sprawność, tj. wykorzystanie energii zawartej w paliwie tylko w najlepszych wypadkach sięga 20 %).

Warto jednak zanotować, że silnik Stirlinga, po upływie więcej niż półtora wieku, wciąż nie jest zarzucony. Przeciwnie, obecnie okazuje nowy okres żywotności. Już od paru dziesiątków lat wrócił do użytku w odwróconej funkcji, to jest nie jako silnik pobierający energię cieplną i wytwarzający energię mechaniczną, ale odwrotnie, jako urządzenie pobierające energię mechaniczną i oddzielające energię cieplną od materiału, który ją posiadał. Inaczej mówiąc jako maszyna chłodnicza o wielkiej sprawności. Szybkie i łatwe skraplanie gazów, nie tylko powietrza, ale i tak trudnych gazów jak wodór i hel, możliwe jest dziś w skali przemysłowej dzięki maszynom, które są silnikami Stirlinga o odwróconym cyklu.

Ostatnio, bardzo intensywnie, choć bez większego rozgłosu prasowego, prowadzone są prace nad rozwojem silnika Stirlinga w Ameryce, zarówno na poziomie teoretycznym (uniwersyteckie wydziały mechaniczne) jak i przemysłowym (Ford łącznie z Philipsem). System Stirlinga daje się stosować w różnych typach rozwiązań technicznych. Są już modele (pracujące) mające cylindry z tłokami o ruchu posuwisto-zwrotnym, jak w zwykłych silnikach spalinowych, ale są też modele typu Wankela z rotacyjnym ruchem ekscentrycznego „tłoka”. Poza tym, ponieważ energia cieplna jest w cyklu Stirlinga wytwarzana na zewnątrz cylindrów i nie w postaci wybuchu, przeto istnieje wielka swoboda w zakresie materiałów pędnych, a przy tym silnik nie wytwarza gazów zanieczyszczających atmosferę.

Istnieje nawet typ takiego silnika (nie do samochodu) w którym źródłem ciepła jest izotop kobaltu (tj. ^{60}Co), materiał odpadkowy z siłowni atomowych. Raz załadowany, taki silnik może funkcjonować bez przerwy i prawie bez dozoru przez kilka lat.

Nowoczesna technika metalurgiczna i nowoczesne metody obróbki mechanicznej pozwalają dziś budować silniki cyklu Stirlinga o wydajności przewyższającej nowoczesne silniki spalinowe, choć naturalnie, koszt produkcji takiego silnika wciąż jeszcze przewyższa koszt zwykłego silnika samochodowego. Ponieważ jednak długotrwałość okresu pracy silnika znacznie przewyższa „długość życia” silnika spalinowego, a wraz z wzrostem cen paliwa eksploa-

tacja staje się tańsza, przeto w ciągu najbliższego dziesięciolecia silnik Stirlinga może się okazać bardzo atrakcyjny ekonomicznie.

Silniki parowe, które „entuzjaści” pary wciąż od czasu do czasu próbują lansować nie zdają się na serio wchodzić w rachubę. Sam silnik jest znacznie kosztowniejszy w produkcji, wykorzystanie energii zawartej w paliwie jeszcze mniej sprawne niż w silniku spalinowym, a obsługa i utrzymanie silnika parowego jest dużo bardziej skomplikowane i trudne, wymagając znacznie większych umiejętności technicznych, niż te jakie posiada dziś przeciętny użytkownik samochodu.

W przeciwieństwie do silników Stirlinga, szerokie zainteresowanie opinii publicznej od dawna wzbudza zagadnienie samochodów elektrycznych, jako ideału transportu prywatnego. Silnik elektryczny, sprawny, trwały, łatwy do obsługi, cichy, ekologicznie „czysty”, nie potrzebujący w samochodzie skrzynki biegów i skomplikowanych przekładni, idealny do automatyzowania — wydaje się doskonałym rozwiązaniem. Niestety, ten ideał jest nierozłącznie związany z zagadnieniem zapasu „paliwa”. W przypadku silnika elektrycznego zasób energii pędnej stanowi problem skomplikowany, z którego trudnościami technika boryka się od lat bez większego powodzenia. Mimo to samochód elektryczny nie jest tylko marzeniem ekologicznie nastawionych publicystów. Istnieje i używany jest od dość dawna. Na drogach publicznych Wielkiej Brytanii kursuje stale ponad 50 tysięcy samochodów elektrycznych. Choć nie stanowi to wielkiego procentu ogólnej liczby samochodów, to jednak po latach praktycznego stosowania daje bardzo poważne podstawy do realnych wniosków i przewidywań.

Samochody elektryczne o których mowa, to są niemal wyłącznie wozy mleczarskie dostarczające butelkowane mleko do milionów prywatnych mieszkań na całej wyspie Wielkiej Brytanii. Dostawca mleka odbywa podróż złożoną z dużej liczby krótkich przejazdów i krótkich postojów. Nie potrzebuje on znaczniejszych szybkości, cała praca samochodu ogranicza się do kilku godzin na dobę, oraz rozpoczyna się i kończy w tym samym miejscu zagarażowania wozu. Dla takiego celu i rodzaju eksploatacji samochód elektryczny z zapasem energii w postaci akumulatorów ołowianych nadaje się zupełnie dobrze.

Równie dobrze nadaje się silnik elektryczny w połączeniu z baterią akumulatorów do drugiego, jeszcze liczniejszego rodzaju pojazdów, jakimi są wózki transportowe i ruchome dźwigi używane w zakładach fabrycznych i magazynach. Tu także mamy stosunkowo krótkie przejazdy bez oddalania się od miejsca garażowania. Akumulatory pojazdów mogą być zasilane w sposób najpraktyczniejszy, tj. powoli, w ciągu wielu godzin, prądem o małym natężeniu i w okresie zredukowanej ceny elektryczności.

Dla samochodu prywatnego silnik elektryczny z baterią akumulatorów jest znacznie mniej atrakcyjny. Samochód prywatny winien być zdolny do dalszych podróży i większych szybkości,

do obywania się bez noclegów we własnym garażu i do szybkiego odnawiania zapasów energii. Typ samochodu, który by był zdolny zapewnić 4-5-osobowej rodzinie dostatecznie wygodną podróż na odległość choćby tylko 200-250 km z szybkością 60-100km/godz. stosujący baterię akumulatorów ołowianych czy niklowo-żelaznych (jedyne jakie dotychczas istnieją w postaci technologicznie rozwiniętej i gotowej do praktycznego użytku) musiałby zabierać baterię ogólnej wagi około 1000 kg. Stanowiłoby to podwojenie martwej wagi samochodu i poważne zwiększenie kosztu tak inwestycji, jak eksploatacji, jako że okres życia akumulatorów nie przekracza trzech lat. Nie mówiąc już o tym, że gdyby tylko 10% samochodów kursujących dziś na drogach świata miało przestawić się na system baterii, to nie wystarczyłoby na to światowych zapasów ołowiu.

Poza tym jednak pozostaje zagadnienie ładowania akumulatorów w podróży co każde 200 km. Można z grubsza obliczyć, że na to aby samochód odpowiadał wyżej przedstawionym, raczej skromnym wymaganiom, jego bateria musi akumulować co najmniej 30 kW/h. energii. Aby baterię takiej pojemności po wyczerpaniu naładować, choćby nawet w ciągu 15 minut (co jest dziesięć razy dłużej niż trwa dziś uzupełnienie benzyny) to trzeba byłoby pobierać prąd elektryczny (stały!) o mocy około tysiąca kilowatów. Oczywiście, technicznie zagadnienie jest rozwiązywalne, ale wymagałoby ogromnych inwestycji kapitałowych aby do przydrożnych garaży doprowadzić sieć elektryczną zdolną dostarczyć prąd o tak wielkiej mocy, a w samych garażach zainstalować urządzenia zapewniające obsługę i bezpieczeństwo tak pracownikom jak klientom. Trzeba bowiem pamiętać że byłby to prąd elektryczny o mocy znacznie przewyższającej ten, jaki był używany przez kata dla fotelu elektrycznego w Sing-Sing.

Samochód elektryczny może stosować nie akumulatory, lecz baterie siłowe, wytwarzające prąd drogą katalizowania reakcji chemicznych i mogące stosować różne rodzaje „paliwa” tak płynnego jak gazowego (zasadniczo pochodne wodoru). Wprawdzie dotychczas mimo dziesięcioletnich kosztownych prac laboratoryjnych nie ma jeszcze takiej baterii siłowej, która dałaby się stosować w praktyce i produkować masowo, ale możliwości w tym zakresie wciąż wydają się realne. Prace doświadczone prowadzone są obecnie w laboratoriach wielkich zakładów przemysłowych (np. Goulton, Ford, General Dynamics, Toyo Kogyo i in.) w związku z czym wyniki otoczone są tajemnicą. Trudno też zorientować się w jakim stopniu realne są zapowiedzi, że w ciągu 10 lat pojawią się już modele samochodów z takimi bateriami.

Najnowszy pomysł źródła energii elektrycznej dla samochodu związany jest z wynalazkiem generatora termoelektrycznego, jakiego miał dokonać Szwed Baltazar von Platen. Komórki termoelektryczne znane są od dawna i stosowane w praktyce jako np. termometry (tzw. para termoelektryczna). Jednak sprawność przetwarzania energii cieplnej w elektryczną jest tak niska, że

o praktycznych zastosowaniach dla otrzymywania znacznie większych ilości elektryczności nie może być mowy. Sprawność wynosi ułamek jednego procent. Wynalazek Platena stanowił mały „przełom” techniczny dając sprawność przetwarzania energii tego samego rzędu co np. w silniku parowym. Szczegóły wynalazku pozostają tajemnicą (nie ma nawet opisu patentowego), ale można uważać za znaczący fakt, że opracowanie techniczne wynalazku jest jakoby podjęte i finansowane przez fabrykę samochodów Volvo.

Możliwości samochodu elektrycznego na tym się nie wyczerpują. Poza akumulowaniem prądu lub wytwarzaniem go elektrolitycznie czy termoelektrycznie możliwe jest akumulowanie energii mechanicznej dla poruszania zwykłego dynamo. Nowoczesne koła zasobnikowe (dawniej nazywane „zamachowe”) doprowadzone są dziś do takiego stopnia doskonałości technicznej, że można w nich gromadzić zapasy energii większe niż w akumulatorach ołowianych tej samej wagi. Koła wykonane są z włókien wysokiej wytrzymałości, jak szklane, węglowe, krzemionkowe itp. w masie plastikowej (epoksyda). Materiał taki jest nie tylko znacznie lżejszy od stali (20-30% wagi stali) ale równocześnie ma wytrzymałość na rozciąganie dużo większą niż najlepsze stale stopowe, oraz łatwiej daje się precyzyjnie fabrykować w dość skomplikowany profil koła, które musi mieć bardzo równomierny rozkład wewnętrznych naprężeń, wywołanych siłą odśrodkową, oraz być tak zrównoważone aby nie powodować wibracji.

Eksperymentalny mechanizm tego rodzaju zawiera plastikowe koło zasobnikowe sprzężone z dynamo, osadzone w kombinowanych łożyskach (jedno, górne jest samosmarownym łożyskiem kulkowym, dwa pozostałe są łożyska magnetyczno-lewitacyjne), zamknięte w hermetycznej kamerze próżniowej, ma łączną wagę około 200 kg i akumuluje 30 kW/h energii, co w opisanym poprzednio samochodzie wystarczy na 250 do 300 km, jako że w tym typie samochodu można z powodzeniem stosować tzw. regeneracyjne hamowanie, co znaczy że każde wstrzymanie ruchu samochodu generuje elektryczność, która dodaje energię do koła zasobnikowego. Takie koła zasobnikowe ma szybkość około 60 obrotów na sekundę, a jeżeli się zeń nie pobiera energii, to naładowane będzie w ciągu 7 do 10 miesięcy!

Autobusy o napędzie elektrycznym z podobnymi zasobnikami energii mechanicznej są obecnie wprowadzane w użycie w San Francisco.

Można nie wątpić, że w ciągu najbliższych dziesięcioleci samochody elektryczne najróżniejszych typów wejdą w użycie w szerokiej skali, choć z całą pewnością nie usuną z rynku silników spalinowych, które są sprawne i doprowadzone do dużej doskonałości technicznej i stosunkowo tanie w produkcji. Poza tym jednak, co ważniejsze, obecny przemysł samochodowy stanowi bardzo wielką inwestycję kapitałów, maszyn i technologii, zatrudniając w każdym z przemysłowo rozwiniętych krajów wielką

ilość wykwalifikowanych i półwykwalifikowanych sił pracowniczych, jak również gospodarczo poważną masę przemysłów pomocniczych. Szybkie likwidowanie czy załamanie się takiej gałęzi gospodarki narodowej musiałyby wywołać nieobliczalne szkody ekonomiczne. Żadna społeczność nie może dopuścić do takiej katastrofy, tym bardziej że samochód z silnikiem spalinowym bynajmniej nie jest jeszcze technicznym bankrutem, ani nie stanie się nim w przewidywalnej przyszłości. Jakkolwiek wiele nowych typów pojazdów mechanicznych zostanie stworzonych, to będą one wchodzić w życie stopniowo i powoli. To znaczy w ciągu nie lat, ale dziesięcioleci, toteż mój wnuk, kupując samochód na początku przyszłego stulecia będzie miał do wyboru na pewno także wiele modeli z silnikami spalinowymi.

Nie znaczy to, naturalnie, że silniki te będą wciąż napędzane produktami dystalacji oleju skalnego. Olej skalny jest niezbędnym materiałem wyjściowym dla wielkiej liczby produktów przemysłu petrochemicznego — od lekarstw, farb, barwników, klejów, po materiały plastikowe i sztuczne włókna. Jego wartość, a więc i cena, bardzo niedługo uczyni go nieekonomicznym jako paliwo. Tak samo jak nieekonomicznym jako paliwo stało się drewno. Ale silnik spalinowy nie musi używać benzyny. Bardzo nieznaczne modyfikacje, nie wymagające większych zmian w istniejących fabrykach przemysłu samochodowego, pozwolą stosować inne paliwa.

Duże zainteresowanie „futurolologicznej” opinii wywoływało zagadnienie wodoru. Amerykański przemysł związany z technologią satelitów (komunikacyjnych, obserwacyjnych itd.) oraz lotów międzyplanetarnych doprowadził między innymi „odpryskami” techniki do udoskonalenia i rozwinięcia metod wytwarzania i operowania wielkimi masami skroplonych gazów — tlenu i wodoru. Teoretyczne obliczenia wykazują, że samochód o konstrukcji niemal identycznej z obecnym a stosujący jako paliwo skroplony wodór i tlen, byłby bardzo zbliżony do ideału ekologów, wydzielając z rury wydechowej tylko parę dystalowanej wody*. (Samochód używający powietrza do palenia skroplonego wodoru wydelałby różne kłopotliwe związki azotu, niektóre z nich trujące, a nadto byłby mniej sprawny).

Trudności jednak polegają nie tylko na tym, że dla wytworzenia i skroplenia tych gazów trzeba użyć sporo więcej elektryczności niżby jej było potrzeba na bezpośrednie poruszanie samochodu. Sytuacja taka mogłaby być nawet gospodarczo opłacalna gdyby istniały poważne źródła taniej energii elektrycznej, a produkcję skroplonego wodoru wraz z jego transportem okazałyby się tańsze i wygodniejsze niż prowadzenie sieci kabli elektrycznych i ich konserwacja. Tymczasem jednak wodór, produkowany czy to drogą elektrolizy, czy też katalitycznych reakcji

* Niezupełnie tylko gdyż wytwarza się przy tym także pewna ilość nadtlenu wodoru (woda utleniona), który łączy się chemicznie z wieloma substancjami wytwarzając związki trujące.

chemicznych (co nawet może być tańsze od elektrolizy) nie mógłby konkurować z innymi możliwymi rodzajami paliwa samochodowego. Nie mówiąc już o tym, że wodór jest substancją, szczególnie w postaci skroplonej, dość kapryśną, a w połączeniu z tlenem wymagającą wielkiej umiejętności i ostrożności w obchodzeniu się z nią. Wysokooktanowa benzyna jest co prawda także materiałem wybuchowym, a prąd elektryczny który miałby napędzać samochód niewiele różniłby się w skutkach nieostrożności od zwykłego pioruna, ale w razie katastrofy samochodu, z czym trudno się nie liczyć, rozbite zbiorniki ze skroplonym wodorem i tlenem stanowiłyby ryzyko tysiąckroć większe niż rozbity bak z benzyną, lub bateria akumulatorów.

Poza tym kryogeniczne zbiorniki na skroplony wodór i tlen to są urządzenia dość kosztowne. Nawet w najkorzystniejszych okolicznościach koszt samych zbiorników byłby tego samego rzędu co koszt całej reszty samochodu. Gdyby zaś stosować wodór sprężony, to nowoczesne „lekkie” cylindry wysokiego ciśnienia ważyć by musiały około 750 kg (wciąż w samochodzie takiej jak wspomniana poprzednio specyfikacja). Można też akumulować wodór w formie absorbowanej w substancji stałej (podobnie jak dziś acetylen). Hydraty niektórych metali wchłaniają ogromne ilości wodoru, np. 5 metrów sześciennych na kilogram materiału. Ale 30 m³ wodoru ma wartość kaloryczną jednego litra benzyny. Co znaczy że samochód musiałby zabierać około 200 kg. hydratu metalu, którego cena dziś wynosi ponad 40 dolarów za kilo.

Toteż mimo entuzjazmu ekologów techniczne próby stosowania wodoru do silnika samochodowego nigdzie nie są prowadzone. Głównym faworytem techniki na zastępcze paliwo jest metanol, albo któryś z jego licznych pochodnych. Nie jest to paliwo kopalne i jego stosunkowo niekosztowna produkcja, drogą syntezy chemicznej, procesów biochemicznych itd. może trwać wszędzie, gdzie rośliny prowadzą proces fotosyntezy. Zapewnia on łatwość przestawienia się przemysłu samochodowego, nie tylko w zakresie produkcji, ale także i obsługi. Jest to tak samo płyn, wprawdzie o połowie wartości kalorycznej wysokooktanowej benzyny, ale nawet jeżeli ten punkt nie da się tanio poprawić chemicznie, to wymagać on będzie tylko częstszego napełniania tanku, lub wbudowania tanku większej pojemności. Użyte mogą być te same istniejące pompy garażowe, ta sama metoda obsługi, dostaw, itp.

Innym paliwem, odpowiednim do zastosowania bez nadmiernych wstrząsów gospodarczych, jest gaz. Może to być odpadkowy gaz z przeróbki petrochemicznej oleju skalnego, a więc butan, propan czy ich mieszanka (znane dziś jako Calor-gas, czy Camping-gas). Może być gaz naturalny, ale przede wszystkim metan (gaz „błotny”), którego produkcja jest nie tylko łatwa, ale jedna z jej wielu metod może przyczynić się do rozwiązania poważnej bolączki nowoczesnej ekologii, używając odpadki i ścieki miejskie (i farmerskie) jako doskonały surowiec do wyrobu metanu.

Dzisiejsze zakłady oczyszczania ścieków bez wielkiego trudu mogą się przekształcać w fabryki metanu. Zresztą już dziś istnieją np. w Wielkiej Brytanii niektóre takie zakłady produkujące metan, obecnie stosowany do ogrzewania.

Tak więc mogą się spodziewać że mój wnuk, jeżeli będzie chciał mieć samochód na dłuższe przejazdy wakacyjne, czy też na regularne podróże związane ze swym zawodem, to będzie miał do wyboru na pewno kilka typów samochodów: samochody spalinowe, oraz z silnikami Stirlinga, na paliwo płynne lub gazowe, a na podróże krótsze, „dojazdowe” samochody elektryczne najrozmaitszych typów. Będzie on kupował materiały pędne w takich samych garażach przydrożnych jak ja, choć pewnie będą w nich do wyboru — zamiast rozmaitych oktanowych gatunków benzyny — różne rodzaje paliwa: płynne, gazowe w wymiennych butlach, a może też kontakty elektryczne.

J. P. HORZELSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

„ARCHIPELAG GULAG”

ALEKSANDRA SOLŻENICYN

ukazę się w języku polskim nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu w przekładzie Michała Kaniowskiego, który uprzednio przetłumaczył dla Instytutu „Krań pierwszy” tegoż autora.

Przewidziany termin ukazania się książki: czerwiec bież. roku.

Ze względu na bardzo wysoki koszt tłumaczenia i wydania książki, która będzie liczyła około 600 stron, prosimy o najszybsze nadsyłanie zamówień, co pozwoli nam na ustalenie, wysokości nakładu. Biorąc pod uwagę wielkie zainteresowanie „Archipelagiem Gulag” normalny nakład może być bardzo szybko wyczerpany.

Cena „Archipelagu Gulag” ustalona jest orientacyjnie na F. 50 (\$ 11) lub równowartość w innych walutach. Gdyby — ze względu na ciągle rosnące ceny papieru i druku oraz wahania walutowe cena sprzedażna „Archipelagu”, po jego ukazaniu się, musiała być wyższa — ewentualna podwyżka nie będzie dotyczyła tych, którzy książkę zamówią wcześniej.

Zamówienia należy kierować do administracji Instytutu Literackiego (91, Avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi, par 78600-Maisons-Laffitte) lub do przedstawicieli.

Instytut Literacki wydał poprzednio następujące książki A. Solżenicyna:

„Krań pierwszy” t. I/II (F. 60,00, \$ 12,50),

„Oddział chorych na raka” (F. 40,00, \$ 8,50).

Ponadto w antologii współczesnej literatury sowieckiej pt. „We własnych oczach” ukazała się nowela A. Solżenicyna „Zagroda Matryony” w przekładzie J. Łobodowskiego, zaś w *Kulturze*: z lipca-sierpnia 1963 — opowiadanie pt. „Zdarzenie na stacji Kreczetowka”; z listopada 1970 — „Wiernsze prozą” w przekładzie I. Szenfelda; z kwietnia 1971 „Procesja wielkanocna” w przekładzie M. Kaniowskiego.

Prosimy o zgłaszanie zamówień na adres Instytutu wraz z wpłatami, które należy przesyłać bądź czekami, bądź pocztą wpłacając bezpośrednio na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE
91, AVENUE DE POISSY,
LE-MESNIL-LE-ROI
78600-MAISONS-LAFFITTE.

(Nr konta):

C.C.P. PARIS 18 228-38.

Prosimy Czytelników z *Kanady* o przysyłanie czeków bankowych we frankach, możliwie płatnych w Paryżu, gdyż inkaso czeków w dolarach kanadyjskich płatnych w Kanadzie kosztuje około 2ch dolarów.

Książki

Tam gdzie rosną poziomki - i gdzie pieprz rośnie...

Mediewista Marc Bloch w swym znakomitym eseju mówiącym o fachu historyka, pisząc o źródłach jakimi ten posługuje się dla odtworzenia przeszłości nadmienia w jednym miejscu o bullach papieskich, przechowywanych w skarbcach klasztor-nych. Te archiwa były przez stulecia niedostępne dla historyków, były prywatnymi zbiorami dokumentów, tak jak dzisiaj papiery i akty, na przykład Banku Francuskiego albo Standard Oil Company, nie są dla postronnych dostępne. Bulle papieskie przechowywane były po to może, by dać je do powąchania jakiemuś mieszającemu się w sprawy opactwa biskupowi.

Wielka liczba tych starych bull papieskich, mówi nam Marc Bloch, była falsyfikatami. Mówi to samo Witold Taszycki o najciekawszym i najcenniejszym, poprzedzającym Kazania Świętokrzyskie czy Księgę Henrykowską zabytku języka polskiego jakim jest bulla protekcyjna z roku 1136, biorąca w opiekę stolicy apostolskiej uposażenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, wystawiona przez papieża Innocentego II. Według najnowszych badań historycznych „bull gnieźnieńska” jest również falsyfikatem. Ale za podstawę służyła jej na pewno jakaś autentyczna. Jest dla badaczy dawnego języka polskiego w dalszym ciągu ważnym zabytkiem z pierwszej połowy wieku XII, nazywają ją, a jakżeby, „złotą bullą piśmiennictwa polskiego”, bo pisana wprawdzie po łacinie obejmuje około czterysta po raz pierwszy zapisanych polskich nazw i imion miejscowych i osobowych, dających dzisiaj wyobrażenie o dawnej polskiej mowie.

Tenże Marc Bloch pisze, że dopiero Rewolucja Francuska, konfiskując dobra Opactwa St.-Denis sprawiła, aby przechowywane tam przez tysiąc lat nadania i przywileje Merowingów udostępnić w Narodowym Archiwum Francji. Jako zamiłowany

fachowiec wdzięczny jest za to brutalnej, zdawałoby się, ale szczególnie sprzyjającej historykom, dobrej — jak nazywa ją — bogini katastrofy.

Ta sama Dobra Bogini Katastrofy zachowała i udostępniła nam dzisiaj inne, najobszerniejsze źródło późniejszej średniowiecznej polszczyzny, Biblię Królowej Zofii czyli tak zwaną Biblię Szaroszpatacką, ocaloną może z księgozbiorów Leszczyńskich, uniesioną w czasie najazdu szwedzkiego z pogromu gniazda innowierców jakim było Leszno na Węgry, gdzieś nad Tiszę, gdzie w Szarosz Patak, w bibliotece tamtejszego Reformowanego Gimnazjum, przetrwała do dzisiaj. Dzięki tej samej katastrofie w Uppsali znalazły się cenne, rzadkie książki polskie z wieku XVI, XVII i XVIII, wywiezione tam z innymi narabowanymi przez zbójce wojska szwedzkie dobrami.

Dzisiejsza interwencja Dobrej Bogini Katastrofy pozwala teraz oglądać niedostępne kiedyś księgozbiory, biblioteki, archiwa, papiery, dokumenty zamków, pałaców, dworów, klasztorów, parafii, ratuszów, kahałów, cechów, urzędów, akademii, szkół, towarzystw, klubów, domów i chałup, przechowywane kiedyś troskliwie za szkłem szaf bibliotecznych, w skarbcach pod sklepiszczami budowli, albo zapomniane, zwalone po lamusach, piwnicach, poddaszach, strychach, nyżach, kufrach, na półkach z konfiturami, w szufladach starych mebli, w skrzyniach chłopskich i wetknięte za ramy świętych obrazów, papiery, papierzyska, książki, zmiecione po katastrofie na kupę, pobutwiałe i pojedzone przez pleśń, pogryzione przez szczury, podziurawione przez mole książkowe, pozgartywane z dworów, cerkwi, zakrystii, bóżnic, annały, genealogie, chronologie, kopiariusze, munimenty, intercyzy, heraldiuse, liber chamorum, manifesty, obdukcje, przywileje, nadania, zapisy, dożywocia, protesty, roki sądowe, kwerele, *silva rerum*, nakazy, pozwy (którymi podbijało się delie), wyciągi z ksiąg metrykalnych (jak ten z parafii w Bołciennikach mówiący o tym, że nowonarodzone dzieci oficjalisty dworskiego trzymali do chrztu „... Adam Mickiewicz, nauczyciel, i Marya Puttkamer, hrabinia...”), legacje, listy rekomendujące, oekonomie ziemiańskie, katalogi, roczniki, diariusze, albumy, sztambuchy, pamiątniki, świadectwa, zeznania, przysięgi, protokoły, ugody polubowne, zobowiązania i upomnienia, cyrografy (których by na wołowej skórze nie spisał), listy płac, dzienniki podawcze, kosztorysy, kolaudacje, cyrkularze, currendy, rachunki, bankocetle, ceduły, listy frachtowe, kolumny giełdowego agio, kontrakty, kwity, weksle, potwierdzenia, testamenty i kodycyle do nich, patenty oficerskie, rozkazy dzienne i *ordre de bataille*, dowody nadań odznaczeń i dekoracji wojskowych, nobilitacje, matrykulacje, świadectwa dojrzałości i świadectwa ubóstwa dla zwolnienia od czesnego, spra-

wozdania z uroczystości i akademii, programy szkół, dzienniki klasowe, tezy doktorskie, *tableau* maturalne, laurki, recepty lekarzkie (z hieroglifami skrótów łacińskich „x.s.p.p. — *expedicio simplex — pro pauperum*”), legitymacje, dowody osobiste, przepustki, paszporty, rekwizycje, bumagi, „*ausweisy*”, uprawnienia, delegacje, kalendarze, śpiewniki, nuty, zbiory cytat, przysłów, pieśni ludowych, bajek, roczniki oprawne „Bluszczu” i „Łowca”, żurnale mód damskich i Dzienniki Ustaw, Inkunabuły i bezcenne białe kruki obok Żywotów Świętych i książek kucharskich (z przepisami na baby i mazurki wielkanocne „bierze się trzy łyżki nowego masła i tuzin jaj, żeby były świeże...”), z kupionymi na straganach jarmarcznych i odpustowych broszurami horoskopów astrologicznych, przepowiedni, nostradamusów („... a od wschodu pokaże się czarna chmura, a spadnie z niej Deszcz Krwi, a dzieci będą odłączone od piersi matek i ikonostas u Panny Poczajowskiej rozpęknie się na dwoje, a z morza wyjdzie Potwora, a będzie miała siedem głów i siedem języków ognistych...”), obok senników („... jak przyśnią się wszy i robactwo to przyjdą pieniądze...”), pamiątki z Pierwszej Komunii Świętej, pergaminy nadania Krzyża Komandorii Kawalerów Maltańskich, dowody szczepienia ospy i przyznanie medalu za ratowanie tonących, i co jeszcze? modlitewniki, brewiarze, libretta i partytury oper i przeboje kabaretowe, fotografie rodzinne, wspomnienia ze służby wojskowej i zjazdów koleżeńskich i tak zwane „żywe obrazy” śmietanki towarzyskiej i upozowane drużyny piłkarskie, i co jeszcze? a byłbym zapomniat... paczuski starych listów miłosnych przewiązane słowiałą wstążeczką, wreszcie obwieszczające o zejściu z tego padołu nekrologi gazetowe i „klepsydry”.

Kiedyś, za studenckich czasów w Paryżu, zdarzyło mi się pewnego razu odwiedzić w jakiejś sprawie zasiedziało tam od pokoleń Polaka, już nie pomnę nawet w jakiej to było sprawie. Ale pamiętam że nazywał się Madaliński, że był to paryski stolarz meblowy i miał warsztat, zdaje się przy ulicy Faubourg-Saint-Honoré. Był to bardzo dobry, godny człowiek i doskonały rzemieślnik. Nawet pamiętam, że miał poczciwe, siwe polskie oczy, których zresztą w czasie mej wizyty w warsztacie, zajęty, prawie nie odrywał od jakiejś pilnej roboty. To co robił tam jednak wstrząsnęło mną do głębi. Otóż Pan Madaliński pracował właśnie przy stolarskiej prasie, no takim urządzeniu z tęgimi śrubami i w ramy tej prasy miał ujęty i ześrubowany jakiś tuzin książek. I jakie to były książki? Wspaniałe tomy oprawne w skórę ze wspaniałymi złoceniami i tytułami odcisniętymi na ich grzbietach, cudowny produkt ducha i intelektu Francji wieku XVII, wieku XVIII, Racine, La Fontaine, Montaigne, Descartes, Pascal... Pan Madaliński uważnie i wprawnie obrzywał piłą stolarską ich

grzbiety, równiutko i gładko, odcinał je i kiedy wreszcie odkręcał śruby prasy to okaleczone okładki i zadrukowane kartki rozlatywały się w kupę wiórów, rupieci i resztek innych zgilotynowanych książek. Pozostałe grzbiety tomów Pan Madaliński troskliwie i precyzyjnie naklejał rzędami na odrzwia szaf, komód i utrwalone na nich stolarskim klejem w równych rzędach udawały że są książkami, chociaż miały zapewne kamuflować kredensy dla kolekcji win i trunków. Szafy biblioteczne zamówione u poczciwego majstra przez jakichś bogatych analfabetów. Wspomnienie tego przesładuje mnie do dzisiaj. Okazuje się że Dobra Bogini Dobrobytu i Sytości, a był to czas międzywojnia i jej królowania i pokoju, może być bezwzględniejsza od Bogini Katastrofy i Kłęski.

Ale nic, nawet bezduszne kłęski żywiołowe nie zatrą śladów, które pod nieodpartym przymusem pozostawi za sobą człowiek. I nigdy nie zabraknie fachowców czy amatorów co zechcą je odczytać. W braku niepowrotnie przepadłych ksiąg i dokumentów będą nawet kompilować i studiować gryzmołone na murach, skałach, parkanach, pasażach, poczekalniach, ustępach publicznych napisy, hasła, bohomyzy, rysunki, smarowidła, sentencje i koprolalie. Dzięki tym śladom możemy sobie wyobrazić jak wyglądały zaginione przed dziesiątkami tysięcy lat temu a utrwalone przez człowieka paleolitu na sklepieniach jaskiń w Altamira koło Santillana-del-Mar grzywy, kły, garby i rogi koni, odyńców, turów i byków („*Toros! Toros!*”), czy ocalały wpośród ruin Sassanidów, nasmarowany przez przygodnego rysownika portret straszego jeźdźca, postrachu legii rzymskich, owego „*katafraktos*” w ciężkiej kolczudze, zaskakującego nagłym zwrotem w pościgu ulewą „strzał Partów”. Nawet co tylko już zapomniany czas sprzed lat trzydziestu odcyfruje nam znawca nowoczesnych *graffiti*, pilnie przepisując hasła i zawołania ze ścian pisuaru paryskiego: *La Roque au poteau!*, *Blum à la lanterne!* i *A bas les curés!*

Bo teraz nie tylko zachowuje się, utożsamia i magazynuje wszystko, ale dla pewności reprodukuje w wielkiej ilości, powtarza i powtarza, fotografuje, utrwala, drukuje, metodą wkłęsłodruku, offsetu, fotokopii, ocala przemijające, nie daje się mu przepaść. Nadchodząca przyszłość będzie miała na zawołanie w muzeach, archiwach, bibliotekach, na kliszach, mikrofilmach utrwalone każde drgnienie, każde westchnienie ludzkie. Będzie to można podsłuchać z taśm magnetofonowych, przepowtarzać na filmach *au ralenti*, napowtarzać sobie do znudzenia i zgagi. A że z dzisiejszością osiągnęliśmy przyzwolenie na wszystko więc już można, w celach naukowych czy po prostu z samej ciekawości przyjrzyć się sobie, odbiciu własnej twarzy w akuratywnym,

powiększającym do potworności zwierciadle. Zachęcą nas do tego, rozgrzeszą z chęci podglądania, wydadzą dla nas specjalne studia znawców i zbieraczy wspomnianych *graffiti*, ludzkość podpatrywaną od strony podszewki, przez dziurkę od klucza, ażeby naszemu apetytowi wiedzy o wszystkim stało się zadość. Nikogo już nie zgorszą dorysowane na obrazie Mony Lizy wąsiki, wszystko wolno.

Swoją przydługą rejestr ocalałych papierów i dokumentów mówiących o przeszłości urwałem na przykładzie który w pewnej mierze można zaliczyć do kategorii *graffiti*. Były one może bardziej efemeryczne, nietrwałe, ale powtarzały się i wbijały w oczy, rozlepione u wejścia do kościołów czy na słupach ogłoszeniowych, wydrukowane, z czarną na dwa palce ramką, tłustą od farby drukarskiej obwódka, krzyżem wpośród liści palmowych — klepsydry.

Za naszych czasów jeszcze istniała pozycja osób, których przeznaczeniem było usługiwanie innym, możliwie, bardziej przez los obdarzonym. Obowiązki tych osób, usługi ich, były liczne ale niezawarowane im jakimś sztywnym kodem. Osoby te musiały bardzo poważnie pracować, „uwijać się”, zalatywać, sprzątać, trzepać mieszczańskie dywany, chodzić na targ na zakupy, szorować schody, froterować posadzki, myć okna, ścierać kurze, gotować bieliznę do prania, dozorować dzieci, szczerkować buty państwa do połysku, krzątać się w kuchni, plewić w ogródkach, zbierać plotki kamieniczne, anonsować gości, schodzić do piwnicy po węgiel i wnosić na strychy bieliznę do rozwieszenia, szorować rondle, prasować, chuchać, dmuchać na cudze. Żadne ustawy, pragmatyki służbowe nie chroniły ich czasu pracy, miały być przede wszystkim, od świtu do głębokiej nocy, na zawołanie. Żadne kodeksy, związki zawodowe nie broniły ich przed wyzyskiem, podejrzeniem, obrażą, przezwiskiem. Oficjalnie mówiło się „sługa”, „służąca”, w gniewie i rozdrażnieniu nazywało się je kuchtmami i garkotłukami („... to się z pensji potraci, proszę pani...”). Czy miały jakieś chwile promienniejsze? No tak, było tak zwane „koszykowe”, no tak, tolerowało się wizyty składane im w kuchni przez strażaków i „wojskowych”. No tak, było „wychodne”.

To jednej z nich poświęcił swe wzruszające arcydzieło Gustaw Flaubert, dając mu tytuł „Un cœur simple”. Tak jak bohaterkę tego opowiadania czekało je przeważnie sterane staropanieństwo, kruchta, szpital, no i wreszcie błogosławiona kochanka, śmierć. I tu po raz pierwszy może w życiu, a właściwie kiedy już życia nie było, miały być zrównane z możliwymi, obdarzonymi głębokością takiego samego dołu. Tej chwili odbijały sobie wszystką poniewierkę życiową, zdeptanie. Działo się to za spr-

wą szczególnej instytucji, rodzaju stowarzyszenia ubezpieczeniowego, w którym ciułane, odkładane złotówki i grosze, kwartalne pensje, upominki świąteczne i tradycyjne datki od zapraszanych przez państwo na kolację gości, a więc w jakimś Towarzystwie Świętej Zyty, patronki służących, miały im zapewnić godziwy pochówek, odpowiednią garderobę, wieniec jeden czy dwa, świece i wreszcie ostatnie chwalebne wyróżnienie, taką samą jak u możliwych, równającą z nimi klepsydrę. Kiedyś w „Języku Polskim” czy innym poradniku periodycznym natrafiłem na artykuł, studium tych właśnie klepsydr, ich szczególnej stylizacji imion, tytułów, składni wykształconej na stylu dziennikarskich wygotowanych nekrologów, z ich wymienianiem zasług, westchnieniami rodziny może po raz pierwszy i ostatni przyznającej się do pokrewieństwa, z wylizaniem u możliwych tytułów i odznaczeń, a u tych ubogich ich cnót.

Nie zadrwi z tego wdzięczny historyk. Bo złorzecząc Dobrej Bogini Katastrofy, która zaprzepaściła nieocenione dokumenty starożytnego Rzymu, kiedy z tego co zostało to tylko szczyty olbrzymich gór lodowych, których dziewięć dziesiątych kryją wody Oceanu Zapomnienia, kiedy ślepi po katalogach zbiorów numizmatycznych, sfragistyki, kiedy zdrapuje z murów popiół wulkaniczny by odczytać na nich wysmarowane *graffiti*, a przede wszystkim kiedy maca napisy na kamieniach grobowych, kamiennych klepsydrach, kto wie? może natrafił na imię Julii Alpinuli. Czy było ono imieniem prawdziwej królowej jak zachciało się to pocie? Mnie wolno przypisać je skromniejszej ówczesnej służącej. Takiej samej co to musiała wtedy również rozpalać ogień, zamiatać *atria* i *cubicula*, prząść, stękać dźwigając amfory, doglądać cudze dzieci, hołubić je i opowiadać im bajki, oczywiście bajki Wenedów. A że w owym czasie poniżeni mieli także swoje *collegia*, w których, aha! płacili składki, takie ówczesne towarzystwa Świętej Zyty, więc stało ją na własny pomniczek, na którym jakże imię jej „brzmi dumnie”.

Mnie, zagubionemu na drugim końcu świata, a u nas o takim co przepadł, o kim zapomniano było powiedzenie, że „uciekł gdzie pieprz rośnie”, wydaje się że sam stałem się jakimś reliktem historycznym. Bo kiedy od dawnego przedziela mnie nie tyle czas co przestrzeń, to przecież wedle ostatnich modnych naukowych teorii czas i przestrzeń są tym samym, wymiennym. Toteż pasjonują mnie zamiecione aż tu ze mną szczątki, książki stare i szpargały. Z nich zapożyczam sobie słowa, całe zdania, całe ustępy. Jak chcę opisać tutejsze niebo to co? podkradam z „Beniowskiego” że „gwiazdy na nim jak kasza a księżyc jak szperka...”.

Tu chciałbym zwrócić uwagę na dwa wydawnictwa.

Jedno, które ukazało się „tam gdzie rosną poziomki”: Józef Trypućko. *Polonica vetera Upsaliensis; catalogue des imprimés polonais ou concernant la Pologne des XV^e, XVI^e, XVII^e et XVIII^e siècles, conservés à la Bibliothèque de l'Université Royale d'Uppsala*, Uppsala, 1958.

Drugie, „tam gdzie pieprz rośnie”:

Dr Janina (Wójcicka) Hoskins. *Early and Rare Polonica of the XV-XVIIIth Centuries in American Libraries*, Boston, Massachusetts, 1973.

Zygmunt HAUPT

Czekając na kalalie

Streszczam notę od wydawcy: Madej skończył pisać swą powieść* w październiku 1970, miesiąc przed powstaniem w Trójmieście. 31 października złożył w PIW'ie maszynopis. Wydawnictwo jednostronnie rozwiązało umowę z autorem 7 stycznia 1971 roku. Przywróciło ważność umowie 27 lutego 1971 roku. Książka została złożona powtórnie w tym samym wydawnictwie 30 czerwca 1971 roku i skierowana do druku w marcu 1972 roku. W kwietniu przesłano ją do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, który w lipcu wydał decyzję negatywną. Wydawnictwo odwołało się do Wydziału Kultury KC PZPR w lipcu 1972. Wobec braku decyzji, w grudniu 1972 gotowy skład linotypowy został przetopiony. „Piękne kalalie” zostały wydane w Paryżu bez wiedzy i zgody autora.

Rzadki w socjalizmie fenomen; książka z autentycznym, a nie malowanym, bohaterem rewolucyjnym.

Piękne kalalie mają początek biblijny: Ewa kusi Marka jabłkiem. „Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy jadł jabłko ostatni raz; pomyślał że zaraz się wścieknie z powodu śliny: brała się w ustach nie wiadomo skąd i spływała bezwstydnie do żołądka, jakby miała nie jeden, ale sto sposobów, żeby się tam przedostać” (str. 7).

Na początku odnosi się wrażenie, że akcja powieści toczy się na prowincji; z miasta do wsi pełnej sadów można dojść na piechotę. Ale topografia, podobnie jak symbol konfliktu, są tu tylko szyfrem. Budują alegorię. Kalalie — niezbyt fortunna, bo kalie kwiaty przypominająca nazwa — zostały obiecane przez władze w miejsce jabłek, których zawiązki wycięto. Pod kalalie można podłożyć wolność, równość i materialny dobrobyt. Ale

* Bogdan Madej, *Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości*, Instytut Literacki, Paryż 1974, str. 164.

przede wszystkim wielką powszechną ideę, w którą należy wierzyć, aby mogła zaistnieć jako wartość sprawdzalna.

Ludzie wychodzą z miasta na protekcyjne przepustki i szmują owoce. Ojciec Marka jest prezesem miejskiego zarządu, ojciec Ewy maluje w więzieniu kalalie. Chłopak pożąda jabłka, dziewczynka pożąda chłopca. „Na uszach i policzkach zbierało się gorąco z całego ciała, zupełnie jakby kogoś okłamał. Przez moment wydało mu się, że gdyby się tylko ruszył, bez trudu by to gorąco strząsnął, ale bał się, że spłoszy Ewę zajęta swymi odkryciami. Jak dorośnie, weźmie ją za żonę, już jest prawie dorosła” (str. 12). Mają niewiele ponad dziesięć lat.

„Piękne kalalie” są książką dwuwarstwową, jak każda literatura, która niemal bez reszty posługuje się realnym podobieństwem, ale dąży do metafory. Podobnie postępuje Wygodzki w „Zatrzymanym do wyjaśnienia”, podobnie Orłoś, próbując swą „Cudowną melinę” oczyścić z geograficznych konkretów, z nazwisk rządzących i imion instytucji. Madej pod nienazwany choć zgoła określony system polityczny podstawia symbole — kalalie. Konsekwentnie — w miejsce służby bezpieczeństwa i jej funkcjonariuszy — otrzymamy ogrodników i wydział ogrodnictwa.

Z taktycznego punktu widzenia — a zarówno Orłoś jak Madej musieli o tym myśleć — metaforyzacja wydaje się zabiegiem niewskazanym. Na dobrą sprawę bardziej realistyczna „Cudowna melina” miała większe szanse ukazania się w kraju. „Piękne kalalie” były z góry przegrane, bowiem alegoria oznacza: zawsze i wszędzie. To tak jak w reportażu; opis *slums*’ów jest nie tylko żądaniem, ale i wiarą w możliwość zbudowania porządnego domu.

Nadzorca parku poleruje szklane kalalie, zeskrobując z gałęzi blizny po wycięciu owoców. Władzę, nie wolną od oskomy, dotknął bzik. Paranoja. Prezes podejrzewa żonę, że ukrywa przed nim owoce. Wsiada do służbowego wozu, wydaje mu się, że od szofera „jedzie cierpką wonią sfermentowanych jabłek”. Następuje scena obrzydliwa — fizjologiczność i nieapetyczność władzy podkreślał również Orłoś! — prezes dłubie w zębie szofera. Rozpoczyna się dzień pracy dla dobra miasta: „Bez przekonania otworzył szufladę, wyjął z niej cztery jabłka i zjadł trzy; czwartego nie ruszył, bo mu ścierpły zęby. Sekretarka udawała za drzwiami, że szlocha. Budynek nabrzmiewał urzędowymi czynnościami. Interesanci polerowali butami posadzkę korytarza i kaszląc udawali szacunek dla miejskiego zarządu, a urzędnicy przekładali czyste papiery z jednego stosu na drugi i opatrywali je z hukiem wielkimi pieczęciami. Prezes przez otwarte okno dojrzał ogrodnika, idącego z sekatorem na ramieniu wzdłuż ściany muzeum kalalii. Wszystko na opak, pomyślał i zaraz zapomniał, co miał ważnego dziś załatwić” (str. 28).

Marek wkrada się do muzeum kalalii i na kolorowych planach czarnym tuszem maluje jakieś hasła. Analfabetę-dozorcę

przekupuje jabłkiem i szantażuje znalezionym ogryzkiem. Potem trafia do dwóch dziwaków: łagodnie obłąkanego staruszka i tajemniczego brodacza. Marek pyta, czy to z własnej woli ludzie wyrzekli się jabłek. Brodacz maluje tablicę. Marek: „Potem z czymś takim idzie się między ludzi. Co pan na niej napisze? — Zobaczę jeszcze — odpowiedział brodacz — może nic” (str. 41).

Agnieszka, matka Ewy, udaje się na przepustkę po jabłka. „Czasami była pewna, że gdyby mogła tu przychodzić bez przeszkód, nie musiałaby ich wcale jeść” (str. 43). Za rogatkami jest inny świat. Ludzie „stamtąd” nie rozumieją, że można nie mieć jabłek. Podejrzewam iż nie rozumieją, że można ich w ogóle pragnąć. Właściciel sadu wygląda jak dobrotliwa małpa, ale przypomina socjalistę z Zachodu. Ta cicha jabłczana wieś funkcjonuje po trosze jako ucieczka w utopię, marzenie o wolności, po trosze jako idealizacja czasu sprzed kalalii. Utopia pełna konkratów jest odwetem za rzeczywistość przeżartą abstrakcjami. Ale na pytanie sadownika, dlaczego oni zawsze wracają do miasta Agnieszka odpowiada: „Może dlatego musimy wracać, że tam jest nie tylko głód jabłek, ale i głód kalalii”.

Odpowiada niemądrze, ale rozumiem intencję. Książka Madeja, podobnie jak „Cudowna melina”, jest rozpaczliwym przywołaniem wiary i nadziei. Miłości zabrakło już dawno; błąka się tylko w tytule, umieszczona tam trochę na siłę...

Brodacz wychodzi na ulicę z niezapisaną tablicą. Zarząd miejski w popłochu rozpoczyna obrady. Rozwścieczony i rozżalony prezes każe aresztować szefa ogrodnictwa. Szef ogrodnictwa nie pozwala się aresztować. Na pierwszym etapie walka o władzę kończy się poszukiwaniem kozła ofiarnego. Prezes wskazuje na zastępcę, a wystąpienie mężczyzny z tablicą tłumaczy jako protest przeciwko złym obyczajom niektórych członków zarządu.

Poprzebierani w garnitury, spod których widać ogrodnicze szelki, i kapelusze z ogromnymi rondami — ogrodnicy otaczają brodacza. Stojącego w milczeniu ochraniają: cherlawy mężczyzna w okularach i osilek w pasiastej bluzie. Marek prowadzi pochod dzieci: „Środkowy niósł wielką tablicę z napisem 'TAK'. Napis otoczony był girlandą namalowanych liści przeplatających się z jabłkami i kalaliami, które tu rzeczywiście podobne były do owoców, jakie niegdyś malowano na pierwszych transparentach”. Na pierwszych!...

Na drugim, do wydarzeń ulicznych równoległym, planie, w coraz większej panice obraduje władza. Prezes proponuje zaprosić brodacza na rozmowę „w atmosferze wzajemnego zaufania i szczerości”. Zastępca: „zamknąć wichrzyciela, niech się przy malowaniu kalalii nauczy rozumu”. Prezes oskarża zastępcę o korrupcję. Zastępca: „A ja na pana już mam materiały... Wiesz pan, kogo ludzie nie lubią jak zarazy? Nie lubią takich zbawicieli jak pan. Oni pierdolą takich!” (str. 94).

Na salę obrad wchodzi nieznajomy. Powiada: „Jestem za kalaliami...”, ale coś mi się zdaje, że nie znajdzie pan już w mieście

wielu takich, którzy będą krzyczeć za kalaliami, jeśli nie dostaną trochę jabłek... A może macie choć jedną prawdziwą kalalię, żeby pokazać ludziom? To by ich na pewno usposobiło do was życzliwie, może rozeszliby się spokojnie do domów" (str. 102).

Program nieznanego jest uczciwy; w ramach totalitaryzmu najuczciwszy. Utrzymać władzę i zachować spokój — marzenie każdej dyktatury! — można tylko, dając ludziom coś konkretnego w zamian. Natomiast brodac, na pytanie Marka o istotę problemu, odpowie lakonicznie, że władza za długo była władzą. Różnica bardzo istotna. W języku polityki, a nie przypowieści oznacza to zastąpienie wszelkiej kalalii demokracją.

Baśń Madeja osnuta jest na wątkach października 56 i marca 68. Jest także prorokiem na grudzień 70; na tyle, na ile można było tu prorokować. Uogólnienia kuszą, i w końcu, pod każdą bardziej współczesną alegorię podstawią się nazwiska i daty. Naiwny i głupi prezes przypomina Gomułkę, dzieci to studenci, szef wydziału ogrodnictwa to Moczar. Nieznajomy to zapewne Gierek, choć wielu dobrze go znało. Nie rozpoznałam brodacza, ale nie ma to większego znaczenia. Ten o którym myślałam był bez brody, a na swoich tablicach pisał wyraźnie, latami...

Bo tak czy owak uprowadzają go dwaj ogrodnicy. Marek szuka go po zbrodni pachnących piwnicach, potem biegnie na plac i prosi osiłka o pomoc. Osiłek boi się, w końcu zdradza Marka. Ułatwia mu decyzję atmosfera miejskiego jublu, darmowe kanapki i piwo. Zresztą już wkrótce — o czym Madej nie wiedział, kiedy kończył swą książkę — Marek zdradzi osiłka.

Prezes rozpoczyna „rozmowę z narodem”. Zastępca i szef ogrodnictwa ściągają go z trybuny. Przemawia zastępca, mianując się prezesem. Franek, miejski głupek, oblewa go owadobójczym płynem i wchodzi sam na trybunę. W swoim imieniu każe jednak przemawiać zastępcy. Zastępca, popędzany sikawką, obiecuje tłumowi pełną wolność konsumowania jabłek do czasu wyhodowania kalalii. Ostatnia autonominacja nie wydaje się wychodzić poza teoretyczną możliwość.

Nieznanomy wkracza po raz drugi; obwołuje się prezesem, przemawia krótko, kokietyrnie, bez złudzeń: „Znam waszą sytuację, wiem, czego wam trzeba i znam przyczyny dzisiejszego waszego sprzeciwu. Musicie mi zaufać. Zresztą i tak nie macie wyboru. Możecie wybierać między mną, którego nie znacie, głupim Frankiem i zastępcą słynnym z przemytu, łapownictwa i niekompetencji" (str. 157). I może książka ukazałaby się w Polsce, gdyby się tutaj skończyła.

Niech autor wini Marka za kłopoty z cenzurą. Chłopak bowiem spotyka mężczyznę w okularach, który opowiada mu, że niegdyś wierzył w kalalie i prezesa, a teraz pragnie tylko dostać przepustkę, aby tu więcej nie wrócić. O brodaczu, którego nie wspomniął już nieznanomy, kiedy został prezesem, pamięta już tylko Marek. Dzieci — nadszpiegowanie dojrzałe — spotykają się znów w piwnicy. Od jutra zaczną go szukać.

Odwołuję poprzednie zarzuty; realizm nie jest konieczny. Rozumiem Madeja, ale sama znajduję się w sytuacji jednoznacznej: przyjaciele powiedzą tchórz, wrogowie pozadzroszczą odwagi. Nie jestem ani dziecko, ani brodac, ani osiłek. Jestem ten w okularach, który dostał przepustkę. Ale też nic nie wskazuje na to, że dzieci dalej szukają. Na przepustce zresztą więcej kalalii.

Janina KATZ

Cierpienie i przebaczenie*

O obozach koncentracyjnych napisano już tak wiele (bibliografia jednego tylko Oświęcimia obejmuje ponad 7.000 pozycji), że dziś trzeba naprawdę wystąpić z czymś bardzo mocnym, by zostać zauważonym przez czytelników a przede wszystkim przez krytyków. W tyle lat po wojnie spodziewać się raczej należy prac dokumentarnych, analitycznych, rozważających beznamiętnie i naukowo to wszystko, co działo się za drutami niemieckich obozów. Na wspomnienia był czas, kto mógł i chciał, dawno już je napisał.

Z zasady powyższej, przyjętej już na ogół wszędzie, wyłamują się czasem byli więźniowie i niektórzy z nich, wbrew przewidywaniom, odnoszą sukces. Tak stało się z książką Wiesława Kielara „Anus mundi” (przeżycia w Oświęcimiu) wydaną przed kilkunastu miesiącami, teraz, w podobny sposób, ocenić trzeba książkę ks. Jerzego Langmana „Oczekiwanie” (wspomnienia z Buchenwaldu), która ukazała się w roku ubiegłym.

Nie oznacza to, że jest to praca wybitna, która wstrząsa, wzrusza i zastanawia. Jerzy Langman, który został księdzem dopiero po wojnie, wybrał stosunkowo najłatwiejszą formę wypowiedzi, bo wspomnienia jego zawierają kilkadziesiąt małych obrazków: sylwetek ludzi, problemów i zdarzeń. Taka forma nie wymaga konstrukcji, ciągłości, konsekwentnej kompozycji. Można ją przyrównać do dziennika prowadzonego chronologicznie lub od wypadku do wypadku. Tylko wybitny pisarz potrafi zrobić zeń dzieło sztuki, tylko bardzo oryginalny umysł potrafi, nawet w tej formie, naprawdę zaciekać. Tych walorów książka ks. Langmana nie posiada i dlatego zaliczenie jej do wydawniczych sukcesów opiera się na szlachetnej filozofii, na jakiej została oparta. W największym skrócie można ją zawrzeć w znanym określeniu, obróconym na opak: „ty we mnie kamieniem, ja w ciebie chlebem”. W obozie to przykazanie miłości bliźniego miało najjaskrawszy, najaktualniejszy sens.

Jerzy Langman starał się praktykować tę chrześcijańską zasadę i dzięki temu przesunął się do pierwszych szeregów obozowych pamiętnikarzy. Szkoła, że dopiero po wielu latach zdecydował się na wydanie swych przeżyć. Spisał je znacznie wcześniej, już w roku 1945, ale, jak sam wyznaje w pierwszym rozdziale, czekał aż „pewne myśli dojrzeją i przemienią emocje”. Właśnie. Gdyby ta książka ukazała się zaraz po wojnie, gdy emocje, krzywdy, rany i kompleksy były świeże, otwarte, bolesne, wówczas uznać by ją trzeba

* Ks. Jerzy Langman, „Oczekiwanie” (Buchenwald), Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków, 1973. Str. 440.

było za dziełko wybitne, za głos odosobniony, za głos wielkiego przebaczenia. Dziś, po tylu latach, gdy zbladły obrazy krzywdy, gdy czas zagoił najboleśniejsze, najgłębsze ciepca, ta refleksyjna książka, o filozofii uczciwej, ale nie odkrywczą, jest osiągnięciem znacznie mniejszym. Nikt z nas, byłych kacetowców, nie hoduje w sobie po dziś dzień uczucia intensywnej nienawiści, która niszczy wewnątrz i osłabia, każdy ogląda się wstecz z dużą dozą refleksji, czasem nawet wybaczenia.

Czy ks. Langman, który przeszedł obóz pamiętając o przykazaniu miłości bliźniego w każdej okoliczności, zapomniał? Czy wybaczył? Oto jego ostatnie słowa z epilogu, którym kończy książkę:

„Czy czytając Goethego albo słuchając Bacha wolno zapomnieć o krzywdzie i męczeństwie? Jasne jest, że trzeba znaleźć drogę wspólną: to jest rozważając w braterskiej miłości krzywdy i cierpienia niewinnych, rozważać je tym głębiej poprzez muzykę genialnych twórców i słowa wielkich poetów. Nie zaciierać nie zasłaniać, nie iść drogą zakłamania przez zapomnienie, ale coraz głębiej przeżywać, bo to jest jedyna droga godna człowieka, droga choćby częściowej sprawiedliwości i odważnego przebudowania siebie”.

Józef GARLIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

GRABOWSKI (Zbigniew). *Rozmowy z tobą*. Str. 310 i 6 nłb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

Gdy jedziesz do Polski... Str. 52. (Nakładem Rady Organizacji Komatanckich, Londyn, 1974).

TAUBER-ZIÓŁKOWSKI (Andrzej). *Oficyna Poetów 1-25 — Bibliografia zawartości*. Str. 114 i 2 nłb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).

Księga Budownicza. Protokoły obrad Spraw i Dusk. Łoży Wolnomularskiej „Przesąd Zwyyczajony” na Wsch. Krakowa za okres od dnia 6 czerwca 1820 roku do dnia 7 października 1822 roku wraz ze spisem członków Łoży w okresie Rzezypospolitej Krakowskiej (wierna odbitka odnalezionego oryginału). Tom I, II i III. Razem str. 305 plus str. 15 (spis członków). (Wyd. Społeczności Wolnomularzy

Polskich — drukowano jako rękopis (powielacz), Paryż, 1974).

CHARBOWSKI (Tadeusz). *Drzewo mnie obeszło*. Wiersze. Str. 63 i 1 nłb. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1973; cena zł 10).

HELLER (Michel). *Le monde concentrationnaire et la littérature soviétique*. Str. 317 i 3 nłb. (Wyd. L'Age d'Homme).

SCHERER (Olga). *Absalon et Absalon* (Version abrégé du premier chapitre d'une étude de la polyphonie chez Faulkner). Str. 24. („Les langues modernes”, wyd. Association des Professeurs de Langues Vivantes de l'Enseignement Public, Paris, Décembre 1973).

WURMBRAND (Richard). *Mes prisons avec Dieu*. Str. 260 i 4 nłb. (Wyd. Casterman, collection „Vies et Témoignages”, wyd. 5-te, Paryż, 1972).

WURMBRAND (Richard). *Sermons au cachot*. Str. 219 i 5 nłb. (Wyd. Apostolat des Editions — Editions Paulines, collection „Témoignages”, Paris, 1972 — 2-e wydanie).

MOND (Georges H.). *Les moyens de l'information, porte-parole de la politique étrangère de l'URSS entre la coexistence pacifique et la lutte idéologique*. (Nadbitka z *Etudes Internationales*, volume IV, numéro 4, Décembre 1973, str. 432-458; wyd. Centre Québécois de Relations Internationales, Institut Canadien des Affaires Internationales, Université Laval).

WRONSKI (Heni). *La croissance de la grande firme multinationale*. Str. 277-290. (Nadbitka z *Colloques Internationaux du Centre National de la Recherche Scientifique*, No 549, Rennes 28-30 septembre 1972).

BORKOWSKI (Piotr). *The Great Russian-English Dictionary of Idioms and Set Expressions*. Over 8.600 Russian Entries. Str. 384 i 6 nłb. (vartyper). (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1973; cena Dol. US 12).

Early and Rare Polonica of the 15th-17th Centuries in American Libraries. Cap. XI. Agaricus — Po polsku Modrzewiowa Gębka. Reprinted from *Herbarz Polski of Marecin z Urzędowa* (Kraków, 1595). Str. 193 i 5 nłb. (Wyd. G. K. Hall and Co., Boston, Mass., 1973).

CHODAK (Szymon). *Societal Development — Five Approaches with Conclusions from Comparative Analysis*. Str. 357 i 1 nłb. (Wyd. Oxford University Press, New York, N.Y., 1973, cena £ 1.80).

LEVYTSKY (Boris). *The Uses of Terror — The Soviet Secret Service 1917-1970*. Tłumaczenie H. A. Piehler. Str. 349 i 5 nłb. (Wyd. Sidgwick and Jackson, London, 1971, cena £ 2.50).

Mikołaj Kopernik Quincentennial 1473-1973. Album. Okładka Leon S. Kawecki. Str. nienumerowane. (Wyd. Polish American Historical Association. The 1973 Annual California-Arizona Regional Chapter, Loyola Marymount University, Los Angeles, Cal., 1973).

GOMORI (George). *Literature, 1860 to the Present Day*. Polish Studies. (Nadbitka z *The Year's Work in Modern Language Studies*, Volume 34 (1972), str. 769-778, wyd. The Modern Humanities Research Association).

KRYNSKY (Magnus J.). *Politics and Poetry: The Case of Julian Tuwim*. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XVIII, No 4, 1973, str. 3-33, New York, N.Y., wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc.).

KRZYŻANIAK (Marian). *Benefit-Cost and Incidence Study of Transfers, Financed by Taxes on Profits, in a Growing Neoclassical Economy with Two Labor Inputs*. (Nadbitka z *Public Finance — International quarterly journal* founded by J. A. Monod de Froideville, Volume XXVIII/XXIII, Année, No 2/1973. Str. 151-177. The Hague).

The Research Institute for Communist Affairs 1973-1974. Przegląd działalności. Str. 15 i 1 nłb. (Wyd. Columbia University Press).

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *U.S. Foreign Policy: The Search for Focus*. Str. 708-727. (Nadbitka z *Foreign Affairs*, July 1973, Wyd. Council on Foreign Relations, Inc. Editorial and Business Offices, New York, N.Y., 1973).

ROGOWSKI (Marian). *Gewonnen gegen Hitler*. Tłumaczył z polskiego Peter Lachmann. Str. 266 i 4 nłb. (Wyd. Rogner und Bernhard, Monachium, 1973).

TURYŃ (Alexander). *Demetrius Triclinius and the Planudean Anthology*. (Nadbitka z *Epeteris Hetaireias Nyzabtion Spoudon*, t. 39-40, str. 403-450, Ateny, 1972-1973).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19-3-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 84 lat, prof. Maurycy Jaroszyński, wybitny specjalista prawa administracyjnego.

22-3-74

W Warszawie zmarł, w wieku 82 lat, znany pisarz-marynista Jerzy Bohdan Rychliński. ■ Główny Urząd Statystyczny w Warszawie podaje, że zużycie mydła w Polsce w roku 1950 wynosiło 2,5 kg na jednego mieszkańca w ciągu roku, a w roku 1973 — 2,4 kg. ■ Na konto krajowe odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie wpłynęło 424.579.379,62 zł, a na konto dewizowe 410.582 dolary. Charakterystyczne, że w ostatnim okresie prasa krajowa używa określenia Zamek Warszawski, a nie Zamek Królewski. Podobno jest to wynikiem interwencji sowieckiej. ■ Światowy znak jakości „Q” ma zaledwie 319 polskich produktów. ■ Jak donosi *Górnik*, organ Związku Zawodowego Górników, liczba skarg i zażaleń górników utrzymuje się nadal na poziomie roku 1972. 70 % skarg dotyczy roszczeń indywidualnych, wynikających ze stosunku pracy, 20 % świadczeń socjalnych i ubezpieczeń społecznych, 10 % konfliktów międzyludzkich. Rośnie ilość skarg na niewłaściwe odnośnienie się przełożonych do podwładnych i na nadużywanie uprawnień służbowych.

28-3-74

W Warszawie obradowała 141-sza plenarna konferencja Episkopatu Polski. M.in. konferencja zaprotestowała przeciwko nadawaniu spektakularnego charakteru tzw. ślubowaniom księży z racji objęcia stanowisk proboszczów w niektórych województwach. Konferencja uważa, że przepisy, na podstawie których władze domagają się ślubowań, powinny zostać uchylone, ponieważ zostały wydane w szczególnych warunkach politycznych w Polsce, w latach 50-tych, a ponadto są one nie do pogodzenia z postanowieniami Soboru Watykańskiego II, który domaga się, aby Kościół miał prawo obsadzania stanowisk kościelnych samodzielnie, bez ingerencji władz cywilnych. Ponadto konferencja przypominała wszystkim księżom, iż bez zezwolenia właściwej władzy duchownej nie powinni brać udziału w zebraniach, naradach i innych spotkaniach, organizowanych przez czynniki świeckie.

2-4-74

Warszawski *Czytelnik* otrzymał z Wydziału Propagandy KC zakaz wydania książki Hłaski. Miał to być tom opowiadań wybranych, które w KC uznano za „antysocjalistyczne”. Cenzura partyjna dobrała się również do planów wydawnictwa *Śląsk*: od roku 1970 przygotowywano tam antologię polskich pieśni robotniczych i rewolucyjnych; cenzura uzasadniła swoją interwencję „wywrotowym” charakterem tych pieśni.

4-4-74

W czasie wizyty w Warszawie premiera Szwecji, Olafa Palme, została podpisana 10-cioletnia umowa w dziedzinie współpracy przemysłowej, technicznej i naukowej. Była dyskutowana również sprawa inwestycji szwedzkich w Polsce. Polska już dziś zajmuje pierwsze miejsce w wymianie handlowej Szwecji z blokiem wschodnim. W czasie swego pobytu Palme ofiarował rządowi PRL słynny piętnastometrowy fryz przedstawiający ślub Zygmunta

Wazy z arcyciężniczką Konstancją Austriaczką. Fryz ten został zabowany przez Szwedów w czasie wojen polsko-szwedzkich. ■ W Moskwie robi furorę film Wasyla Szukszina *Kalina Krasnaja*. Wyświetlany jest w 53 kinach stolicy. Znawczy uważają go za najwyższe osiągnięcie kinematografii sowieckiej ostatnich lat, dziwiąc się że został w ogóle puszczony przez cenzurę. Jest to bowiem film nie tylko daleki od „sorealizmu”, ale bardzo pesymistyczny i nieopozbawiony akcentów religijnych. Krążą pogłoski, że Szukszino wi pomógł w niewątpliwych tarapatkach z cenzurą pewien członek Politbiura.

5-4-74

Halina Auderska otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie literackim Książki i Wiedzy oraz Związku Literatów Polskich za powieść „Babie lato”. ■ W Polsce ukazują się w subskrypcji „Dziela Zbiorowe” Conrada, reklamowane jako pierwsze, nsprawde pełne wydanie jego dzieł w jakimkolwiek języku. Jest to oczywiście kłamstwo. „W oczach Zachodu” jest ciągle w cenzurze ale w każdym razie wstęp autora, napisany w 1920 roku, nie zostanie zamieszczony. Tak samo nie zostaną wydane eseje Conrada „War and auto-cracy” (1905), „The crime of partitions” ani „Nota w sprawie polskiej”. Powyższe eseje ukazały się w tomie „Notes on life and letters” (pierwsze wydanie J. M. Dent and Sons, 1921). Po co ta kolejna kompromitacja imienia polskiego na świecie? Ocenzurowany Conrad, ocenzurowany Żeromski, ocenzurowany Gombrowicz, ocenzurowany St. Brzozowski, ocenzurowany prof. St. Kot i tę listę można by jeszcze bardziej wydłużyć. ■ Teatr Dramatyczny w Warszawie wystawił „Ślub” Witolda Gombrowicza w reżyserii Jerzego Jarockiego. To duże wydarzenie kulturalne zostało całkowicie przemilczane. Ukazała się jedynie recenzja p. Grodzickiego w *Zyciu Warszawy*.

7-4-74

Przedstawicielem PRL w międzynarodowej komisji kontroli w Wietnamie Południowym został mianowany Ryszard Fijałkowski. R. Fijałkowski był poprzednio sekretarzem ambasady polskiej w Brazylii, przedstawicielem polskim w międzynarodowej komisji nadzoru w Laosie, a ostatnio wicedyrektorem departamentu w MSZ.

15-4-74

Władimir Bukowski, sowiecki biolog, który został skazany za „propagandę antysowiecką”, ogłosił głodówkę w obozie pracy przymusowej na Uralu, protestując przeciwko warunkom więziennym w tym łagrze.

ZACHÓD — EMIGRACJA

6-3-74

W Muren (Szwajcaria) zmarł, w wieku 75 lat, płk inż. Tadeusz Biernacki, autor pieśni „My, Pierwsza Brygada”.

12-3-74

Z wielkim opóźnieniem dotarła do nas wiadomość o szkodach jakie wyrządził w dniu 24 stycznia bież. roku cyklon „Wanda” w Brisbane (Australia). Około 200 rodzin polskich zostało pozbawionych dorobku, zdobytego przez 20 lat pracy. Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii organizuje zbiórkę pieniędzy na FUNDUSZ POMOCY DLA POWODZIAN POLSKICH. Załujemy, że licznym referentom prasowym licznych organizacji polskich w Australii nie przyszło na myśl poinformowane o tej katastrofie prasy polskiej poza Australią.

15-3-74

Marek Kalinowski, syn znanego działacza emigracyjnego we Francji, wyjechał do Chin na dwuletnie studia języka i literatury chińskiej. Jest on studentem rządu chińskiego.

16-3-74

Zmarł w Londynie, w wieku 75 lat, Stanisław M. A. Nałęcz-Korzeniowski, kapitan piechoty, b. radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych w okresie międzywojennym.

19-3-74

W Institut Catholique de Paris odbył się odczyt prof. Zygmunta Markiewicza pt. „Un poète maudit — Leonard Sowiński”. ■ O miesiąc opóźni się amerykańskie wydanie *Archipelagu*. Miał wyjść 15 maja, wyjdzie 15 czerwca. Wydawca, Harper and Row, usprawiedliwia zwłokę różnicą zdań między tłumaczem i jego konsultantem odnośnie przekładu ustępów naszpikowanych sowieckim żargonem obozowym.

20-3-74

Związek Pisarzy w Londynie zorganizował wieczór literacki „Kobiety piszą”, z udziałem I. Bączkowskiej, K. Cywińskiej, T. Karren, T. Lisiewicz, B. Oberżyńskiej, M. Reszczyńskiej-Stypińskiej, A. Żurakowskiej. ■ Rzymski tygodnik *L'Espresso* ogłosił zorganizowany w redakcji dialog o *Liście do przywódców sowieckich* Sołżenicyna. Brali w nim udział znany marksista włoski Lucio Colletti, profesor uniwersytetu rzymskiego, oraz Gustaw Herling-Grudziński. *List* Sołżenicyna ukaże się po włosku w broszurze nakładem wydawnictwa Mondadori. Tenże Mondadori zapowiada na koniec kwietnia pierwszy tom *Archipelagu* w przekładzie Marii Oksufiej (znakomitym, jeśli można sądzić po fragmentach drukowanych w prasie).

21-3-74

Zmarła w Londynie, w wieku 78 lat, Zofia Zaleska, b. członek redakcji *Kuriera Warszawskiego*, b. posłanka na Sejm RP, b. członek Rady Narodowej w Paryżu i w Londynie.

22-3-74

Zmarł w Monachium, w wieku 71 lat, Michał Tyszkiewicz, tajny delegat RP w Wilnie w roku 1939/40, więzień Łubianki, pracownik służby dyplomatycznej RP w Moskwie, w Teheranie i w Bejrucie, opiekun uchodźców polskich na Środkowym Wschodzie, współpracownik radia Free Europe w Monachium, ostatnio delegat na Europę Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego i Pomocy Uchodźcom.

24-3-74

W Paryżu odbył się wieczór autorski wybitnego poety rosyjskiego Nauma Korżagina, który niedawno wyjechał z ZSSR.

23-3-74

W Johannesburgu odbyło się walne zebranie Zjednoczenia Osadników Polskich w Afryce Południowej. Prezesem został wybrany J. Walas.

25-3-74

Według ocen ekspertów OTAN'u ZSSR posiada rezerwę złota w wysokości 2.000 ton, co według cen obecnych wynosi 9-10 miliardów dolarów. Zadłużenie ZSSR wobec Zachodu wynosi 3,8 miliardów dolarów. ZSSR obecnie

sprzedaje 200 do 250 ton złota rocznie. ZSSR ponadto eksportuje rocznie na Zachód 40 do 50 milionów ton ropy naftowej. Na skutek potrojenia cen ropy zarobki ZSSR z 800 milionów dolarów podskoczyły do 3 miliardów dolarów. Sprzedaż broni do krajów arabskich przynosi ZSSR 2 do 3 miliardów dolarów. Eksperti zapytują, czy w tej sytuacji należy przyznawać Moskwie niskoprocentowane kredyty.

27-3-74

W Londynie zmarł, w wieku 88 lat, Władysław Schwarzburg-Günther, b. minister pełnomocny RP, pisarz i publicysta. ■ *Amnesty International* ogłosiło protest przeciwko pogorszeniu się warunków więziennych w Czechosłowacji i ponowiło apel, ogłoszony w maju ub. roku, o uwolnienie wybitnych intelektualistów czechosłowackich, więzionych od szeregu lat, a mianowicie historyka Milana Hübla, pisarza Vladimira Skutiny, działacza akademickiego Jiri Müllera i prof. Jaroslava Sabata.

29-3-74

Melchior Wańkowicz poddał się skomplikowanej operacji w specjalistycznym szpitalu angielskim w Manchester. Stan zdrowia 80-letniego pisarza jest zły. ■ W Londynie odbył się staraniem polskiego Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych wieczór z udziałem J. Łobodowskiego i Z. Stahla, poświęcony tematowi „Sołżenicyn i polska dokumentacja o Sowietach”.

30-3-74

Argentyna ostatnio rozbudowuje stosunki gospodarcze z Kolumbią, tj. z Czechosłowacją, Polską, Węgrami i Rumunią. Polska bada możliwości współpracy w rozbudowie kopalni węgla w Patagonii oraz zaproponowała stworzenie mieszanego przedsiębiorstwa połowów.

1-4-74

Finlandzki dom wydawniczy Tammi zrezygnował z wydania „Archipelagu GULag” Sołżenicyna na skutek nacisków sowieckich. ■ W *Insel Verlag* (NRF) ukazały się dwie książki Stanisława Lema oraz opowiadania fantastyczne Stefana Grabińskiego.

2 kwietnia zmarł Georges Pompidou, prezydent Francji, przeżywszy 62 lata.

3-4-74

Ceny rosyjskiego egzemplarza *Archipelagu* wahają się w Moskwie na czarnym rynku w granicach od 30 do 80 rubli (od 40 do 100 dolarów). ■ Iwan Kedryn-Rudnyckij, emerytowany redaktor dziennika *Swoboda*, został ponownie wybrany prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Ukraińskich w Ameryce. ■ Profesor M. K. Dziewanowski z Uniwersytetu Bostońskiego wygłosił w *Seminar in Ukrainian Studies* odczyt o Piłsudskim i Ukrainie (1918-1921). ■ Andrzej Mroźewski, naczelny bibliotekarz Uniwersytetu Laurentiańskiego w Sudbury, został wybrany prezesem uniwersyteckiej Rady Bibliotecznej w Ontario. ■ Hamburski *West des Buches* zwrócił się do Dżilasa z prośbą o wypowiedź po dekreście skazującym Sołżenicyna na banicję. Deklarację Dżilasa zamykają słowa: „Sołżenicyn nie utracił swojej ojczyzny; Rosję nosi w sobie i Rosja go nie zapomni. Walcząc o wolność ludu rosyjskiego, odnajdzie Rosję w ludzkości”.

4-4-74

W polskiej Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa obrazów malarzy: Blitz, Borko, Fainstein, Leonor Fini, Henricot, Jordan, Lebenstein, Lepri, Loo i Quiroga.

5-4-74

„Rocznik Statystyczny UNESCO — 1972” podaje, że w 1971 roku w ZSSR wydano 85.487 tytułów książek, Stany Zjednoczone — 80.569, NRF — 40.354, Japonia — 31.040, Francja — 22.372. ■ Nakładem nowojorskiego wydawnictwa *The Seabury Press* ukazał się tom wierszy wybranych Czesława Miłosza — *Selected Poems* — z przedmową Kennetha Rexrotha. Tłumaczami są: sam Miłosz, Peter Dale Scott, Richard Lourie, Jan Darowski, John Carpenter, Lawrence Davis i A.M. *The New York Review of Books* poświęcił tomowi całostronicową recenzję D. J. Enrighta z podobizną autora (rysunek znanego karykaturzysty amerykańskiego Levine'a). Enright zestawia Miłosza z poetą aleksandryjskim Kawafisem. ■ Spór POSK — S.P.K. został zlikwidowany pod wpływem nacisku opinii publicznej. S.P.K. wpłaciło pierwszy czek na 25.000 funtów, następne czeki w tej samej wysokości zostaną wpłacone 4. 5. br. i 4. 6. br. Za tę sumę S.P.K. otrzyma 4.000 stóp kwadratowych pomieszczeń użytkowych na lat 30 za symboliczną opłatą jednego funta rocznie. Suma 75.000 funtów, która ma być wpłacona do POSK-u, pozostaje nadal własnością S.P.K., które ma ponadto wpłacić dodatkowe 25.000 funtów na urządzenie biur. W Londynie się mówi, że pod wodzą niechętnego stosunku S.P.K. do POSK-u był zamiar zakupienia w połowie domu na Eaton Place, tzw. „Zamku”.

10-4-74

W czasie pobytu w Australii zespołu tanecznego Śląsk konsul generalny PRL zabronił zespołowi brania udziału w imprezach organizowanych przez polskie organizacje w Australii. W odpowiedzi na to prezydium Rady Naczelnej wezwało do bojkotu wszystkich imprez, organizowanych przez konsulata, i zaleciło najbardziej serdeczne przyjmowanie członków zespołu Śląsk prywatnie. ■ Nowa afera szpiegowska PRL w Paryżu. Aspirant wojsk lotniczych francuskich został zaarrestowany za sprzedaż polskiemu wywiadowi materiałów dotyczących organizacji lotnictwa francuskiego i wykazu sprzętu. ■ Dawna baza wojskowa francuska Mers El Kebir w Algierze jest przekształcana na stocznię. Algier podpisał umowę z PRL w wysokości 5 milionów dolarów na konstrukcję wielkich tankowców.

11-4-74

Związek Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w Londynie zorganizował wieczór „O miejsce pod słońcem dla kultury”. Przewodniczył Kazimierz Sowiński, wzięli udział: Marian Bohusz-Szyszko, Józef Garliński, Olga Lisiewiczowa, Tadeusz Sulatycki.

13-4-74

Karol Żbyszewski otrzymał nagrodę Haskoby za całokształt działalności literackiej. Nagroda wynosi 100.000 lirów i pobyt wakacyjny na Sycylii. ■ Jury nagród literackich Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w Londynie przyznało nagrodę Związku Pisarzy za całokształt twórczości Ignacemu Wieniewskiemu, a nagrodę im. Herminii Naglerowej, za najwybitniejszą książkę roku, Włodzimierzowi Odojewskiemu za powieść „Zasypie wszystko, zawieje...”.

16-4-74

Ks. Prałat Zbigniew Bernacki, Rektor Misji Katolickiej w Rzymie, obchodzi

25-lecie swych święceń kapłańskich. ■ Kierownikiem Biblioteki Polskiej w Londynie jest dr Zdzisław Jagodziński — na miejsce p. Marii Danilewiczowej. Maria Danilewiczowa odeszła z Biblioteki w końcu ub. roku na własne żądanie w związku z ponownym wyjściem za mąż i wyjazdem do Portugalii. ■ W NRF zaczął ukazywać się Biuletyn Informacyjny Polskiej Partii Socjalistycznej — *Przemiany*. Redaktorem jest T. Podgórski, a sekretarzem redakcji Alfred Znamierowski.

Z OSTATNIEJ CHWILI

K R A J

29 marca bież. roku odbyło się w Warszawie posiedzenie otwarte organizacji partyjnej przy Związku Literatów Polskich, poświęcone młodym poetom. Referat wstępny zaczął wygłaszać plk. Załuski, bardzo ostro atakując młodych poetów, zarzucając im, że robią dużo zamieszania mimo iż wielu z nich nie ma ani jednej publikacji książkowej. Referat został przerwany wystąpieniem Krzysztofa Mrozowskiego, który stwierdził, że taki stan rzeczy istnieje z winy władz partyjnych. Następnie przemawiali Krzysztof Karasek i Ireneusz Iredeński, który nawymyślał Załuskiemu od grafomanów w słowach raczej niecenzuralnych. Załuskiemu nie pozwolono skończyć referatu ani w ogóle zabrać głosu. Ciekawe, że jednocześnie warszawska *Polityka* w Nrze z 13 kwietnia br., w artykule St. Świętka „Falszyfikaty pt. 'urodzeni po wojnie'” wzięła w obronę młodych poetów atakując nr 1/74 *Poezji* (której redaktorem naczelnym jest osławiony Bohdan Drozdowski), poświęcony młodej poezji polskiej, oskarżając redakcję o złą wolę i „fałszowanie obrazu”. Ponadto *Polityka* zaprosiła kilku młodych krytyków do redakcji na dyskusję o młodej poezji, której fragmenty mają być opublikowane kilka tygodni. ■ W tym samym numerze *Polityki* zamieszczono fragment powieści M. Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”, który już w trzecim wydaniu polskim był zdjęty przez cenzurę, mimo że ostatnio pełny tekst powieści ukazał się w moskiewskim wydawnictwie „Chudożestwiennaja Literatura”. ■ W Warszawie zmarł 9. 4. br., w wieku 86 lat, prof. dr Józef Kulczycki, emerytowany profesor weterynarii w SGGW w Warszawie, członek PAN. ■ 11. 4. br., wydobyto w Polsce 3-miliardową — w okresie istnienia PRL — antonę węgla. ■ W Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazała się antologia „Poezja Polska”, w której zamieszczono kilkanaście wierszy Czesława Miłosza. Byłoby to godne pochwały, gdyby nie fakt, że nikt nie zwrócił się do Miłosza o pozwolenie przedruku. ■ Ryszard Filipiński, w swoim czasie założyciel „teatru jednego aktora”, specjalizujący się w tekstach antyżydowskich i atakach na dywersję ideologiczną z Zachodu, zabiegał o dyrekcję Teatru Starego w Warszawie. To mu się nie udało, otrzymał natomiast dyrekcję teatru w Nowej Hucie. Zachęcony sukcesem filmu o Hubału, Filipiński pracuje obecnie nad filmem obrazującym zachodnią dywersję, opartym na książkach Jerzego Bronisławskiego pt. „Szable i lichtarze” oraz „Wyobcowani”. J. Bronisławski (pseudonim) jest pułkownikiem UB.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

10. 2. br. w Polskim Związku Akademików w Chicago Andrzej Garlicki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wygłosił odczyt pt. „Wojna 1920 roku jako próba realizacji koncepcji politycznych Józefa Piłsudskiego”. Odczyt

miął charakter wyraźnie propagandowy i miał na celu uzasadnienie konieczności współpracy polsko-sowieckiej za każdą cenę. Ciekawe po co się takie odczyty organizuje na emigracji. ■ 24. 2. br. odbył się w sali Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku wieczór autorski Aleksandra Janty-Polczyńskiego. ■ 15. 3. br. odbyło się 31-sze doroczne walne zgromadzenie członków Instytutu Piłsudskiego w Ameryce. Prezesem Instytutu został wybrany dr Jan Fryling. ■ 17. 3. br. Stefan Korboński wygłosił w Domu Polskim w Filadelfii odczyt pt. „Chiny komunistyczne na arenie polityki światowej”. ■ Znany pisarz, Paweł Łysek, prowadzący studia polonistyczne na uniwersytecie w Nowym Jorku, został mianowany profesorem zwyczajnym tej uczelni. ■ Z okazji 30-lecia założenia Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce zostało zorganizowane sympozjum w Columbia University na temat „Polska polityka zagraniczna 1916-1939, Niemcy i Związek Sowiecki, teoria o dwóch wrogach”. Odczyty zostały wygłoszone przez: prof. Gerharda L. Weinberga, prof. Haralda von Riekhoff, prof. Stefanię Stanisławską, prof. Bohdana Budurowycza, prof. Annę Cienciala i prof. Piotra S. Wandycza. ■ Burmistrzem miasta Dunkirk w stanie New York został wybrany działacz polonijny, Leon Damian. ■ 18. 3. Mayor miasta Chicago, Dalley, podpisał porozumienie z miastem Warszawą w sprawie współpracy tzw. miast bliźniaczych. ■ 23. 3. Prezydent Nixon mianował adwokata Leonarda Walentynowicza z Buffalo, N.Y., na stanowisko administratora Biura Bezpieczeństwa i Spraw Konsularnych Departamentu Stanu. Nominacja ta musi być zatwierdzona przez Senat USA. L. Walentynowicz liczy 44 lat i jest znany działaczem polonijnym. ■ 30. 3. Polska Fundacja Stypendialna w Chicago ogłosiła gotowość przyznawania bezprocentowych pożyczek stypendialnych studentom polskiego pochodzenia, którzy ukończyli z dobrymi wynikami pierwsze dwa lata studiów uniwersyteckich. Fundusz Stypendialny powstał 10 lat temu z drobnych składek i wzrasta dzięki zwrotom pożyczek przez byłych stypendystów. ■ 8. 4. W Media (Pennsylvania) sąd skazał byłego prezesa Związku Górników W.A. „Tony” Boyle na dożywotnie więzienie za zamordowanie przywódcy związkowego Józefa Jabłońskiego, jego żony i córki 31. 12. 1969 roku.

Listy do Redakcji

21 marca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku ze sprawą pośmiertnego oceniania Gombrowicza przez władze PRL, radbym nadmienić, iż nie pierwszy to przypadek takiego rodzaju. Zeromski zastrzegł był sobie, że opublikowanie jego pamiętników nie powinno nastąpić przed upływem 50 lat od daty zgonu. Ogłoszono je jednak w roku 1965 (40 lat po śmierci autora), przy czym wynurzenia osobiste zachowano, oceniano natomiast fragmenty natury politycznej. O czym zresztą prasa krajowa poinformowała, o ile pamiętam.

Łączę wyrazy poważania,

J. BELMAN

Rochester, 18 marca 1974.

Drogi Panie Redaktorze,

Odnotowując mój *Widok Delft* w marcowej *Kulturze* Maria Danilewicz Zielińska informuje, że cenzura usunęła z książki dwa utwory i komentuje: „Czy warto w tych warunkach publikować w wydawnictwach krajowych? Przypuszczać należy, że uczucia autora oddaje powiedzonko: 'Po kiego licha ja tę żabę jadłem?'”.

Oczywiście, że było warto i żadnej niestrawności nie czuję. Czy może słuszniej byłoby próbować konfrontacji z cenzorem w Lizbonie?

Do ostatniej chwili przewidywałem, że książka albo w ogóle się nie ukaze, albo że Wydawnictwo Literackie zażąda usunięcia pewnych utworów. Usuwając dwa utwory bez mojej wiedzy Wydawnictwo obezło się ze mną więc skrupułów, że może poszedłem na niepotrzebny kompromis.

W egzemplarzu, który wysłałem Marii Danilewiczowej Zielińskiej umieściłem adnotację (z której ona skorzystała) dotyczącą usuniętych utworów, z których jednym był „Gombrowicz”. Może powinienem był dodać, że „Gombrowicz” został uprzednio kolejno odrzucony przez paryską *Kulturę* i londyńskie *Wiadomości* i że wobec tego, gdyby nie istniała *Oficina Poetów*, która wydrukowała go na miejscu honorowym, utwór leżałby dotąd w teczce.

Łączę pozdrowienia,

Adam CZERNIAWSKI

Bloomington, Ind., 3 kwietnia 1974.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Od dłuższego czasu nie wysyłam wpłat na „Fundusz Kultury”. *Kultura* jest mi zawsze bardzo bliska, ale chciałbym Panu szczerze napisać że budziły we mnie silny sprzeciw niektóre rzeczy w niej w ostatnim czasie drukowane — jak Marka Głogoczowskiego, Andrzeja Brychta i Grażyny Nowak. Rozumiem dobrze że nie wszystko w *Kulturze* musi mi się podobać i że Redakcja *Kultury* może prowadzić swoją własną politykę wydawniczą czy publicystyczną — ale nie jest dla mnie jasny cel tej polityki w drukowaniu takich i podobnych rzeczy.

Nie muszę się jednak ze wszystkim z *Kulturą* zgodzać — ostatnie zresztą numery *Kultury* takich rzeczy nie zawierają — i bardzo wysoko oceniam Pańską i Pana Redakcji pracę — uważam *Kulturę* i Instytut Literacki za najważniejsze centrum kulturalne i polityczne Prawdziwej i Niepodległej Polski — dlatego właśnie ma dla mnie tak wielkie znaczenie polityka jaką Redakcja prowadzi.

6 kwietnia 1974.

W moim liście sprzed paru dni wspominałem Panu o sprzeciwie jaki budziły we mnie niektóre rzeczy drukowane w ostatnim czasie w *Kulturze*, jak np. artykuły Grażyny Nowak o emigracji polskiej w Anglii. Dziś dostałem kwietniowy numer *Kultury*, z „Listem z Londynu” Grażyny Nowak. Ten „List” jest bardzo dobry — zgadzam się z Autorką bardzo w tym co Ona pisze: przede wszystkim w zasadniczej sprawie — stosunku przybyszów z Polski do Emigracji.

Chcę Panu krótko napisać dlaczego poprzednie Jej „Listy” budziły we mnie tak silny sprzeciw: Ja sam wyjechałem z Polski dopiero w 1964 roku, ale zawsze miałem i mam szacunek do dawnej, powojennej Emigracji — bo to byli ludzie, którzy nie wrócili do Polski po wojnie dlatego właśnie że nie chcieli brać udziału w budowie nowej „rzeczywistości” i nie chcieli „włączać się” w nią — i zamiast ewaniackiego życia w PRL, wybrali pobyt często w bardzo trudnych warunkach na Zachodzie pracę fizyczną w fabrykach, pracę wdziały czy zmywanie naczyń. I dlatego mam szacunek do powojennej emigracji (w przeciwieństwie do części późniejszej emigracji — do tych którzy wyjechali wyłącznie w poszukiwaniu łatwiejszego życia a więc nowego ewaniactwa) — i dlatego wytykanie Emigracji jakichś śmieszności nie wydaje mi się najbardziej chwalebą czynnością — myślę że można ją zostawić prasie w Kraju czy niektórym przybyszom stamtąd.

Cieszę się więc bardzo że teraz Pani Grażyna Nowak o tym napisała. Przesyłam Jej i Panu moje gratulacje i serdeczne pozdrowienia,

Jan JAWOROWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W 4 numerze (1974) *Kultury* Aleksander Matejko zaoponował przeciwko mojej ocenie hasła o Petrażyckim napisanego przez Adama Podgóreckiego. Z tym protestem solidaryzował się Jerzy Stefan Langrod pozostawiwszy trud polemiki p. Matejce.

Aleksander Matejko uzasadnia swoje zdanie argumentami:

1) Prof. Podgórecki jest znakomitym uczonym i nie zasłużył na moją krytykę.

2) Prof. Podgórecki nie jest „mocarowcem”, zawsze zachowywał się

niezagannie pod względem politycznym i miał nieprzyjemności w czasach stalinowskich.

3) Hasło prof. Podgóreckiego jest uzasadnione jako hasło uzupełniające.

Ad 1. i 2. — W artykule o WEP nie zajmowałem się osobą p. Podgóreckiego, lecz jedynie tym, co napisał dla Encyklopedii. Nie ma w moich uwagach ani jednego słowa o jego kwalifikacjach naukowych lub poglądach politycznych. Zakwestionowałem tylko fakt napisania hasła i jego treść, nie więcej.

Z mojego artykułu o WEP nie podobna wydedukować, jakobym był zdania, że wszyscy autorzy hasel „Suplementu” są moczarowcami lub choćby ich sympatykami. „Suplement” zawiera tysiące hasel z tysiąca dziedzin i samo przypuszczenie, że moczarowcy mogliby napisać te wszystkie artykuły, byłoby najoczywistszym absurdem. Powiedziałem tylko, że „Suplement” był redagowany i „manipulowany” przez moczarowców, na co znaleźć można w mojej pracy setki dowodów.

Na dowód, że w „Suplemencie” znaleźli się i przyzwoici ludzie, p. Matejko przytacza nazwiska R. Gawrońskiego, B. Paszkowskiego, S. Lorentza, M. Plezi, W. Woltera, K. Secomskiego i A. Melicha. Do tej listy mógłbym dorzucić kilkadziesiąt innych nazwisk. Szkoda tylko, że p. Matejko nie rzucił okiem na to, co wymienieni przez niego autorzy napisali. Otóż Gawroński, okiem na to, co wymienieni przez niego autorzy napisali. Otóż Pawłowski i Melich nikogo nie „uzupełniali” ni korygowali, lecz napisali zupełnie nowe hasła, których nie było w poprzednich tomach Encyklopedii. Prof. Wolter uzupełnił — sam siebie: napisał dla „Suplementu” dwa hasła (o Kodeksie Karnym z 1969 roku i jego pojęciu winy), które są dalszym ciągiem jego hasel z 9 i 12 t. To samo zrobił Kazimierz Secomski: uzupełnił swoje własne hasło z 9 t. (Rozwój gospodarek Polski Ludowej). Stanisław Lorentz napisał dwa hasła, „Florenceja” i „Wenecja”, które omarzają wydarzenia zaszłe po roku 1966, pozostające w związku z tymi dwoma miastami. Nikt z nich nie dał się ani uprosić ani nakłonić do napisania hasel zastępczych, które stanowią *curiosum* „Suplementu” nie spotykane w europejskich encyklopediach.

Ad 3. — A co napisał prof. Podgórecki? Jego hasło, formalnie uzupełniające, jest w istocie rzeczy zastępcze. Redakcja „Suplementu” zaliczyła je do kategorii hasel, które mają być „tylko uzupełnieniem i aktualizacją” hasła znajdującego się w odpowiednim tomie WEP”. Prof. Petrażycki zmarł ponad 40 lat temu. Co trzeba było „uzupełniać” lub „aktualizować” w jego hasle? W jego życiorysie i naukowej spuściźnie nie się nie zmieniło. Prof. Podgórecki po prostu zastąpił artykułem swoim hasło Maneliego, artykułem którego przemilezenia są tak krzyżące, że trudno je przeżyć. P. Matejko utrzymuje, że Adam Podgórecki miał do tego prawo, gdyż jako uczeń Petrażyckiego „mógł inaczej rozumieć treść i sens nauki Petrażyckiego aniżeli autora poprzedniego hasła M. Maneli”. Gdyby przyjął tę zasadę, to takie hasła jak „F. Kafka”, „F. Nietzsche”, „A. Einstein”, „K. Marks”, „S. Dali” hasła jak „F. Kafka”, „F. Nietzsche”, „A. Einstein”, „K. Marks”, „S. Dali” powtarzałyby się we wszystkich Encyklopediach w niezliczonych wariacjach, ponieważ poglądy o nich są nieskończenie różne. Leksykony zamieniałyby się w kluby dyskusyjne. Ale po co owijać sprawę w bawełnę. Pan Podgórecki napisał i firmował swoim nazwiskiem artykuł mający zastąpić hasło autora, który w chwili opracowania „Suplementu” był politycznym emigrantem. Redaktorom chodziło o to, by go „skorygować”, a w następnym wydaniu WEP wyeliminować.

Panowie Langrod i Matejko kładą duży nacisk na dorobek naukowy prof. Podgóreckiego. Redaktorzy „Suplementu” są innego zdania. W 5 tomie WEP pominięto go, chociaż w Encyklopedii znalazło się miejsce dla tysięcy informacji. W „Suplemencie”, którego głównym zadaniem było przecież wypełnienie luk i przeoczeń z poprzednich tomów, też nie oddano mu sprawiedliwości. Redaktorzy tego osobliwego tomu przypomnieli sobie o prof. Podgó-

reckim nie po to, by upamiętnić jego naukowe zasługi, lecz po to, by napisał im zastępcze hasło.

Ale nie ma polemiki, w której racja byłaby tylko po jednej stronie. Aleksander Matejko bierze mi za złe to, że powiedziałem o inkryminowanym hasle, iż bije „rekordy fałszerstw”. Prof. Langrod nazwał formę moich wywodów „skandaliczną”. Zapewniam, iż ostrość moich słów pozostaje w związku nie z osobami, lecz z grozą wiejącą od ostatnich trzech tomów WEP. Przyznaję w końcu, że nie szczytę się wypomnianym mi zwrotom i wołałabym, by go nie było.

Z szacunkiem,

Roman KARST

27 marca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nigdy nie przejmowałem się zbytnio tym „co należy” ani tym „czego nie należy”, podobnie jak i tym „co się nosi” i „czego się nie nosi”, traktując tego rodzaju rekomendacje z przymrużeniem oka — w pewnym wieku wyraźnie się dostrzega płynność kryteriów opartych o umowę społeczną.

Pewne konwencje jednakże nie powinny nam być obojętne. Mam na myśli utrzymującą się na emigracji konwencję negatywnego i wyłącznie negatywnego wartościowania Andrzeja Brychta, a impulsem ku temu są uwagi w liście M. Brońskiego w Nrze 3/318 *Kultury*. Proszę mi wierzyć, że to, co Brycht pisał w kraju w latach sześćdziesiątych mało przyjemności mi sprawiało, jednak i wówczas nie zamykałem oczu na to, że jest on pisarzem o wybitnych zdolnościach. Szczególnie ceniłem to, co w nim drażniło — wysoki stopień utożsamienia się z niezbyt sympatycznymi warstwami — lumpenproletariatem i półinteligencją. Nie zamykajmy oczu — warstwy te istnieją, stanowią ważną część społeczeństwa. Brycht jest nieprzeciętnie wyuczony na reakcje i język tych właśnie warstw.

Nie on jeden „rechotał z chuliganami” — jak pisał Miłosz, czynili to i inni twórcy, których wielkości nikt nie zamierza kwestionować. Być może tylko, że Brycht czynił to w bardziej autentyczny sposób.

Przed trzema laty Brycht wybrał wolność. Pod wieloma względami zerwał ze starymi nawykami, pod wieloma — pozostał sobą. Byłoby naturalne, gdyby jego pierwsze emigracyjne wystąpienia wywołały mieszane uczucia. Nie tylko jego wkroczenie w sferę polityki. Jego pierwsze wystąpienia literackie też mogły dla niejednego być szokiem — wraz z nimi wkroczał do emigracyjnej literatury nowy, dotychczas nieznan jej bohater. A przecież to, co w jego utworach raziło, winno być poczytane za zasługę i to nie tylko literacką, ale i poznawczą.

To że wybrał wolność i pisze na emigracji powinno nas cieszyć, jako potwierdzenie słuszności i naszych wyborów. Niestety, niedobry instykt „pamiętszyceili” stoi temu na przeszkodzie.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku,

Józef LEWANDOWSKI

Londyn, 12 marca 1974.

Redakcja *Kultury*

w Paryżu.

Ostatnio w czasopiśmie polskich na emigracji ukazuje się stosunkowo więcej niż poprzednio różnych apeli podpisywanych przez „osoby sztandarowe”, nawołujące do ofiarności i składek na POSK i Skarb Narodowy itp.

Apela odwołują się do sumień obywatelskich i potrzeby spełnienia obowiązków wobec...

Rozumiejąc potrzebę popierania finansowego POSK, czy Skarbu Narodowego, w związku z w/w apelami i wobec nikłych oddźwięków na nie społeczeństwa, pragnę zwrócić uwagę na palącą potrzebę zmiany atmosfery naszego życia polityczno-społecznego na uchodźstwie i oczyszczenie go z ponaszonego życia polityczno-społecznego na uchodźstwie wielu smutnych deprycji i nieufności szerokich rzesz narosłych wskutek wielu smutnych doświadczeń afer finansowych i politycznych (Berg, afera p. Kamińskiego).

Bez rzetelności w gospodarce funduszami publicznymi i rozliczenia się z resztek pozostałych funduszy, nie da się tego zaufania szybko odzyskać.

Apela do „posiadaczy kont bankowych, domów, hoteli, przedsiębiorstw, firm, samochodów, pralek elektrycznych czy kolorowych telewizorów” wielu dziś przekonują. Skuteczniej przemówią fakty, bilanse, rachunki strat i zysków z dotychczasowej gospodarki majątkiem tych „co z honorem brali ślub”.

Piękne i wzniosłe apela powinny iść w parze z przykładem głoszenia prawdy i upominania się o zwrot tego, co jest majątkiem społecznym.

Rozkazem dowódcy 2-go Korpusu w okresie kampanii włoskiej, został powołany do życia Fundusz Odbudowy Warszawy.

Na Fundusz ten potrącano składki z naszych należności żołnierskich. Płacili je również i ci, którzy leżą na wojennych polskich cmentarzach we Włoszech.

Do dziś nikt nie podał wiadomości o likwidacji tego Funduszu, ani też rozliczeń co stało się z zebranymi pieniędzmi.

Z artykułów prof. A. Pragiera (*Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* i *Wiadomości*) wiemy, że Fundusz Pomocy Polakom po śmierci jego kierownika śp. Karola Poznańskiego wynosił £. 700 tysięcy.

Co się z tą sumą stało — czym służy celom i kto nią obecnie dysponuje?

Wiadomo też, że po śmierci płk. Hańczy, będące w jego dyspozycji fundusze przeznaczone na działalność polską przez USA, a dochodzące podobno do 4 ml. dolarów znikły i do dziś nikt nie uchylił rąbka tajemnicy i nie podał, gdzie one zostały ulokowane?

Wymieniłem tylko trzy Fundusze do których społeczeństwo polskie na emigracji ma pełne prawo, by dopominać się o przekazanie ich na konieczne cele polskie, a więc na POSK, czy na Skarb Narodowy. Byłby to równocześnie wkład na powyższe cele nie tylko tych, którzy dorobili się „kont bankowych, czy kolorowych telewizorów”, ale i tamtych, którzy „Bogu ducha, bankowych, czy kolorowych telewizorów”. Byłby to nieprzerwany ciąg ofiarności dla sprawy polskiej — nas wszystkich.

Jeżeli tego nie przeprowadzimy, to trzeba będzie jeszcze najmniej dziesięć lat cierpliwie i rzetelnie pracy i wytrwałego wkładu tych niestety niewielu, by jeszcze raz odbudować zaufanie do czystości intencji głoszących hasła i apeli.

A ani POSK, ani Skarb Narodowy, ani Zakład OO. Marianów, bez uszczerbku tak długo czekać nie mogą.

Br. ŁOKAJ

2 kwietnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Tak się niezrozumiale dla mnie składa, że Polonia Amerykańska, a zwłaszcza Kongres P.A. ma w *Kulturze* „złą prasę”. Nawiązując do mego listu komentującego sprawę Kongresu i pomnika Kopernika w Chicago w październikowej (1973) *Kulturze*, który spotkał się z ostrą repliką p. Edwarda Pucza w numerze styczeń-luty, 1974.

Pisząc więc o pomniku p. Puacz twierdzi, że „honor KPA uratował jeden człowiek, dr Aleksander Rytel... który sam zebrał ok. 75 % funduszy” i dalej, że „kiedy KPA przez kilka miesięcy nawoływań zdołał zebrać tylko kilka tysięcy dolarów, w tym samym czasie jeden człowiek, dr A. Rytel, organizuje zbiórkę telewizyjną przy pomocy dwóch polonijnych stacji TV, p. R. Lewandowskiego i p. M. Przemyskiego, która w ciągu 2 godzin daje zgłoszenia na ponad 30 tys. dolarów”.

A jak to było naprawdę? Publiczna akcja zbiórki zapoczątkowana w czerwcu ub. roku w ciągu rzeczywistie kilku miesięcy, bo do października przyniosła ok. 190 tys. dolarów. Dr Rytel jako przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika, wyłonionego przez KPA i zorganizowaną przez KPA dwa lata temu kulturalną Fundację Kopernikowską, kierował całą akcją, można mu więc przypisać nie tylko te 75 % ale całe 100 % zebranej sumy. Jego niewątpliwą, indywidualną zasługą było uzyskanie donacji po 2 i pół tys. dol., a w kilku wypadkach i więcej od ponad 20 lekarzy. Donacje 5 i 10 tys. dol. złożyły zasłużone organizacje społeczne: Legion Młodych Polek, Klub Obywatelski Kobiet-Polek (Polish Women's Civic Club), Polsko-Amerykański Klub Handlowy, oraz mniejsze kilka innych. Dało to ok. połowy całej sumy. Reszta, więc ok. 90 tys. wpłynęła w ofiarach od 1 do 100 dol., czasem więcej, od „szarego człowieka”. W sumie tej znajduje się także owe 20-25 tys. ze zbiórki telewizyjnej, na którą znów złożyły się oczywiście ofiary tegoż „szarego człowieka”.

Wbrew więc twierdzeniu p. Puacza Polonia odpowiedziała na apel, uznając cel za właściwy i konkretny i dlatego godny jej poparcia.

Drugim punktem kontrowersji jest sprawa czy pomnik ofiarował Polonii Kraj, czy ufundowała go sama Polonia, czy jak sugeruje p. Puacz „prawda jest pośrodku”.

W relacji p. Puacza pomnik zakupiony został w Polsce w wyniku umowy z Komitetem Obchodów Kopernikowskich w Warszawie za sumę 30 tys. dol., z tym, że „Komitet ofiaruje przy tym bezpłatnie cokoł z granitu i bezpłatny transport z Polski do Chicago”. Nie wiem skąd p. Puacz czerpie swoje informacje. W umowie bowiem na którą się powołuje par. 1 stanowi, że „Fundacja Kopernika nabywa replikę pomnika Mikołaja Kopernika w Warszawie dłuta B. Thordwaldsena oraz cokoł do tego pomnika. Należność w sumie dol. 30.000 będzie przekazana w dolarach USA”. W dalszym ciągu, tak jak to ma miejsce we wszystkich umowach handlowych, określone jest, że „przesyłka pomnika i cokołu nastąpi polskim statkiem do miasta Chicago”. Jasne? Wbrew temu więc co sugeruje p. Puacz pomnik ufundowała w całości Polonia. A dr A. Rytel i inż. Ludwik Końca, przewodniczący i wiceprzewodniczący Komitetu Budowy, których determinacja i fachowość zapewniły sukces przedsięwzięcia, zasłużyli sobie w pełni na jej wdzięczność i uznanie.

Tak samo jak sprawę pomnika przedstawia p. Puacz szereg innych zagadnień z życia Polonii i KPA. Tak więc bardzo zgrzytliwie komentuje on interwencję KPA w Federalnej Komisji Komunikacyjnej, która nadzoruje programy telewizyjne i radiowe, w sprawie tzw. *Polish jokes*, będących ordynarnymi dowcipami ośmieszającymi Polaków amerykańskich. „Niewielki musi być autorytet KPA, skoro Komisja ta odrzuciła z lekkim sercem protest Kongresu” pisze p. Puacz. P. Puacz wie dobrze jakie wpływy posiadają w tym kraju sieci TV (wie o tym także z własnego doświadczenia przez Nixon) i z jakiej niekřepowanej swobody korzystają w doborze programów. Czy potrafimy te wpływy przełamać nie wiem. Sprawa skierowana została obecnie na drogę sądową. Jej rozstrzygnięcia nie można się niestety spodziewać przed upływem wielu miesięcy. Nawet jednak jeżeli sąd skargę KPA odrzuci, nasświetlenie zagadnienia wobec opinii kraju przez czołowe dzienniki amerykańskie posiada swoje znaczenie. „Zdumiewa nas — pisal w artykule

redakcyjnym *The Wall Street Journal*, odpowiednik londyńskiego *Financial Times* — że ludzie, którym by się nie śniło wygłaszać anty-żydowskich, albo anty-murzyńskich dowcipów, nie mają żadnych skrupułów wystawiać na pośmiech Polaków... Polacy mają słuszną rację. Uwzględniając dzisiejsze poglądy, sieci telewizyjne powinny starać się unikać wszystkiego co może być obraźliwe dla mniejszości etnicznych, tym bardziej rzeczy tak wulgarnych jak właśnie polskie dowcipy. Podobne stanowisko zajęły m. innymi *New York Times*, *Washington Post* i *Chicago Tribune*. Wbrew więc komentarzowi p. Puacza „ja bym się martwił, a nie chwalił z takiego załatwienia sprawy”; sądzę że wystąpienie KPA było i potrzebne i pozytywne.

Niewątpliwie wiele jest rzeczy w strukturze organizacyjnej i programowej Polonii i KPA, które należałoby rozszerzyć, usprawnić i skoordynować. Nie ulega wątpliwości, że lata od konwencji w 1968 roku, kiedy prezesem KPA został wybrany mec. Alojzy Mazewski, zaznaczyły się rozwojem inicjatyw i aktywności życia polonijnego. Nie zaniedbując w najmniejszym stopniu dotychczasowych zainteresowań sprawami polskimi i w pełni utrzymując zdecydowanie anty-komunistyczne i anty-reżymowe stanowisko, Kongres po raz pierwszy zaczął czynnie interesować się rozwojem życia polonijnego w Stanach. Sądzę, że rozwój ten będzie postępował.

Kazimierz LUKOMSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł Edwarda Puacza w marcowym (3/318) numerze *Kultury* liczy tylko siedem stronicek, trudno więc mieć do autora pretensje, że „nie wyczerpał tematu”. Trzeba by na to co najmniej książki o rozmiarach znanej pracy Znanieckiego.

Nie tak dawno pisał Z. Byrski o podobnych sprawach i zwrócił uwagę na fakt, że na skutek przeróżnych czynników, przede wszystkim natury psychicznej, każda nowa fala emigracyjna napotyka na wielkie trudności z zetknięciem z poprzednią. Jest to zjawisko powszechne, nie tylko polskie czy polonijne. Trudno tu właściwie mówić nawet o winach jednej lub drugiej strony, chociaż w niejednym konkretnym wypadku poszczególne osoby można oskarżać o złośliwość lub brak zrozumienia.

Ważny konkretny przykład. W miejscowości NN. istniała od 70 lat zwarta grupa polska, z kościołem i organizacjami, posiadającymi „DOM POLSKI”. Przedstawicielom nowej fali emigracyjnej osiedlającej się w tym samym mieście nie wszystko się tam podoba, chcieliby więc mieć swój kościół — skoro „starych” nie da się przekonać, że wszystko w tym kościele powinno być polskie na sto procent, a organizacje typu ubezpieczeniowego, powinne być polskie na sto procent, a organizacje typu ubezpieczeniowego, obsadzone w dodatku przez siewiuteńskich już „fundatorów i założycieli” im też nie odpowiadają. Okazuje się jednak, że budowa osobnego kościoła i twórcze nie odpowiadają. Czas robi swoje i po jakimś czasie sprawy się układają swoje kościoły mają. Czas robi swoje i po jakimś czasie sprawy się układają mniej lub więcej zgodnie, chociaż przedstawiciele nowej fali rzadko kiedy zdobędą się na taką ofiarnością na utrzymanie kościoła i szkoły parafialnej, jak było w dawniejszych czasach, a proboszczowie będą nieraz przez długie lata wytykać nowszymi przybyszom, że nie są tak dobrymi parafianami jak ci, co przeszli przez miejscowe szkoły parafialne i nie nauczyli się powtarzać ci, co przeszli przez miejscowe szkoły parafialne i nie nauczyli się powtarzać ci, co przeszli przez miejscowe szkoły parafialne! A nie tak nie złości tych „starszych” dość często: „tak jest, księżo przełacie!”. A nie tak nie złości tych „starszych” dość często: „tak jest, księżo przełacie!”. A nie tak nie złości tych „starszych” jak fakt, że nowsi przybysze chcą się „za rok dorobić tego, na co myślimy

pracowali przez 10 lat i więcej". Na tym właśnie tle budzi się u starszych obawa, że nowi przybysze tylko patrzą, jak opanować fundusze i cały dorobek materialny poprzedników, a w niejednym wypadku owe „zachomikowane” fundusze, o których Puacz pisał w ub. roku.

Nie chodzi mi tu o „wyczerpanie tematu”, tylko o jeden lub drugi konkretny obraz (co by na pewno wyszło bardziej wyraziście, gdyby podać przynajmniej nazwę jednej lub drugiej miejscowości oraz nazwiska niektórych liderów), ilustrujący podłoże tego prostego a smutnego niestety faktu, że na ogół nowa fala powojennych imigrantów polskich nie wzmocniła Polonii tak, jakby się tego można spodziewać. Tej nowej fali nie można brać za złe braku ambicji politycznych — prawie każdy czuje instynktownie, że wiele stanowisk w życiu politycznym należy jednak do ludzi URODZONYCH w Ameryce i że do tego trzeba gruntownej znajomości stosunków politycznych w tym kraju. Co innego dać sobie radę w dziedzinie zarobkowej, a co innego w polityce. W tej dziedzinie nowi imigranci mogą (i zapewne wielu o to dba) natchnąć swe dzieci ambicją, by się w życiu publicznym wybijali na jak najlepsze i najwyższe stanowiska.

Gdy chodzi o Gronouskiego, to stanowisko w rządzie dał mu nie Johnson, tylko J. F. Kennedy i to wbrew jakimś sprzeciwom, co wypłynęło kiedyś na konferencji prasowej, w czasie której Kennedy oświadczył, że nazwisko Gronouski jest równie dobre jak Warren, Wagner czy Smith. Johnson był już dla Polonii chłodniejszy.

Oslabienie Polonii jest nieuniknionym następstwem ogólnych przemian w całym życiu amerykańskim, a przede wszystkim zanikiem zwartych grup polonijnych, spowodowanym przez napływ ludności kolorowej do wielkich miast. Okręgi wyborcze nie są już zwarte, głosy padają na nazwiska nie polskich kontrkandydatów. Jaskrawym przykładem jest fakt, że następcą burmistrza (majora) miasta Detroit został po Polaku (Gribb — pierwotnie Grzyb) przedstawiciel rasy czarnej. Dzieci dawniejszych mieszkańców tak nawet polskiej dzielnicy jak Hamtramck (właściwie osobne miasteczko w ramach miasta Detroit) rozlecieli się po dalekich przedmieściach, nie należących do okręgu wyborczego miasta Detroit. Na to nie pomoże żaden Kongres Polonii ani inna organizacja.

Detroit wymieniam tu tylko jako przykład ilustrujący położenie w innych wielkich miastach. Puacz słusznie podpisuje się pod wypowiedzią owego socjologa z Kalifornii, którego zdaniem „Polacy na obczyźnie udowodnili, że potrafią zachować więź narodową żyjąc w zwartych skupiskach, w diasporze więź ta ulega silnemu osłabieniu...”. Będąc z natury optymistą chciałbym wierzyć, że sytuacja może (choć nie musi) ulec poprawie. Trzeba pamiętać, że ta polonijna diaspora jest zjawiskiem raczej nowym i że ludzie wyrzuceni z „życia stadnego” czują się w nowych środowiskach zgubieni, ale z latami albo oni sami albo ich synowie (i córki, nie zapominajmy o głośnym teraz równouprawnieniu kobiet!) wypłyną. Potrzebna by tu była silna więź przede wszystkim w postaci prasy w języku angielskim, bo młodzi nawet po ukończeniu „szkółek sobotnich” po polsku mówią słabo a czytanie to dla nich trud ponad siły. Przykładami takiej prasy polonijnej w języku angielskim są takie pisma jak POST EAGLE, wydawany w stanie New Jersey lub szerzej znany Polish American Journal wydawany w Scranton.

W ostatnim spisie ludności aż 20 milionów Amerykanów wskazało na swe niemieckie pochodzenie, podczas gdy na polskie wskazało tylko cztery miliony. Rzecz o tyle charakterystyczna, że nie ma tu już „niemieckich parafii narodowościowych” i prasa niemiecka nie jest tu potęgą. Coś podobnego może zapanować w Polonii Amerykańskiej. Będzie to zależało od ambicji nowego pokolenia a przede wszystkim od wykształcenia. W tej dziedzinie brylują jak dotąd ludzie o nazwiskach niemieckich („anglosaskich”). Korybski i Brzeziński to raczej wyjątki.

Kto wie, czy Polonia Australijska — jeżeli wierzyć temu co pisze w tym samym numerze *Kultury* E. Żagiell — nie wskazuje właściwej drogi. Ale w Australii nie było właściwie starej Polonii i że tam wszystko można było zacząć od nowa, nie cierpiąc na skutki życia w „gettach” i na niektóre objawy ogólnej sklerozy.

Ks. Wojciech SOJKA

Paryż, 25 marca 1974.

Drogi Panie Redaktorze,

Pragnę wprowadzić małe sprostowanie do mojej pracy o zabójstwie ministra Pierackiego, zamieszczonej w dwudziestym piątym numerze *Zeszytów Historycznych*.

Napisałem, że zasłużony pomocnik sędziego śledczego Wituńskiego, asesor sądowy Lindenfeld miał na imię Karol. Potocznie nazywaliśmy go Lolo i to wprowadziło mnie w błąd. Od rodziny zmarłego dowiaduję się, że imię jego było Leopold.

Łączę wyrazy poważania i serdeczne pozdrowienia,

Władysław ZELEŃSKI

Jeden z naszych czytelników pragnie kupić następujące — całkowicie wyczerpane wydawnictwa Instytutu Literackiego, a mianowicie:

KULTURA — nry 6 i 7/8 z 1956 r.; 5 z 1957 r.; 7/8 z 1958 r.; 1/2 z 1959 r.; 6 z 1960 r.; 3 i 12 z 1962 r.; 1/2 i 7/8 z 1963 r. i 1/2 z 1964 r.

ZESZYT HISTORYCZNY Nr 2 (1962 r.).

KSIĄŻKI — W. Broniewski: *Wiersze*; Adam Czerniawski: *Topografia wnętrza*; L. Lipski: *Dzień i noc*; K. Wierzyński: *Tkanka ziemi*; Al. Hertz: *Żydzi w kulturze polskiej*; A. Stawar: *Pisma ostatnie*. Krywicki: *Byłem agentem Stalina*; Cz. Miłosz: *Zniewolony umysł*.

Zgłoszenia wraz z podaniem żądanej sumy prosimy przesyłać do Administracji *KULTURY*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 239 — WITOLD GOMBROWICZ

VARIA

Ostatni X-ty TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”
zawiera całą przedwojenną twórczość K. Gombrowicza
wraz z dużą powieścią pt. OPĘTANI

Str. 544.

Cena F. 50,00.

TOM 240 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...

Powieść
o losach polskich Kresów pod koniec
2-giej wojny światowej

Str. 484.

Cena F. 45,00.

TOM 241 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera m.in. prace: W. Jędrzejewicz — *Sprawa „Wieczoru” (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska 1904-1905)*; T. Żenczykowski — *Rozmowy Delegatura Rządu — PPR w 1943 roku w świetle faktów*; Jan M. Ciechanowski — *Notatki z rozmów z płk. dypl. J. Bokszczańinem i z płk. dypl. J. Rzepeckim*; Wiktor T. Drymmer — *Wspomnienia (Cz. I)*; POLEMIKI i RECEZJE.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1974.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Caaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Platkowska, Al. Barao de Limeira 1022, ap. 74. CEILIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 485-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 14S, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Geblonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,05
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matcheponix Av., Jamesburg, N.J, 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 5,-
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 242 — BOHDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE ALBO DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

Powieść młodego pisarza krajowego, złożona w PIW'ie w Warszawie w roku 1970, który zawarł z autorem umowę rozwiązał w roku 1971, aby ponownie przyjąć książkę do druku w roku 1972. Na skutek negatywnego stanowiska cenzury i czynników partyjnych skład gotowej już książki został zniszczony a Komisja Kontroli Partyjnej ukarała autora naganą z ostrzeżeniem: „za napisanie książki niezgodnej z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”. Powieść wydana bez wiedzy i zgody autora.

Str. 168.

Cena F. 24 (dol. 5,25)

TOM 243 — TOMASZ STALIŃSKI

ŚLEDZTWO

Powieść „z kluczem” autora znanych książek wydanych w „Bibliotece Kultury”: *Widziane z góry*, *Cienie w pieczarze* i *Romans zimowy* — osnuta na tle głośnych wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku.

Stron. 224.

Cena F. 25 (dol. 6,00)

TOM 244 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycza: *Pierwsza Republika i Druga Rzeczpospolita*; J. Garlińskiego: *Oświęcim walczący*; J. Drewnowski: „*Proces Centralnego Urzędu Planowania w 1948 roku*; *Wyjaśnienia Sztabowca*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia (cz. II)*; w dziale W. KSIĘSTWO LITEWSKIE: W. Sukiennickiego, K. Okulicza, W. Chocianowicza i J. Drobnika, oraz działy RECENZJE i LISTY I POLEMIKI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00).

TOM 245 — CZESŁAW MIŁOŚZ

GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE I KĘDY ZAPADA

P o e z j e

Str. 96.

Cena F. 15 (dol. 3,50).